

3616/36

H. N. Czerny



CARSKI WIEZIENIE

G. P. DANILEWSKI

Tragedja cara Joana III, więzionego przez carycę Elżbietę i zamordowanego z rozkazu Katarzyny II, stanowi jedną z największych tajemnic carów Rosji.

Wydawca: **STANISŁAW CUKROWSKI**
BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE

Cena Zł. 1.90

CARSKI WIĘZIEŃ

BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE

Redakcja i Administracja

ulica Krakowskie Przedmieście 93.

Konto w P. K. O. 13355. Tel. 275-03

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Kwartalnie (13 tomów) 11 zł.

Półrocznie (26 „) 21 zł.

Książka wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 62.

Redaktor i wydawca. **Stanisław Cukrowski.**

TAJEMNICE CARÓW ROSJI

G. P. DANILEWSKI

CARSKI WIEZIEN

ROMANS HISTORYCZNY

PRZEKŁAD

EDMUNDA JEZERSKIEGO

BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE

Wydawca: Stanisław Cukrowski.

LP 8 d 2 b

409408
I

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE.

K-46/3816
26.3. 38-

I.

• Kurjer z zawojowanych Prus.

Caryca Elżbieta Piotrówna zmarła 25 grudnia 1761 r., w najgorętszy czas wojny Rosji z Prusami. Wojska Fryderyka nie były już te: najlepsi oficerowie jego byli zabici lub wzięci do niewoli.

Na rok przed tem, oddział generała-porucznika Piotra Iwanowicza Panina opanował Berlin. Kozacy ze sprzymierzeńcami — kroatami, spustoszyli stolicę Fryderyka drugiego, rozgrabili w niej do trzystu domów, nie oszczędzili i zamiejskiego pałacu królewskiego; połamali w nim kosztowne meble, potłukli porcelanę, brzozy i lustra, porwali jedwabne i gobelinowe obicia, porabiali obrazy włoskie i roznieśli na strzępy gabinet osobliwości.

Dowódcy nie pozostawiali w tyle za podwładnymi. Wydany był rozkaz przepędzenia między szeregi „pod Lipami“ berlińskich „gazeciarzy“ za to, że ci publicyści zbyt obraźliwie i zuchwale pisali o ruskich. Wskutek takiego rozkazu, „przeciwne Rosji“, drukowane w gazetach listy palone były przez kata pod szubienicą, a autorów tych listów wyprowadzono na plac egzekucji, ażeby ukarać, za ich sprzeciwy, szpicrutą. Generał Czernyszew ulaskawił ich. Samego „dusergeldu“ na wino, na cygara i wogóle na ugoszczenie ruskiej armji zapotrzebowano od Berlina sto tysięcy. Zmiana kome-

danta oddzielnego korpusu ruskiego, grafa Totlebena, i jego aresztowanie, za ogólną radą wszystkich ruskich komendantów pułków, w czasie marszu na Pomorze nie zmieniło porywu zwyciężkiej armji. Sytuacja Fryderyka była rozpaczliwą. Z króla pruskiego stał się znów mizernym brandenburskim kurfirstem. W Królewcu zamieszkał ruski gubernator, ojciec Suworowa. Całe Prusy były zawojowane i, — po fatalnym nadpisie Elżbiety „niech się tak stanie“ na raporcie o ich przyłączeniu, — złożyły przysięgę na poddaństwo ruskiej carycy. W tej nowej „gubernji“ zaczęto wprowadzać ruskie porządki. Pojawiła się w niej ruska misja z archimandrytą; zaczęto bić ruską monetę. I naraz okoliczności zmieniły się...

Siostrzeniec Elżbiety Piotrówny, car Piotr III, w dniu śmierci ciotki wszczął z ubóstwianym przez siebie królem Fryderykiem pertraktacje o pokój. Gubernator Suworow, na skutek ukazu imiennego, zdał wojsko i zarząd królestwem pruskim generał porucznikowi Piotrowi Iwanowiczowi Paninowi, a sam wyjechał do Petersburga i zaczął, z powodu długów, zamieszczać w „wiadomościach“ publikacje o sprzedaży swego majątku. Za nim, radując się z manifestu „o wolności szlachty“, wyruszyli pod różnymi pretekstami do Rosji i inni oficerowie, szczególnie sztabowi. O smutku z powodu ustępowania zapominano. Wszystkich wola — niewola — ciągnęło po długim pochodzie wojennym do ojczyzny...

W końcu lutego 1762 r. kurjerską trójką saniami, drogą z Prus do Petersburga, wjechał średniego wzrostu, lat dwudziestu dwóch, szczupły, z czarnymi, surowymi, cokolwiek roztargnionymi

i jakby niezadowolonemi oczyma, oficer z Królewca. Była godzina druga popołudniu, Śpieszył się, ażeby zastać jeszcze urzędowanie w kolegji wojskowej. Od wjazdu do miasta przy moście Kalinkina, do gmachu kolegium, oficer wszelakimi sposobami przynaglał stangreta. Dziesięć dni podróży przez Litwę, w roztopy i wylewy, silnie go zmęczyły. Wiózł własnoręczne papiery Panina, z nieśmiałą, choć wyraźną propozycją — spróbować prowadzić dalej wojnę. W umyśle oficera zarysowywało się spodziewane przez niego, pełne niespodzianek, przyjęcie, walka Panina z partjami dworskimi i prawdopodobne współczucie i powinszowania kolegów. Dotarł do kolegji, obciągnął na siebie zniszczony zielony, z takim samym kołnierzem, mundur i czerwoną kamizelką, otrząsnął śnieg z czarnych sztybletów i tęponosych, bez sprzączek, znoznaczonych trzewików, i poprawił nieupudrowane pukle i kosmyki, wyrosłej w czasie podróży jasno blond, okrytej szronem czupryny. Zapytawszy się w kolegium o generała, do którego wiózł jeszcze od Panina list prywatny, oddał pakiety i, zmęczony podróżą, czekał, że zaczną go dopytywać się, przygotowywał w myśli odpowiedzi, dobierał przekonywujące słowa.

— Wojsko, — myślał: rwie się do walki, śmiały projekt Piotra Iwanowicza zwycięży... Siebie nie nie pożałuję, całą prawdę dowiodę. Byle tylko korzyść dla ojczyzny, — byle tylko ocenili śmiałość tak uczciwego i nieprzekupnego komendanta!..

O białej twarzy, dostoyny wzrostem i ruchami, dyżurny generał Bechleszow przeczytał przywieziony list, pozostałe papiery odłożył na bok, uważnie i długo popatrzał na posłańca, gniewnie potupał nogą na miejscu i, parszcząc pogardliwie, rzekł:

— Nowości twoje, panie, wcale nie są ważne... A Piotr Iwanycz, chociaż i szanowny patrijota, szanowny, lecz... jednak to nie twoja sprawa... Wojna — jacy śmiałkowiel tu o zawieszeniu broni, a oni o wojnie! Jutro, panie, niedziela.. a, zresztą, dowiedz się pojutrze...

Oficer wybuchnął.

— Ach, ty, kukło plugawa, pęcherzu! — chciał powiedzieć: jeszcze o patriotach sądy wydaje. No, lecz ten to jeszcze nie Bóg wie jaki ptak! Co powiedzą inni, cała kolegja?

Westchnął, wyszedł, postał, cokolwiek oniesmielony, na ulicy, i kazał stangretowi jechać na wyspę Wasilewską. Ulżyło mu na sercu. Widok znanych, niegdyś bliskich, miejsc ożywczo podziałał na niego. I słońce akurat wyjrzało i tak wesoło oświeciło ulice, domy i duszę wędrowca.

Przejeżdżając obok szlacheckiego korpusu kaddeckiego, zdjął kapelusz i przeżegnał się; tu odbywał naukę i stąd, z kadetów, przed dwoma laty, wysłany był do armji zagranicznej. Na rogu jednej z dalszych linji i bulwaru Newy, zobaczył poczerniały parkan i sędziwy dach domku, od dawnych lat należącego do wdowy po lejbo-kompaniucy, Nastasji Bawykinoj.

Serce podróżnego ścisnęło się. Tu, w dnie świąteczne, bezdomny, zupełny sierota, przez tyle lat z rzędu, chadzał z korpusu w gości. Tu uprzejma i twardego charakteru, bezdzietna i litościwa staruszka, Nastasja Filatowna, z przezwiskiem „carycyna bajczarka“, pieściła go, i w nim, biednym kadecie, znajdowała pociechę w swej samotności i sieroctwie. Dom jej był tej zimy, jak z listów dowiedział się oficer, sprzedany za długi, i gospodyni jego przeniosła się gdzieindziej na mieszkanie, nie zdążywszy zakomunikować mu swego no-

wego adresu. Oficer zatrzymał się przy znanej bramie.

— Pan do kogo? — spytał go jakiś mieszczanin, siedzący pod daszkiem sąsiedniego ganku.

Oficer wymienił Bawykinę.

— Runął starożytny potężny słup, — rzekł mieszczanin: i ona, władająca, ukróconą została: z właścicielki domu lokatorką została... Przycho-dzą, znaczy się, ostatnie czasy.

— Lecz gdzież się przeniosła? gdzie mieszka?

— U gwiaździarza jakiegoś tam, uczonego... Dojeła nam obecnie wszystkim ta anathema — drożyzna... Przystępu do niczego to niema, choć kładź się i umieraj... Na pogorzeli-skach, jak sły-chać, na Mojce, murowany dom czyjś to naprze-ciwko Sjezżej, a Filatowna w podwórzu, na dole, w drewniaku kwaterę zajmuje, — tam jest wy-wieszka krawca... Spytaj o gwiaździarza, — każdy ci tam pokaże...

Oficer pojechał do Sinego mostu, a stamtąd na prawo, brzegiem Mojki i zatrzymał się naprze-ciwko miejsca, gdzie na pusty i niski, bez bulwa-ru i ogrodzenia, brzeg Mojki wychodził murowa-ny, jednopiętrowy, podobny do fabryki, dom, z wy-sokim kominem. Na parkanie była wywieszka krawca. Za murowanym budynkiem, w głębi po-dwórza, wznosiły się zniszczone ze starości ścia-ny drugiego domu, drewnianego, o dwóch pię-trach, z czerwonym holenderską dachówką krytym dachem. Z dołu na górną połowę tego domu pro-wadziły otwarte, z platformą, schody, daszkiem dla których służyły gałęzie wysokiej, bardzo grubej brzozy, rosnącej na podwórzu przy ganku i, bez żadnych wątpliwości, pamiętającej jeszcze szwe-dów i Pierwszego Piotra. Na lewo, z poza drugie-

go domu, wyglądał огоłocony z liści, obsypany śniegiem ogród.

Zmierzchało się, kiedy błękitny, barwy habrów, ówczesny ogólnowojskowy płaszcz podróżnego pokazał się na podwórzu, gdzie obecnie mieszkała Bawykina. Omal nie zgubiwszy na ganku poszarpanego przez wiatr, z trzech stron podwiniętego, kapelusza filcowego, oficer z chudą walizeczką pod pachą szybko wszedł do sieni na dole. Wsunął w kąt walizeczkę, wkroczył do nawpółoświetlonego pokoju na prawo, stamtąd do jakiejś alkówki na lewo i, nie wiedząc co czynić, zatrzymał się przy jakichś drzwiach. Za niemi było znów przepierzenie. Przez szczelinę w tych drzwiach przeblyskiwało światło.

— Pewnie tu, — pomyślał gość, oglądając się i nabierając tchu: to się zdumieję!

— Nastasja Filatowna, witajcie! — rzekł, zastukawszy we drzwi.

— Żadnej Nastasji Filatowny tu nie masz! — odezwał się niezadowolony surowy głos, z poza przepierzenia: de science — akademji akademik tu mieszka... przepraszam!..

— Cóż to znaczy? — pomyślał zaskoczony gość.

— Akademji de science akademik tu, bóg mój! — dodał niecierpliwie głos: a do lokatorki, zechciejcie, z przedpokoju na lewo... lecz jej w domu niema.

Oficer podziękował, — chciał odejść.

— Pan zaś, przepraszam, kto? — dał się słyszeć głos za drzwiami: jak powiedzieć, kiedy wróci?

— Z zagranicznej armji kurjer, generals-adjutant pruskiego gubernatora Panina, — odpowiedział oficer.

Za przepierzeniem dał się słyszeć spieszny szelest. Drzwi otworzyły się. Na progu, w szlafroku, pokazał się wysokiego wzrostu, lat około pięćdziesięciu, barczysty i tęgi mężczyzna z mądrą, zmęczoną, w pięknych zmarszczkach, twarzą, z niedowierzającymi, dobrymi oczyma, łysy i z wielkimi żyłastymi rękoma, z których w jednej trzymał tabakierkę, w drugiej pióro.

— Z armji? co pan powiedział?... z Prus?

— Tak jest... Podporucznik narwskiego pułku piechoty, ordynans Panina, jako kurjer z papierami.

— Znajomy mojej lokatorki?

— Tak jest!

Łagodny, uprzejmy uśmiech rozjaśnił surową twarz akademika.

— Słyszałem o panu, słyszałem... Nieoczekiwany gość, — tem przyjemniej: Ona i nie domyślała się. Ile tu o panu gadano, rozprawiano. Proszę uprzejmie, niech pan zajdzie tymczasem do mnie...

— Jakież nowości? Pociesz panie, ofiaruj, — ciągnął dalej gospodarz: bijemy Niemców? nieprawdaż? kruszymy verfluchterów?...

— Bić - to biliśmy, lecz teraz cofamy się, i wkrótce, należy przypuszczać, zupełnie powrócimy. O zawieszeniu broni mówić zaczęli.

— Co?... cofamy się? zawieszenie broni?... lecz któż to proponował?

— Z naszej, widocznie, wyszło strony.

Tabakierka i pióro akademika poleciały na stół.

— Jakto? my? o pokoju? lecz pan żartuje? — wykrzyknął tęgi, o szerokich barach, akademik, drżącemi rękoma poprawiając na ramionach wytarty, szary, szlafrok kitajkowy: ach, zuchwalstwo! ach, cynizm i wstyd! ojculkowie! Po tylu to zwycięstwach! Gołąbku, młody człowieku: — z drogi pan

przemarzał... zmęczył się.. siadaj pan.. Lizchen! Liza-wieta Andrewna! Lenoczka! herbaty, samowarek dla niego.. umyć się czempredzej..

— Bitte, bitte, gleich! — odezwał się głos ko-biecy z sąsiedniego pokoju.

— Przepraszam, — skłonił się oficer: pańska lokatorka Nastazja Filatowna stara moja dobro-dziejka...

— Wiem, nie obrazi się... My z nią bardzo często rozmawiamy... archiwum wszelkich podań!..

— Gdzież jest ona?

— Na nieszpory, zapewne poszła. Niech pan zaczeka: oto, proszę bardzo tu, do pokoju mojej córeczki, Lenoczki; lecz ostrożnie. — Tu u mnie, jak u kreta, przejść, i wszelakich klatek. Dom mu-rowany na fabrykę przezemnie jest budowany, a ten z ogrodem ocalał z pożaru, — za dawnych czasów jeszcze, przez innych zbudowany. Na do-le u nas lokatorzy i gospodarstwo żony; na górze zaś mój gabinet do pracy, instrumenty, baterje elektryczne, lunety, retorty i kolby..

Do pokoju, gdzie akademik wprowadził goś-cia, wbiegła, z ręcznikiem i ze świecą, uśmiecha-jąca się dziewczeczka lat trzynastu, szczuplutka, jasno-włosa, w lokach z błękitnych oczu i uśmiechu podobna do ojca. Za nią, z miednicą i dzbanem wody — powtarzając słowa: „bitte, bitte“, — we-szła jeszcze piękna, pełna, w białym fartuchu, czepcu i z zawiniętymi po łokieć rękawami, żona gospodarza. Wszyscy oni i same pokoje, ciepłe, przytulne, wydawały się oficerowi takimi dobry-mi, uprzejmymi.

— Oto panie, gołąbku ty mój, mydło i woda! — rzekł akademik, kiedy damy wyszły: odbywajcie swą toaletę bez ceremonji, a ja — daruję pan cie-kawość—jeszcze o cośkolwiek pana się zapytam...

Tak, więc zawieszenie broni? Ach, ci przekłeci, zaślepieni...

— Panin chce poprawić sprawę i przysłał raport; żal, armja rwie się do boju.

— I cóż? jest nadzieja poprawić sprawę?

— Bóg wie, jak zdecydują; sprzymierzeńców Prus obecnie, powiadają, niemało jest i tu.

— Pomiot prosiecy! Kain! Djabli specjalni, przecież ich krzyż rosyjski nie bierzeli—chodząc po pokoiku, gniewnie wykrzyknął akademik: herodowe duszel trawka wstrętna, fufarka!..

Zakasłał się i, opanowawszy wzburzenie, zatrzymał się przy ciemniejącem w zmroku oknie.

— Szedł pies ścieżką na błocie wszelakie zielisko i draństwo, — rzekł, nie oglądając się i rozsypał niechcący to ziele — fufarkę; no, i z niego zrodził się cały niemiecki sinklit, sam stary oszust Fryc, jego generałowie Hilsen i Zietten, a z nimi i nasi domorośli kielbasiarze — Bironi, Tauberci. Winzheimi i wszystko bractwo... I im jeszcze nie wymyślać? Głupstwo! — odwrócił się i machnął pięścią akademik: ja im wymyślam za brak miłości ku karmiącej ich Rosji, haniebnie, w oczy, najwstrętniejszymi i ich przecież obrzydliwymi niemieckimi wymysłami. Rozmawiam zaś z nimi na konferencji nie inaczej, jak po łacinie. Nie może znieść ich moja buntująca się przeciw takim napaściom i takiemu bezwstydowi dusza.

— Lecz ich jest moc, panie akademik! — wyrzekł oficer: czy nie lepiej mieć z nimi wilczy ząb i lisi ogon?

— Jeden wilczy ząb, bez żadnego ogona! — coraz bardziej podniecając się, wykrzyknął akademik: nie ceremonijuję się z nienasyconymi w chciwej nienawiści włóczęgami, i dlatego nie jestem u nich w awantazu... Takim, mości panie, jest natury mo-

jej charakter i zwyczaj!... Ach, zuchwałstwo! Ach, nieskończone okrucieństwo, obalające wszelkie prawa natury... Taką to jest prawda? Zdążyła gołę-bica pokoju, zdążył Gudowicz dostarczyć gałązkę oliwną do Berlina? Boże-Panie! Czyżbyż zwyciężonemu królowi powierzać losy rosyjskiej odwiecznej polityki? Lecz tego, przyjacielu mój, Rosja od czasów ordyńskich baskaków nie widziała..

— Mieszkałem między Niemcami, — rzekł oficer: daruje pan, choć i wrogowie nasi, a u nich dobrze: porządek, nauki.

— Lecz nas to oni nienawidzą, nie uznają. Bić by tamtejszych do końca, tutejsi by się upokorzyli.. Ani pochwały dla rozwoju nauk, ojczy-stych, ani czci według zasługi, ani uwagi dla katorżnej, w kraju tutejszym pracy naukowej! Jam mozaikę, mości panie, jam hutę szklaną urządził, — a oni, — koniuchów i szewców kreatury, — pensję mi leżącymi od dawna książkami ze sklepu akademickiego płacili. Ja wynalazki czyniłem, ody pisałem, a ze mnie, kiedy mieszkałem w domu państwowym, pieniądze za dwa ubogie pokoiki ściągali. Zmęczyli mnie, poszarpali intrygami.. Wbrew woli inny zacząłby się pochylać, słabnąć, jak inni, — nie chcę ich wymieniać, — Łazarza znakomitym panom śpiewać, na tylnych łapkach za jałmużnę służyć... Lecz ja nie będę służyć! nie będę podlizywać się!.. Przyjaciół mam nie według znakomitości, — a według geniusza i gorliwości do nauk... I dusza moja, mości panowie, plebeju-szowska, pomorska... Wychował ją w sołowiec-kich - białomorskich przestworzach mroźny, nad-polarny ocean... Dlatego to wiatr słony, morski chodzi w niej, burzy się często...

„Oto człowiek, otwarta, śmiała dusza! — pomyślał oficer, z gorącem, pełnem szacunku współ-

czuciem patrząc na rodowitego plebejusza - akademika, przechadzającego się przed nim, w roztwartym na potężnej piersi, starym, kitajkowym szlafroku.

— Och, przepraszam, — rzekł tenże, zatrzymując się: pan przyniósł wielce smutne, niepokojące wieści; nie powstrzymasz się. A dlatego, — naraz dodał, znizując głos i jakoś dziecinnie — nieśmiało oglądając się na drzwi: jeżeli pan w tej chwili, jako wojskowy człowiek gotów do pochodu i usposobiony, to porozmawiajcie tu z waszą starą przyjaciółką, a za godzinę, za dwie, przy furtce stać będzie zamówiony przezemnie powóz z miasta... W domu, w pokojach, rozmawiać szczerze ciasno jakoś... Ja zaś wychorowałem się i dawno nie wyjeżdżałem. Więc my z panem, mości panie, jeżeli się zgodzisz, pojedziemy do herbergu do Iberkampfa; zagramy na bilardzie, wypijemy buteleczkę i pogadamy o wszystkim na wolności...

— Nie według rangi mnie, panie akademiku... przytem zaś droga... moje finanse...

— Dosyć, dosyć. przyjacielu. Oddawna, mówię, obserwowałem leczniczą djetę, no, i post, a dzisiaj akurat w porę i pensję z konferencji przysłali... Pojedziemy; tam, mości panie mój, ostrygi flandryjskie, ankierki tokajskie, burgundzkie i specjalny, powiem panu, na nowy sposób poncz...

Drzwi rozwarły się.

— Jaki poncz? kto poncz? — podniósłszy ręce, wyrzekła na progu tęga, siwa, lecz jeszcze rumiana i rzeźka, w ciemnej salopce i takiejże chustce, z kaletką i kluczami przy pasie, sześćdziesięcioletnia staruszka. Była to świat - matuszka, starożytny, panujący słup, Nastazja Filatowna.

Spojrzała na oficera, cofnęła się.

— Wasiał oj, a stój żeż... co to?... Wasilok, gołąbku ty mój! — wykrzyknęła staruszka i zawisła na szyi gościa.

Smagłe, na wietrze pociemniałe policzki oficera drgnęły. Gorąco podbiegł do Filatowny, z radosnemi łzami w milczeniu ściskającej nieoczekiwanego gościa.

— Och, drogi, oto jak ucieszyłeś, — rzekła: jednakże, stój... Tak i jest, czy nie wstyd ci?... Nie usiadłeś, nie jadłeś, a już i za towarzystwo, za poncz... A i pan, wasza wielmożności, — choć i gospodarz mój... Wstyd! Oto ja małżonce pańskiej wszystko zaraportuję...

— Obowiązek gościnności, mości pani, — odpowiedział, patrząc, na oficera, akademik.

— Gościnności! a ty? — łagodnie zwróciła się do gościa staruszka, po wyjściu gospodarza: no co, pijaku ponczu, kadecie, przypatrzę się, jakim to się ty obecnie stałeś.

Bawykina obeszła go ze świecą.

— Serdeczny mój, radosny! ledwie ciebie poznałam! oto ona, dola pochodowa jak zmężniał! No, anioł mój Wasienka, pójdziemy przecież do mojej nory, — nie swoja teraz, obca...

Przeszli do sieni, za którą Bawykina zajmowała dwa pokoje.

— Wasiał sokoliku mój! — rzekła, przytulając się znów do gościa, staruszka: zobaczyłam ja ciebie, nie spodziewałam się więcej... Nie taką ty zostawiłeś wdowę pana Anisima Polikarpycza... Dąb ogołocony — obecnie jestem... opadły wszystkie listeczki, wiatr je obszarpał, zwiął... Nie w takiej wąskości i ciasnocie sądzonem mi było lat dożywać. Ach! i gdzież to, Wasia, te szczęśliwe, a szumne stare lata?

Wdowa po Anisimie Polikarpowiczu, — kto

nie znał ogólnej załošnicy i pocieszycielki? samej carycy Elźbiecie Piotrownie dogodziła, bezsennie noce jej grzesznym, rabim językiem skracała. Bardzo nudziła się niekiedy łaskawa caryca, i przychodziły ją zabawiać z przedmieść i z bazarów baby-plotkarki, doświadczone, wytrawne w językach. Chadzała i łajb-kompansza Nastazja, Siedzi, bywało, jej carska mość w kaftaniku, i w chusteczce powierzech jasnych, pudrowanych włosów, i pyta gościa:

— Od czegoż to ty, Fiłatowna, jakbyś ciemną się stawiała?

— Starzeję się, mateczko, opuściłam się, łaskawa; przedtem smarowałam się bielidłem, brwi malowałam, różowałam się.. Obecnie wszystko rzuciłam...

— Różować się nie trzeba, — mówi caryca: a brwi maluj, No, siadajżeż, zełżyj no o rozbójnikach lub o jakiej innej sprawie.

— Ukarz, wszechmocna, nie mam mocy; wszystka duszyczka we mnie się trzepoce...

— Dlaczegoż to ona u ciebie się trzepoce? — śmieje się caryca.

— Jak idę do ciebie, miłościwa, to jakby do spowiedzi, a wyszłam, zupełnie jakbym u komunji była...

I przypadnie Nastazja do łóżka carycy, nóżki, spódniczki jej całuje, do rana jej trajkocze.

— W czym jest szczęście, Fiłatowna?

— W mocy. mateczko-caryco, w znakomitość! i pieniądzech. Według pieniędzy i nabożeństwo odprawiają...

— A nieszczęście w czym?

— Bez pieniędzy, wszechmiłościwa.

— A ty cóż to. więdźmo, chciwa jesteś?

— Chciwa, och chciwa i wszystko, przenaj-

jaśniejsza, co ofiarujesz, wezmę.. Pieniądz, och! — on i popa kupi, i Boga oszuka...

Wesoło carycy.

— Oto, było w dawne lata, — zaczęła Filatowna i mówi o wszystkim, co widziała i słyszała na świecie przez długie lata. Faworyci jej obawiali się, i sam kanclerz Biestuzew, w święta, posyłał jej podarunki — mąkę, miód, pudrowe bieleugi i jesiotry. I choć niedługo Filatowna żyła z wdowcem sierżantem lejb-kompanji, za to do syta dowoli. Anisim Polikarpycz często zapijał się i awanturował, ale szanował Nastię i równie obawiał się, a po śmierci, pozostawił jej dom na wyspie nad Newą. Pasierbicę wydała za kucharza hrabiego Razumowskiego, lecz wkrótce pochowała ją i pozostała okrągłą sierotą. Za to któż jej nie znał? Czy radę dać, odwiedzić w nieszczęściu, postarać się o kogoś — było jej sprawą. Nie tylko świeccy, duchowni ją szanowali. Pop z cerkwi św. Andrzeja wziął ją do siebie za kumę. Dom, gospodarstwo Filatowny słynęły w okręgu. Sama gotowała, okna i podłogi myła, bez okularów mimo starości szyla i haftowała perłami, złotem, ogród kopala i krowy doila. I nieraz sama caryca Elżbieta Piotrówna zaszczycała ją osobiście przyjazdem swoim do niej, — malin talerzyk zjeść, prosto z krzaków, lub wypić z lodowni szklanekę świeżego, niezbieranego mleka. I pieniądze trzymały się Filatowny. One też ją i zgubiły. Oddawała je potajemnie bogatym panom na procenty. Lecz czart pokreślił. Jedna znajoma poradziła jej. Złakomiała się Bawykina na wielki procent, pożyczyła niemałą sumę znanemu gwardyjskiemu utracjuszowi, i cały majątek straciła. Chciała wykręcić się w milczeniu; popłakała, porozpaczała i zastawiła swą część u bankiera Führera, lecz nie dotrzymała terminów

płatności, i dom jej z ogrodem zostały, sprzedane na początku tej zimy z licytacji.

Taki to bezlistny, ogołocony na wietrze dąb stał teraz przed przybyłym gościem.

— No, lecz co tam, siadaj sokoliku, — rzekła Bawykina do oficera:

Usiedli.

— Nie te czasy, Wasia; wszystko uciekło, uleciało, jak zmarła nasza przejasna dobrodziejka... Com zachowała dobra, gratów, wszystko tu przewiozłam... Pozostałe rozebrali ludzie.

— Niczego! da Bóg, poprawi się; oto przyjechałem, — pomyślimy...

— Późno, przyjacielu serdeczny, poprawiać się i myśleć. Dla innych, widocznie, kolej nadeszła. Oto, do greczynki jednej, za gospodynię angażując, gospodarstwa pilnować; trzeba iść za najemnicę na stare lata... Wszystko w proch się rozsypało... A ja myślałam o tobie, dla ciebie oszczędzałam... No, lecz płacz, nie płacz, na to i wielką jest ryba, ażeby drobne żywcem łykała... Powiadaj lepiej o sobie.

Oficer westchnął. Mowa nie była posłuszną. Dwa lata rozłąki niemało uniosły młodych oczekiwań, wiary w szczęście, nadziei.

— W karty, Wasia, jak dawniej wybaczyć grywasz? — spytała, spojrzawszy na niego staruszka: lecz ty się nie gniewaj, prawdę mówię.

— Co wy, zlitujcie się, — odpowiedział gość: jakąż to pensja! a tu, sami wiecie, pochody, kontuzjowany byłem: czyż miał człowiek chęć do tego?... przytem...

Oficer chciał jeszcze coś powiedzieć; słowa ześlizgiwały się z języka. Przez twarz przeszła chmura. Oczy patrzyły z roztargnieniem, gdzieś daleko. Przy ustach zaznaczyła się gniewna, ponura fałdka.

Bawykina pokiwała głową.

— Czyżbyś i tam nie zapomniał? — spytała.

— Ot, głupstwo, chęć wam...

— A ty, piskorzu, nie kręć, mów, poważnie zapytuje.

Oficer wstał, poprawił włosy. Zupełnie jakby odpędzając ciężką myśl, przeciągnął ręką po twarzy, pomyślał i znów w milczeniu usiadł przy stole.

— Tak, tak, z powodu niej, — myślał, tymczasem staruszka: dla Polikseny tyś przyjechał, ledwie zdołałeś się wyrwać ztamtąd... Znam ja ciebie! z dumy milczysz, a sam byś się rzucił, gotów prosić: gołąbko, rodzona, czy zdrowa jest ona, czy żyje?

Oficer, zgarbiwszy się, milczał. Filatowna nie wytrzymała.

— Czy nie zjesz czego z drogi?... Czy nie zagrzać mleczka, herbaty?

Gość odmówił.

— No, Bóg z nim, serdecznym, zmęczenie, znaczy się, opanowało.

Staruszka posłała mu łóżko w własnej sypialni, dała mu ogarek świecy, a badanie co do jego spraw sercowych odłożyła do innego razu: „każdy boży dzień nie jest bez jutrzejszego”.

Oficer rozebrał się, wydobył z walizy żywoty świętych i obrazek, postawił go w kąciku na stole, otworzył żywoty świętych, roztargnionym wzrokiem przeczytał kilka stron, przeniósł wzrok na ciemne okno i długo modlił się, bijąc pokłony aż do ziemi i prosząc Boga o nową cierpliwość i nowe siły.

„Ojczyzna, droga ojczyzna! — myślał: oto ona nareszcie, i ja znów jestem w niej... Świątynia Salomona!... daleko, zdaje się, do niej... Na czym oni teraz się opierają, czego się trzymają? Czy oświeciła ich choć odrobinę światłość prawdziwego

życia, światłość rozumu i wyższej braterskiej miłości? Lub też wciąż ten sam kraj, pochmurny, nieprzyjazny, opuszczony i wiejący chłodem?

— Co? położył się spać? — po pewnym czasie spytał Bawykine, spotkawszy się z nią we wspólnej sieni, akademik.

— Śpi, — niechętnie odpowiedziała Filatowna: jeszcze by też zmęczył się, serdeczny: tyle dni, na złamanie karku, pędził. A panu, mości panie, co do niego?

— A ja tak, nowinki on przywiózł i ciekawość bierze rozpytać się.

— No, tylko już darujcie, to jutro...

— A jak, proszę, zapomniałem, nazwisko tego naszego gościa?

— Rodem małorosjanin, a nazwisko jego Wasilij Jakowlewicz Mirowicz... Od maleńkości... Lecz co tam! spokojnej nocy, mości panie.. Tylko znów radzę, — chociaż pan i jest gospodarzem — nie trzymajcie długo ognia... Wszystko to u was papiery i książki... pożar jeszcze, nie daj Boże, żeby nie powiedzieć w złą godzinę... i to przytem na pogorzeliśku pobudowaliście się...

„Patrz jaki kozyr, cnotliwa starucha, jak dokuczał — uśmiechnął się akademik, z opuszczoną głową, znów przemykając się do swoich pokoi: tak jest i lepiej! i zdrowiu lżej. — Oto wątrobą w tych dniach znów się rozhulał i sprawom, prawdę mówiąc, nie opędzisz się. Mozajkę skończyć, o meteorach pisać... Basta... Żegnajcie, byle latał... „Mens sana in corpore sano”.

— Nastazja Filatowna, powiedzcie, kto jest wasz gospodarz? — spytał Mirowicz z sypialni, już po ciemku: zapomniałem się dowiedzieć.

— I ten takżel a co się to z wami porobiło?... zupełnie, jakby się umówił! Para on dla ciebie,

czy co?... Koleżski sowietnik, — przypuśćmy brygardjer... Spać czas! a to nastraszył.

Wasilij Jakowlewicz Mirowicz mocno zasnął. Świat dawno zapomnianych obrazów ogarnął go. Roily mu się dawne, dziecinne i młodzieńcze lata, ponura Syberja, potem ukraiński cichy chutor, stary tajemniczy las i pszczoły, ubóstwo i gorycze niegdyś bogatej i znakomitej, potem prześladowanej przez los, zrujnowanej i zubożałej rodziny.

II.

Przeszłość Mirowicza.

Przodek Mirowicza, podczas stracenia hetmana Ostranicy, był w Warszawie z innymi, wziętymi do niewoli kozackimi setnikami, przybity gwoździemi do osmolonych desek i spalony na wolnym ogniu.

Pradziad jego, Iwan Mirowicz, pułkownik perejasławski, był człowiekiem szalonej odwagi. Hetman Mazepa wydał za niego, w drugie małżeństwo, sprowadzoną z Polski swą siostrę, Anielę. Rozgromiwszy tatarów przy Peretkopie i Oczakowie, Iwan Mirowicz woził do Moskwy jeńców i armaty, i, powróciwszy ztamtąd z hojnymi podarunkami, budować począł murowany peresjaławski sobór pokrowski, lecz wkrótce zmarł. Tu, na jego zamówienie, na wielkim obrazie w ołtarzu, nader podobny, wyobrażony był Piotr I, obok niego hetman Mazepa i duchowieństwo, opodal damy dworu, lud i wojsko kozackie, a nad wszystkimi, w obłokach Zwiastowanie helleńskiej Bogarodzicy. Przy tej nieskończonej jeszcze cerkwi, zgodnie z podaniem, hetman Mazepa, poślizgnąwszy się, upadł z koniem. — „Nie

na dobre!" — rzekł lud i wspomniał o tem po bitwie pod Połtawą.

Syn Iwana z pierwszego małżeństwa, Fieodor Mirowicz, był generalnym esaulą Orlika. Posłany przez wielmożnego wuja — hetmana do Polski, pod komendę Patkula, zawzięty rębacz, Fieodor Mirowicz nie zniósł „musztry” niemca, bijącego kozaków kijami, i powrócił z powierzonym mu pułkiem na Ukrainę. Mazepa odpłacił siostrzeńcowi. W r. 1706 olbrzymie siły szwedów otoczyły Mirowicza w Lachowiczach. Mazepa, powołując się na wylewy, nie dostarczył mu pomocy. Opuszczony przez swoich, naciskany przez wrogów, pułkownik Fieodor Mirowicz poddał się z oddziałem i został w łańcuchach odwieziony do Stokholmu. Cerkiew w Perejesławiu, ufundowaną przez jego ojca, dobudowała żona jego, siostrzenica hetmana Samojłowicza, Pelagja Zacharowna, urodzona Gołubina. Uwolniwszy się z niewoli, Fiedor Mirowicz przebywał czas pewien w Turcji, potem w Warszawie u Wiśniowieckiego, gdzie i umarł. Za porozumienie się Fiedora Iwanowicza z uciskaną ojczyzną, Piotr I zesłał żonę jego i synów na Syberję i zabrał na skarb majątki nie tylko winnego wobec niego Mirowicza, lecz i nic niewinnej żony jego.

Młodych synów Fiedora Iwanowicza car, po pewnym czasie, ułaskawił. Mirowiczów zwolniono z Syberji do Czernihowa, do ich wuja, znakomitego Pawła Połubotko, który w r. 1723 zawiózł ich do Petersburga i umieścił, celem odbycia nauk, w gimnazjum akademickiem. Tu byli niedługo. Połubotok skończył życie w fortocy, siostrzeńcy pozostali bez środków i z biedy porzucili naukę. Starszy z nich, Piotr, otrzymał miejsce sekretarza przy dworze wielkiej księżniczki Elżbiety Piotrówny; młodszego, Jakóba, wziął do siebie z łaski poseł

polSKI, graF Potocki, z którym ten przebywał w Polsce. Lecz wkrótce przejęto list Piotra Mirowicza do Warszawy do ojca, z kopją ukazu o Połobotce i z zawiadomieniem o ucisku narodu małosyjskiego. Braci znów aresztowano i przewieziono do Moskwy, potem w 1732 r. znów wysłano pod postacią dzieci bojarskich, na Sybir, gdzie Piotr Mirowicz dosłużył się stanowiska zarządzającego kantorem isietskich zakładów, a w następstwie był nawet mianowany wojewodą Jenisiejskiej prowincji.

Podczas koronacji Elżbiety w Moskwie, były do niedawna jeszcze śpiewak carówny, Aloszka, teraz zaś wszechpotężny i wielmożny graF Aleksy Grygorjewicz Razumowski, wspomniął carycy o losie swych zapomnianych rodaków, Mirowiczów. Caryca osobiście w senacie, w 1742 r., ogłosiła ukaz imienny, mocą którego obydwóm braciom Mirowiczom, po powtórnem dziesięcioletniem zesłaniu na Syberję, darowano przebaczenie i pozwolono służyć, gdzie zechcą. Zapragnęli dokończyć życie w spokoju, w ojczyźnie, gdzie, po krótkim pobycie w Moskwie, przenieśli się.

Stara „Mirowiczka”, matka Piotra i Jakóba Fiedoryczej, Pełagieja Zacharowna, była zwolniona z Syberji do Małososji o dwa lata później od synów. Napróżno podawała z zesłania i z Małososji prośby carycom Annie i Elżbiecie, błagając je o zwrot jej, jeżeli już nie mężowskich, to chociaż by części jej własnych, posagowych i nabytych majątków. Na wszystkie jej prośby odpowiadano odmownie. Niegdyś wielmożna pani — esaulowa, spokrewniona przez męża z Połubotkami, Mokijskimi, Zabiełło, i Łomikowskimi, i żona siostrzeńca hetmańskiego, Pełagieja Zacharowna umarła, po powrocie do ojczyzny, w ubóstwie. Bo-

gata i znakomita, również ograbiona rodzina jej nie tam patrzała, synowie pomagać nie mogli, a co otrzymała od niewielu starych przyjaciół, używała na dokończenie rozpoczętej przez świekra i męża budowy cerkwi.

Dymisjonowany wojewoda janisiejski, Piotr Fiedorowicz Mirowicz, był usposobienia gwałtownego, zadzierzystego i dzikiego. Na Syberji, między innemi, pozostawał on przez czas pewien pod śledztwem za to, że w charakterze rządcy prowincji Jenisiejskiej, zjawił się w kancelarji wojewódzkiej w szlafroku i kołpaku i tam przed lustrem zwymyślał najpierwszych kupców najgorszymi słowami. Prowadzący śledztwo, zresztą, uniewinnili go. Powróciwszy z Syberji do Moskwy, a potem do ojczyzny, nie uśmierzył swego charakteru. Będąc biednym i dumnym i spędzając ostatnie lata gdzieś w głuchem miasteczku, z niewielkiej zapomogi od jakiegoś sąsiedniego magnata, nikomu nie ustępował i umarł z pijaństwa, zarabawszy przed zgonem oficera policyjnego za to, że ten przed nim nie zdjął kapelusza.

Brat Piotra, Jakób Mirowicz, był charakteru łagodnego i cichego, przy tem od dzieciństwa słabego zdrowia. Nauka mu szła ciężko. Petersburga, gdzie przez pewien czas pozostawał w gimnazjum akademickiem jak i pobytu u Potockiego, prawie nie pamiętał. Podczas pierwszego zesłania, w Tobolsku, uczył się w szkole u niejakiego „nie-szczęśliwca“ Sylwestrowicza, który dobrze grał na skrzypcach, lecz po rusku prawie że nie mówił.

Ożeniwszy się z niebogatą córką kupiecką Akiszewą, podczas pobytu w Moskwie, Jakób Fiedorycz, za życia matki i brata, jakkolwiek jeszcze utrzymywał rodzinę. Po śmierci zaś ich, wpadł w ostateczną nędzę, owdowiał, schamiał

i, zdziczawszy z ubóstwa, mało czem się różnił od pierwszego lepszego chłopca — parobka: chodził w siermiędze i wysmarowanych dziegciem butach i najmował się do sąsiadów — obywateli to jako klucznik, to jako ekonom, handlował przez pewien czas wódką, pędził na sprzedaż stada bydła, a zestarzewszy się i nie widząc w niczem dla siebie powodzenia, osiadł u kuma — zagrodnika Daniły Majstruka, w lesie na pasiece, doglądać pszczoły. Kuma Daniło trzymał od jakiegoś tam grafa w dzierzawie strzępek tej samej ziemi, która była odebrana ojcu Mirowicza.

— Tu i umrę! — rzekł sobie Jakób Fiedorycz, siedząc przy starym piecu, w bajkowej, niedźwiedziej jaworowej chacie kuma: złożę tu kościł ziemia mimo wszystko nasza!

— A syn? a córki? — zapytywał siebie starzec.

Jakób Fiedorycz Mirowicz, z przedwcześnie zmarłą, tak samo jak i on słabego zdrowia żoną, miał czworo dzieci: trzy córki: Praskowję, Agra-fienę, Aleksandrę i syna Wasilja. Córki rozebrali między siebie dobrzy ludzie. Chłopiec dorastał przy ojcu.

Zimą Wasia uczył się na chutorze u djaczka, latem pomagał ojcu przy pszczołach, nosił mu do lasu obiad i wieczerzę, plótł koszyki, strugał babom łyżki i wrzeciona, grał na fujarce i teorbanie. Ktoś wrzucił do rzeki szarego szczeniaka; Wasia z płaczem rzucił się, omal nie utonął, lecz zdołał go uratować i wychować.

Raz usłyszał ojciec, jak jego dziesięcioletni Wasia w cerkwi śpiewa i czyta pismo św., i zamyslił się:

— Nie, mieszkać mu nie w lesie, nie na wsil! — rzekł do siebie Jakób Fiedorycz: innym się udaje, — spróbuję i ja o niego!.. Wszakże on krwi

szlacheckiej... Przodkowie znakomici byli i nie pod płotem się przewalali... A caryca Lizawieta Piotrówna łask swoich dla Ukrainy nie zamurowała jeszcze w ścianę...

Myślał długo, i w końcu zdecydował się urządzić los syna.

Stało się to przed ośmiu laty, a właśnie w 1754 roku.

Był upalny letni dzień.

Z Małorosji do Petersburga, parą wołów i na prostym chłopskim wozie, przyjechał podróżny—wysoki, chudy, lat około pięćdziesięciu. Był on w długiej, czarnej świcie i w szarej, barankowej czapce. Sam siwy, a czarne oczy, jak węgle, świeciły z pod nastroszonych brwi. Na wozie przy nim siedział chłopiec, lat około trzynastu, z dodatkiem. Przy wozie szedł szary, kudłaty pies. Jechali drogami bocznymi, karmili woły paszą z pod nóg, sami żywili się sucharami. Wyruszyli z domu w środku kwietnia, przybyli do Petersburga w połowie czerwca. W drodze znajdowali się prawie dwa miesiące. Byli to Jakób Fiedorycz Mirowicz i syn jego Wasilij.

Zatrzymali się na odpoczynek na obszernej, porosłej gęstą zieloną trawą, łące Admiralicji. Wyprzęgli woły, wykąpali się w Newie, pomodlili się Bogu i posilili się. Chłopiec, człapiąc bosimi nogami po rzece, zauważył pod bastjonami fortecy stado pasących się na trawie krów dworskich, i podpędził do nich swoich długorogich. Starzec wyjął z za pazuchy papier, długo myślał nad nim, wsunął go znów na miejsce i z batem w rękę, poszedł szukać czegoś na Newskiej „perspektywie“.

Chłopiec, tymczasem, wyszedł z psem na plac i zaczął przyglądać się miastu. Wszystko go zaj-

mowało i piękność i wielkość budynków, armaty na bastjonach, hałas jazdy ulicznej i krzatanie się robotników, z krzykami i śpiewami wyładowujących w tym czasie na kanale, resztki kamienia, cegły, olbrzymich belek i desek dla budowy, wtedy rozpoczętego przez Rastrelli'ego, obecnego pałacu Zimowego. Z zachwytem patrzył chłopiec i na złoty, jaskrawie płonący w słońcu szpic admiralicji, Piotropawłowski sobór i dawną Isaakiewską cerkiew. Odwrócił się chłopiec w tył, przed nim w bezgraniczną dał, ciągnęła się, cała w jasnej zieleni gęstych, w cztery rzędy, wysokich lip, Newska perspektywa. A po niej szli strojni panowie, jechali konno wojskowi, pędziły cugiem wyzłoczone karety.

Jakób Fiedorycz ze słowami:

— A bądźcie łaskawi, powiedzcie gdzie tu? — zdejmował czapkę nieomal przed każdym przechodniem. Wszyscy dziwili się jego mowie, odzieży i poczerniałej z upału, z siwymi wąsami, twarzy. Przechodnie wzruszali ramionami i szli dalej. Mieszczan nic on nie obchodził; i przytem ukraińca rzadko kto rozumiał.

Zrozumiał i wysłuchał Jakóba Fiedorycza wypadkowo spotkany przez niego u ówczesnego drewnianego mostu Aniczkowa, jakiś dostojny i z wyglądu dumny człowiek. Z podwójnym podbródkiem i pakownym brzuchem, jegomość ten, sapiąc i ledwie posuwając nogi, szedł w jedwabnym, zielonym kapeluszu, w błękitnej kamizeli i czerwonych trzewikach.

Dzień był duszny. Nieznajomy, pomimo swój strój, niósł z targu, będącego za mostem, na Litejnoj, w jednej ręce — pęk zieleniny, a w drugiej — parę, wykreconych do góry nogami, żywych kapłonów. Mirowicz z ukłonami powtórzył i jemu, o co mu idzie. Grubas okazał się rodakiem jego.

— A więc ty, rodaku, grafa Razumowskiego? — rzekł, zmarszczywszy czoło i chrząkając.

— Jego to, jego... Razuma naszego i żywiciela!...

— Kwaterę to on ma w samym pałacu carskim, a od miesiąca z powodu przeróbek, tam oto gdzie mieszka! — dumnie wyciągnął pęczek zieleniny dostojny jegomość, wskazując, przez zarosły trawą brzeg Fontanki, na blaszane kopuły pałacu Anicz-kowa: to będzie jego chatka... Caryca mu podarowała... Co, ładnie?

— Fit — fit! — zagwizdał ze zdumieniem stary Mirowicz: a pan, jaśnie oświecony panie, czem będzie? i jak pana tytułować?

— Kafe-szenkiem u grafal — jeszcze dostojniej sapnął przez zęby grubas: i ja ci, ziomku, pozwól, niech tak i będzie, w czym trzeba pomogę...

— Jakżeż to kafe-szenk?... jaka to będzie ranga?

— A to, prawie że co hof-diener, — sypał piasek w oczy grubas: nie o wiele co mniejsze od tafeldeckera, a to i więcej od tego...

Mirowicz zdjął czapkę i już nie nakładał...

Ziomek przyprowadził go do ogrodu Anicz-kowa. Ominęli ten ogród od strony dworu Gościn-nego i od strony grobli Fontanki i stawów Czer-nyszewskich, podeszli do niewielkiej furtki ogro-dowej. Przewodnik, przy rozstaniu, dał Mirowi-czowi kilka wskazówek i obiecał, jeżeli zajdzie potrzeba, wynaleźć mu mieszkanie.

— Ot, miły, ganek, — wskazał przez furtkę na jeden z letnich pawilonów pałacu: idź tam prosto... Z przedpokoju będzie ci, bracie, świetlica, — w niej graf urządził teraz przyjęcia petentów... Tam, jeżeli nie spóźniłeś się dzisiaj, i oczekuj...

Mirowicz, cienistemi, wonnemi alejami, prze-szedł do wskazanego pawilonu, zajrzał do przed-pokoju — ani duszy, zajrzał do poczekalni —

również nikogo: powstał przy progu, dwa razy zaklął i, jak był, w czarnej świcie i wysmarowanych dziegciem butach, podwinąwszy nogi usiadł na błękitnej, adamaszkowej, ze złoconemi toczonemi nóżkami sofie.

Długo oczekiwał. Nikt nie przychodził i nie było słyszeć głosu. Przyjęcie, widocznie, skończyło się. Lecz raz dostawszy się tak łatwo do wysokiego grafa, — o którym, jako o dobroczyńcy swej rodziny, tyle się nasłuchiwał i o którym taka sława i takie rozmowy szerzyły się w ojczyźnie, — Mirowicz postanowił, żeby tam nie wiem co, czekać.

— A jak wypędzą? No, szlachcica, przypuszczam, i nie ośmielią się...

W pokoju było jeszcze goręcej, niż na dworze. Muchy też coraz siadały na spoconą, zarosłą przez drogę, twarz ukraińca. Mirowicz to drzemiał ze zmęczenia, to z przykrością i wymysłami, oganiając się przed muchami, chwycił je w locie i gniótł. Jedna szczególnie natarczywie i długo mu dokuczała. Spędził ją z szyi, — ukąsiła go w policzek i przeniosła się na kolano. Zacisnąwszy zęby, wycelował w nią, klapnął się w nogę, lecz chybił: mucha wykręciła się, pokrażyła po pokoju i usiadła na wielkim, japońskim wazonie. Zadrzemiał wśród ciszy Mirowicz. Promienie słoneczne, wpadając przez gałązki cicho drżących lip, jasnymi wijącemi się plamami światła błyskały po posadzce, bronzach i zwierciadłach. Mucha znów usiadła na policzku Mirowicza, brzęcząc i płacząc się w wąsach, ugryzła go i znów odleciała na wazon.

— A zbrodniarka! — zamruczał Mimowicz: poczekaj żel szkoda! teraz nie uciekniesz!

Wstał i wolno, na palcach, zaczął skradać się ku dokucznicy: naszykował się, rozmachnął się,

lecz mucha znów poleciała obok, wazon z bukietem runął z podstawy i rozleciał się na kawałki.

Rzeźbione lakowe drzwi otworzyły się w kącie pokoju. Za niemi ukazała się poła aksamitnego wiśniowego szlafroka, gwiazda na wyłódze. I rumiana, zdziwiona, a jednocześnie śmiejąca się twarz i gęste czarne brwi, czarne, powłóczyste, piękne oczy i drgające od wybuchów śmiechu, duże wilgotne dobre usta...

— A co, ziomku, złapałeś? — rozległ się głos dyszącego zdrowiem czterdziestoletniego wielmoży, który poznał w gościu ziomka.

Jakób Fiedorycz padł przed nim na kolana. Graf Aleksy Grygorjewicz Razumowsij łaskawie dodał otuchy tracącemu głowę petentowi uprzejmie wprowadził go do gabinetu, usadowił na fotelu i zaczął dopytywać, kto on jest i jak się tam dostał?

— Wiem, wiem, sercel... Lecz czyżby wołami? — spytał, ze zdziwieniem podniósłszy brwi, Razumowskij: nie żartujesz?... więc tak, gołąbku błękitny, na wołkach, a jeszcze, być może, na szarych?

— Na szarych, wasza grafska światłości, na szarych...

— I poganiacza, chłopczyka, pewnie wziął?

— Syna... wyrostka...

— Dawaj go, gołąbeczka, tutaj, może i pieśni grywa? gdzie on?

— Na łące, przy nowym pałacu, bydełko z psem pasie.

— Jakto? gdzie?

Mimowicz objaśnił. Graf ostatecznie począł tarzać się ze śmiechu...

— Oto jak wymyślił! — aksamitnym śpiewnym głosem wyciągał Razumowskij: któż ciebie do mnie skierował?

Mirowicz opowiedział o swoim spotkaniu z kafe-szenkiem grafa, który i na mieszkaniu, u teściowej swojej, obiecał go urządzić.

— Jaki kafe-szenk? i co ty, didu, pleciesz? — znów poruszał podniesionemi brwiami graf; — zio-mek? i gruby? Al... tak więc oto kto... Jurczenko Abramka! No, nazwał że się, sobaczy syn, jakim tytułem... A on u mnie za podręcznego w kuchni dla służby... Kafeszenkiem zaś, druhu, jest u mnie francuz Brioché, i taka, powiem ci, szelma zręczna i dumna, że Abramkę jeszcze za czub wytarga, jak dowie się o jego samozwaństwie... Tak, tak, to on sam i jest! i jego teściowa, Bawyksza, ma swój dom na wyspie... I znakomicie...

Razumowski zadzwonił.

— Jedź-że ty, serce, do niej, — rzekł: a jutro o tej porze — lub nie, poczekaj — lepiej pod wieczór,—bądź tu znów u mnie, lecz bezwarunkowo, z synem i wołami.. Wtedy i o interesie twoim pogadamy. A teraz nie mam czasu, — jadę do pałacu...

Za ścianą dał się słyszeć ruch. Pośpiesznie wszedł przyodziany w złotą liberję sługa, za nim — drugi.

— Toroch, toroch, posypał się grochl.. Ech, mazgaje... Śpicie tam, — rzekł Razumowski, a tu, ażeby czart tak i tak pobił waszego ojca.—Dobry człowiek oczekuje... Zawołać kucharza Abraszkę.

Wszedł Abram. Mirowicz oczom swoim nie wierzył: gdzie się podziała dostojność mniemanego kafe-szenka,—i brzuch ochlapł, gdzieś w kamizelę schował się podwójny, spocony podbródek.

— Nie pijany dziś?—spytał, surowo marszcząc brwi, graf: no i znakomiciel rzadko to z wami, arcybestje, bywa... Tak więc co... Bierz ty, Abraszka, oto tego gołębia błękitnego do swojej teścio-

wej na kwaterę. i strzeż go, słyszysz, więcej niż oka... Ugość tam, uspokój i pokaż mu i jego chłopcu stolicę.. A to dla niego tymczasem na wydatki.

Graf rzucił kucharzowi sakiewkę.

Następnego dnia caryca Elżbieta Piotrówna piła u grafa, w Aniczkowskiem ogrodzie, wieczorną herbatę. Przybyła z letniego pałacu łódzią z wioślarzami i muzyką na rogach. Łódź wjechała prosto z Fontanki do stawu, znajdującego się wtedy pośrodku podwórka Anieukowa.

Carycy w ogrodzie przez grafa zostali przedstawieni Jakób Fiedorycz i syn jego Wasilij. Chłopiec grał carycy na teorbanie, śpiewał „Turkawkę“, „Hrycia“,—tańczył „trepaka“ i deklamował pochwalną, ku czci carycy ułożoną w tym czasie przez kijowskich bursaków odę. Caryca rozplakała się, lecz, po trzech tygodniach, kiedy jej z senatu dostarczono wiadomość, że co jej zmarły rodzic zabrał na skarb majątność Mirowiczów, nie uznała za możebne uczynić zadość prośbie Jakóba Fiedorycza.

— Cudactwa, mospanie, i dosyć! — wykrzyknął, marszcząc brwi, Razumowski, którego protekcja nie pomogła: nie wszystko, bracie, po naszemul — kogut mówi kudkudak, a kureczka — nie tak! Lecz sprawa twoja, nie rozpaczaj, jeszcze wypłynie... Dowiedz, słyszysz, że wśród zabranych wam folwarków były rodowe, własne majątki matki twojej. A bez tego — żeby ich choroba,—nie można... Osądź... senat na twoją korzyść nie doniesie... Powiedziano: moskale! łykiem związani, w łykach chodzą, pod łykiem śpią... Wiesz, serce, jakie oni mają przyczepki, i maski,—

na trzy arszyny, psy, pod ziemią zmacają. Nie można... finanse, skarbcowy interes!..

Lży zdławiły Mirowicza. Nie spodziewał się odmowy i niepowodzenia, kiedy uzyskał widzenie nie tylko z grafem, lecz i z carycą, rozmyślał, co by jeszcze powiedzieć, lecz nie znajdował słów.

— A o chłopczyku twoim, o synie, i nie myśl! rzekł wzruszony, jego rozpaczą graf: caryca, do pełnoletności jego, bierze go pod swoją opiekę i łaskę. I taki—siaki będę, słyszysz, jeżeli kłamię! Napluj mi wtedy w oczy... Jutro zaraz każe go zapisać do kadetów, do szlacheckiego tutaj korpusu, — bo on u ciebie bracie, mimo wszystko, szlachcic, nie można! eh! tego nie można! A jeszcze oto jaki do diabła piśmienny... wiersze z powagą wali—i dyskant znakomity... Bez kamertonu, od razu górne nuty, sobaczy syn, bierze... Turkawkę, nie chodź Hryciu, jak odśpiewała!.. Cherubińską moskiewską także znakomicie zaśpiewał, bez omyłek; a przypuszczam, i dworskiego, koncertowego, prędko się nauczy... A woły swego kuma, serce, wiesz, lepiej tu pozostaw, — sprzedaj je choć i mnie... Sławne woły! i szkoda je, dziadu, znów gnać, bies go wie, i gdzie... Ja bym, słyszysz, posłał je na folwark tu swój, do gostilic... Mam tam, serce, pałac, a jakie łąki! Niechby chodziły, hodowały się, i cieszyły na paszy... Hej, hej, kraju rodzony, chutory nasze, przestrzeń... Ech—ma! A, zresztą, jak chcesz. Brat Kirilo do Baturina meble nowomodne posyła sobie w tych dniach do pałacu hetmańskiego... To byś i ty może pojechał z jego chłopcami...

Jakób Fiedorycz podziękował, lecz, ulokawszy syna w korpusie, pojechał wołami do domu z kudłatym szarusiem.

Po powrocie do ojczyzny, stary pociągnął niedługo: przeziębił się jesienią na pasiece i umarł. Napisały o tem młodemu Mirowiczowi^o siostry, żyjącej u obcych ludzi w Moskwie. Zięć Bawykinoj, Jurczenko, straciwszy żonę skutkiem przedwczesnego pòłogu, zaczął z rozpacz y pić w grafskiej kuchni i również zmarł w tym roku.

Nastasja Filatowna, w sieroctwie swoim, niespostrzeżenie i mocno przywiązała się do Wasi Mirowicza; brała niezgrabnego i w początkach niedźwiedziowatego, a potem rzeźkiego i zgrabnego, przystojnego kadecika do siebie na święta. pieściła, napominała i niańczyła, jak rodzonego, Z kadecika wyrósł wkrótce kadet, z chudego, zagłodzonego chłopaka—rosły i pełen zdrowia młodzieniec, który niewiedział, gdzie podziać sterzące ręce i nogi; nie w dnie, a w godziny wprost wypierało go ze skarbowego, wąskiego mundurka.

— I gdzież ty to, Wasieńka, leziesz w górę! tak rośniesz?—mawiała staruszka: prędko już przypuszczam, a nie dosięgnę ręką do twego czuba,

Z początku Wasia łaził na podwórzu Nastazji Filatowny po dachach, po jabłoniach i brzozach, ganiał gołębie, w piłkę i dołki grywał z chłopakami ulicznymi. Zadrapania nie schodziły Wasi z nosa, a siniaki ze skroni. Filatowna też wciąż reperowała jego kamizelki i spodeńki, cerowała mu pończochy. Lecz oto Wasia ostatecznie wyciągnął się i uspokoił. Chudy, muskularny, barczysty, jakby leniuch, a w czarnych oczkach tak i migają ogniki. Landszafty maluje farbami i miniaturą, wymyślne winiety do nut Razumowskiego kreśli i jemu zanos i. Chodzi z książką po ogrodzie Bawykinej, głośnie czyta jakieś wiersze; mówi, że powtarza rolę do teatru kadeckiego. Zielony kaptan uczniowski czysty na nim, jasny barcap w puk-

lachi upomadowany; kapelusz trójrożny, jak z igielki, białe mankiety i pończochy bynajmniej nie zawalane. Skończył osiemnaście lat. W korpusie był już szósty rok.

— Któż to was tam aktorstwa tego naucza? — pytała go Filatowna.

— Sam Aleksander Piotrowicz, sam pan Sumarokow! — odpowiedział Wasia Mirowicz: i my graliśmy w tych dniach, w domowym naszym teatrze, komedję jego „Potwory”, a w niedługim czasie na dworze, w własnych wewnętrznych apartamentach carycy, będziemy grać jego również tragedję „Hamleta”... Ach! jakie wiersze, jakie!..

„...Kocham Ofelję, lecz serce szlachetne

Być winno sprawiedliwe, choć w jeństwie,
[choć wolne“...

Serce kadeta Mirowicza, w rzeczywistości, w krótkim czasie zostało wzięte do niewoli. Znalazł swoją Ofelję i odrazu zakochał się w niej namiętnie, szalenie, do czego przyznał się koledze, urodzonemu w charkowskiem namiestnictwie.

Zdarzyło się to w r. 1759, niezadługo przed ukończeniem nauk przez starszy kurs korpusu. W Petersburgu i okolicznych willach wielmożów, z powodu przyjazdu księcia Karola Saskiego, odbywały się nieustanne zabawy i uroczystości, — z karuzelami, chuśtawkami, zjeżdżaniem z gór, połowem ryb, strzelaniem do celu i teatrami.

W gostilicach w willi Razumowskiego, dawano przetłómaczoną z francuzkiego sztukę: „Pastuch i dumna pastuszka”. Kadet starszego kursu Mirowicz, który skończył geometrję i fortyfikację z atakiem i uczący się w tym roku u korpusowego uczonego adjunkta, Fluga, cywilnej jursysprudencji, prawa naturalnego i języka niemieckiego, grał rolę pastucha. Rolę pastuszki grała jedna

z pięknych i wesołych kamer-mädchen carycy Elżbiety, Poliksena Iwanowna Pczółkina, — nieznanego rodu podrzutek. Nazwisko swoje otrzymała skutkiem tego, że caryca, spotkawszy w korytarzu pałacu kędzierzawą z czarnemi oczkami i złocistemi włosami dziewczynkę, zatrzymała się i rzekła:

— Oto śpiewa, brzęczy, zupełnie jak pszczołka!..

Od tego czasu i została Pczółkina.

Zakochany w niedostępnej i dumnej pastuszcze na scenie, pastuch — Mirowicz złapał ją zniebaczka za kulisami, objął w pasie i, namiętnie przytulając się do jej różowych z dołeczkami, ubielonych i oblepionych muszkami policzków, czule szepnął ze swej roli:

„Kiedyż biedaka pastucha —

Kiedy pokochasz ty, pastuszek?”

Pczółkina wyrwała się mu, poprawiła zmięte blondyny i wstęgi i, złożywszy adoratorowi rewerans, z drwiącą powagą, odpowiedziała również wierszami odegranej pastorałki:

„Kiedy ty będziesz bogaczem,

Wielmożą, a nie pastuchem,

Żeby nie mieszkać nam w ubogiej chacie,

A w wyzłoconym pałacu“...

.....

Cień wszelkiego spokoju, od tego czasu, opuścił zakochanego kadeta. Cywilna jurysprudencja, styl niemiecki i prawo naturalne Fluga zostały zarzucone. Zamieniły je bezsenne noce, westchnienia, pisanie namiętnych i czułych madygałów, a w przerwach, z rozpacz — pijatyki z miejskimi hulakami i karty.

— Chocholątko zgłupiałol — mówili koledzy.

I rzeczywiście: Mirowicz stał się rozdrażnionym, ponurym, zamknął się w sobie.

Bawykina zamierzała nie raz wezwać na głowę swego rozbrykanego ulubieńca gromy i błyskawice ze strony Razumowskiego. Lecz wszechmocny graf dawno przestał myśleć o młodzieńcu, który niegdyś śpiewał odę i tańczył „żórawia” w jego ogrodzie, chociaż przy spotkaniu z nim zwykle żartował.

— Winiety świetnie kreślisz, i cherubinów, i herby... A poczekaj, jednakże, poczekaj!.. Chcesz, laleczko, pierożków?... i kiedy wołami do domu?..

W dzień, zobaczywszy ukradkiem Pczołkinę, Mirowicz wpisywał do swego dziennika stanze ku ukochanej:

„Pozbawiony rozmów miłosnych,

Widzę cień twój z sobą...

I, ach! twoich nie widzę choć spojrzeń,

Lecz myśl zawsze, wszędzie z tobą...”

Wieczorem, w dortuarze korpusu lub w dusznej komórcie służbowej, rznął z bogatszymi z kolegów w lamouche i faraona. Pragnienie wygrania, wzbogacenia się ciągnęło go ku sobie, i ku wielkiemu własnemu zdumieniu, wygrywał. Z początku srebro, a potem i złoto zjawiały się u kadeta. Nierzadko pełne kieszenie rubli przynosił do Nastazji Fiałowny.

— Zkąd bierzesz, postrzeleńcze? — dopytywała się.

— Schowajcie, gołąbko, schowajcie starannie, a to znów spuszczał—odpowiadał: to dla Polińki!.. wszystko dla niej... jak zostanę oficerem, oświadczę się i ożenię..

Wieści o szczęśliwej grze Mirowicza doszły i do naczelnika korpusu, bogatego i znakomitego księcia Jusupowa. Surowy kierownik i ulubieniec

powierzonych mu wychowawców, był również namiętnym graczem.

— A czy grasz w rocambole'a?—spytał go pewnego razu książę.

Mirowicz w tym czasie szykował się do skończenia egzaminów.

— W co pan sobie życzy...

— I w wista royal?

— I w wista...

— Poczemu rober?

— Chociaż po dziesięć rubli...

— Ot jak! A w pikietę umiesz?

— Umiem.

— No, przychodź do mnie: jutro Oczyszczenie N. M. Panny, święto,—zagramy w cokolwiek...

Mirowicz na dwa dni przedtem widział się z Polikseną u znajomej Nastazji Filatowny, porucznikowej Pticynej, i przez cały czas po spotkaniu z uwielbioną, niedostępną pięknością, był jak nieprzytomny. Gorliwie modlił się o powodzenie w grze, nawet obiecał postawić świecę u św. Izaaka, jeżeli wygra, i wbrew radom kolegi—charkowca, poszedł do mieszkania Jusupowa.

— No, usiądziemy do biribi, — rzekł wielmożny naczelnik, kładąc karty na stół: ogóreczki, ogórki poszli w ruch zuchyl.. czy tak? no więc, siwə, pójdziemy w pochód... pieniądze są?.

Kadet pokazał dukaty. Jusupow postawił obok siebie szkatułkę. Zaczęli grę.

— Matko najświętsza, królowo Kazańska pomóż! — myślał Mirowicz: cóż, jeżeli wygram od niego, nie to że setkę, półtysiąca, tysiąc rubli?.. On jest bogaczem, w grze, jak słyhać, zapala się, łatwo zapomina... Wtedy... o! wtedy Poliksena moja...

I rzeczywiście zaczął wygrywać.

Kiedy ściemniało i podano świece, srebro a potem i złoto ze szkatułki Jusupowa do połowy przeszły do kapelusza kadeta. Ręce księcia drżały, brwi ze zdumieniem poruszały się, starcza, apoplektyczno — czerwona twarz okryła się białymi plamami. Nie przestawał sypać ulubionemi przysłowiami.

— I zaczęła powątpiewać!... i zaczęła! — wygłaszał, kurczowo uderzając kartą o kartę: — hura, siwa, nie zostawaj!.. zanurzyłeś się po uszy, wal tam i po czubek...

Szkatułka Jusupowa opustoszała.

— Hej, wina! węgierskiego!.. wypijemy, bracie! — zapominając się, krzyknął naczelnik: jakoś duszno...

— Nie piję! — wybełkotał blady, podniecony powodzeniem Mirowicz.

— Głupstwo, stukniemy się! u mnie, bracie, stare...

Podali butelki i kieliszki. Księżę wypił, nalał i partnerowi, wypił i jeszcze; drwiąc ze swego niepowodzenia, roztworzył okno do oranżerii, a drzwi zamknął na klucz, wydobyl z pękatego, wykładanego bronzami biurka garść koralu i kilka przedmiotów jubilerskich, i zaczął podwajać stawki.

— Ach wy, Saszki—kanaszki moje, gdzieście podziały podciężki moje? — żartował, rzucając karty o stół.

Do północy Jusupów stracił siły i oparł się o tył fotelu. Wszystko wyjęte przez niego było znów przegrane. Oczy księcia gorączkowo błyszczały, w kąciakach ust ukazała się piana.

— Tyś mag, czarownik! — przechrzypiał, podpitym wzrokiem patrząc na kadeta i zrywając z szyi obszytą koronkami chustkę: — nie wyciągnęła,

siwa, zwątpiała.. zatrzymała się.. Wynos się teraz, bracie, jak jesteś, jakbyś nie grał.. inaczej,—dodał naraz Jusupow: ja ciebie za grę w karty pod sąd..

Mirowicz zmarł.

— Jaśnie oświecony książę! pan żartuje? — wyrzekł, jękając się.

— Nie żartuję, nie żartuję.. Idź pókim dobry, idź zdrow... Nie, to ja cię, kanaljo, wypędzę.. nie czysto, widać, grasz..

— Jak pan śmie!—krzyknął, zrywając się Mirowicz: pan się zapomniał.. Takie słowa rodowitemu szlachcicowi.. Moi przodkowie nie mniejszymi od pańskich wielmożami byli..

Mirowicz tracił przytomność.. Ręce i podbródek jego trzęsły się. Jak pijany chwiały się, stojąc, przez stół, w groźnej postawie naprzeciwko księcia. Oczy jego zachodziły mgłą.

— Precz, młokosie, precz! zawołał Jusupow, również zrywając się z fotela i grubymi skaczącymi palcami zgarniając znów do szkatułki leżące na stole pieniądze, korale i klejnoty,—ja ciebie, mości panie, tylko próbowałem.. Czyż nie domyśliłeś się? Widzę teraz, jakiś ty ptak.. Jusupowa, bracie, księcia nie oszukasz..

Światło ostatecznie zamroczyło oczy Mirowicza.

Przewrócił stół z kartami i winem, rzucił się do księcia, wyrwał mu szkatułkę i schwytał za ręce. Wszczęła się rozpaczliwa walka między silnym, tęgim starcem i zręcznym zuchwałym młodzieńcem. Olbrzymia peruka księcia spadła pod sofę, zegarek był upuszczony w starciu i zdeptany nogami, koszula i mankiety porwane na strzępy. Porządnie dostało się i kadetowi. Z oderwanym wyłogiem kaftana, z pękniętą na szwach kamizelką i z rozfryzowanym harcapem, w walce ręcznej

pozwolił niechcący wyslizgnąć się sapiącemu w jego objęciach księciu, otrzymał od niego celny cios czemś ciężkiem w głowę, lecz wykręcił się, znów złapał go za kominem w kącie, i z krzykiem:

— Módl się! teraz kaput ci, potworze! — cienkimi palcami z całej mocy schwytał go za tłuste gardło.

Mirowicz udusiłby księcia Jusupuwa, lecz z przedpokoju do gabinetu, na odgłosy ich szamotania zbiegli się słudzy.

Zaczęli stukać do drzwi. Mirowicz opamiętał się, wypuścił księcia. Jusupow, dusząc się, w milczeniu wskazał mu okno do cieplarni, skąd było specjalne wyjście do ogrodu. Ten zwlekał. Książe, nienawistnie chrapiąc i pocierając gardło, złożył mu niski ukłon. Mirowicz schwytał kapelusz i wyskoczył.

Jusupow przyszedł do siebie. Nie otwierając drzwi, zawołał, że nikogo nie wołał i żeby zostawiono go w spokoju, doprowadził do porządku swe ubranie, meble i rzeczy, i zamknął okno. Opuściwszy sztory, wypił całą karafkę wody, zegnając się i stękając, przeszedł się kilka razy po pokoju i usiadł, ażeby napisać do faworyta carycy, Iwana Iwanowicza Szuwałowa, długi list.

W tydzień po tem zajściu, kadet Mirowicz, za lenistwo, a również za zuchwałe i rozpustne sprawowanie, nie ukończywszy kursu, odesłany został, jako żołnierz, do armji zagranicznej, gdzie w dwa lata potem dosłużył się rangi podporucznika.

Jusupowa raził paraliż. Po długoletnim zarządzie korpusem kadeckim, został zwolniony z tego stanowiska i wkrótce umarł. Ustnie przed śmiercią zapragnął wysłać zagranicę wydalonemu kadetowi znaczną sumę pieniędzy. Lecz bliscy

jego zapatrywali się na to, jak na zbędne pobłażanie, i polecenia jego nie wykonali.

III.

Petersburg za czasów Piotra Trzeciego.

Mocno spał po podróży zagranicznej Mirowicz u Nastazji Filatowny, a i było tak spokojnie w ciepłym, wygodnym pokoiku. Ruchu ulicznego na brzegu Mojki w miejscu tem nie było prawie słyszeć. Bawykina i w cerkwi zdążyła być, i na targ chodziła, i kończyła w kuchni gotowanie obiadu.

— A to się zasnął, serdeczny!—rozmyślała.

Obudziły Mirowicza nierozłączne kanarki gospodyni. Tak wesoło świergotały na słońcu, że się obudził, otworzył oczy, lecz nie odrazu przyszedł do siebie, rozglądał się po pokoju, przypominał.

Oto stara, poczerniała, dębowa komoda Filatowny, — brzoza, z szybami, szafa do naczyń. W komodzie leżały niegdyś jego kadeckie koszuliny, zeszyty, podarte przy bieganiu pończochy. A z szafki tak zawsze pachniało cynamonem, imbirem, i leżały tam, oczekiwały go na święta, pierniki, orzechy, cukierki. Na ścianie — portret do pasa, w koronach, zmarłego Bawykina. Pan Anisim Polikarpycz, w kaftanie, haftowanym złotem, i w czapce lejbs-kompanji z piórami, dumnie i dostojnie patrzył z ram i jakby powtarzał słowa manifestu Elżbiety Piotrówny: „a szczególnie i najwięcej na prośbę lejbs-gwardji naszej szwadronu tron nasz przyjąć raczyliśmy“. Mirowicz nie zastał już Bawykina przy życiu. Lecz władza i moc zmarłego jeszcze uznawane były przez pamięć tych, którzy go znali.

Jeden z trzech set grenadierów, którzy wprowadzili Elżbietę na tron, w dni hulanki — „podpiwszy z przyjaciółmi,” bywało, wszczynają taką awanturę, że kanclerz Bestużew, słysząc ze swego domu, przez Nową, hulaszczę pieśni i krzyki przy jego bramie, posyłał cedułki do generał-policmajstra o wydelegowanie patroli dla ochrony spokoju sąsiednich ulic i domów.

— Wszystko oddam, wszystko tobie po mojej śmierci przekażę, — mówiła w owe dni Nastazja Filatowna do kadeta Mirowicza: ucz się tylko szanować władzę, wyjdź na ludzi. Dojdiesz do rangi, będziesz znakomity, ambicji swej nie narazisz, i mnie do końca życia doglądać będziesz... Jedno pewne: na wojnie siana nie nakościs, na świecie zboża nie nasiejesz. A bierz, mości panie, przykład choć by ze mnie... Samej carycy dogadzałam, duszyczkę jej gadaniną rozkoszowałam... I miała za to baba Nastazja szacunek i przychyłność... Dziewka hulaj, a o sprawie pamiętaj... Darmo, bracie, nic niema; darmo i wrzód nie usiadzie...

Wszystko się zmieniło, wszystko minęło. Bieda jawnie przeglądała w całym umeblowaniu Bawykinej. Nie spełnił jej nadziei i były jej wychowawiec. Mirowicza zauważyli, za odznaczenie się pod Berlinem, gdzie był kontuzjowany, awansowali na oficera. Lecz ciężko dały mu się we znaki dwuletnie pochody, niewygody wszelkiego rodzaju, krzywdy ze strony starszych, zdrady i intrygi kolegów, i ta surowa bieda, bieda bez końca. Jeszcze bardziej skupił się, stał się skrytym, zazdrosnym, rozdrażnionym i dumnym. Obce kraje co do wielu rzeczy otworzyły mu oczy.

Spotykał się tam z mądrymi ludźmi, w tej liczbie z masonami, czytał książki, nie mało sko-

rzystał, wsunął nos i w takie mowy i sprawy, o jakich mu się przedtem i nie śniło. Ordynarność generała Bechleszewa na porannem przyjęciu w koleggi nie wychodziła mu z głowy.

— Ukryć chce propozycje Panina, — nie wychodziło mu teraz z myśli, i zdrajcy! berlińscy służalcyl.. nie ukryją... Jutro znów pójde i dopnę swego.

Mirowicz wstał, ubrał się szybko i wyszedł na ulicę, Coś tkwiło mu w głowie. Dorożką dojechał na Litejną, wyszukał czyjś dom, między mieszkaniami urzędników dworskich, obszedł go, długo patrzył na okna i drzwi, i spytał kogoś, kto wyszedł z tego domu. Wywołano mu sługę, odpowiedzi ostatniego nie doprowadziły do niczego. Postał jeszcze Mirowicz przed zagadkowym domem, jeszcze popatrzał na okna. Bardziej ponury, niż chmura powrócił na Mojkę, przeszedł do pokoiku Filatowny i w milczeniu położył się na łóżku. Bawykina weszła do niego ze śniadaniem.

— Myślałam, że śpi, a on już za interesami, — rzekła, siadając naprzeciwko niego i z ciekawością mu się przyglądając.

Milczał.

— Cóż to masz tutaj? — rzekła, spojrzawszy na obdarty zeszyt, leżący na kupie rupieci, wyjętych z walizy.

Mirowicz i na to nic nie odpowiedział. Na okładce zeszytu, pięknem pismem, widniał napis: „Chram Apprentifski“. Wokoło tytułu były rysunki tuszem, — dwa słupy, trójkąt, pion, młotek i inne znaki. Był to katechizm masoński, łoży św. Jana, stopnia ucznia (apprenti).

— Dyplom, czy co, na rangę? — spytała rozpromieniona Filatowna.

— Tak!.. nie, tylko... artykuł,—koledzy dali,—niechętnie odpowiedział Mirowicz.

— Służ, Wasilij, służ; czasy ciężkie; wybijaj się!.. Pies jest kosmaty—ciepło mu; nam zaś oto jak zimno... A złoty młot, chłopcze, on i żelazne wrota przekuje. A dlaczego? Dlatego że obecny świat sam jest gnijący... Zgnilizną nad nami pachnie... Dzisiaj krowa, a jutro padlina...

Bawykina westchnęła, wsparła głowę na rękę.

— I już tak jest źle, tak.. Wszystko co małeńkie, widzisz, do wielkich się pcha. Lecz nie być niedźwiedziowi prowodyrem stada, a świni ogrodnikiem. A zem zbiedniała, to jeszcze nie bieda. Miasta—i te naprawiają, nie tylko koszule.

Mirowicz nie odzywał się. Bawykina popatrzała na niego uważniej.

— A tyś napewno na Litejną się machnął? Czego patrzysz? Zgadłam, nie bój się? Przyznawaj się.

— Gdzie Polińka?—spytał Mirowicz.

— Cóż to, sam nie wiesz, nie korespondowałeś z nią?

— Przez cztery miesiące ani słuchu o niej, milczy,—na listy nie odpowiada,—porywczo i grubo wyrzekł Mirowicz.

— To—to, Wasilij, ukrywasz,—rzekła, kiwając głową, Filatowna: a ja, przyznam ci się, niekiedy dopytywałam się. Pamiętałam twoje zabiegi... Ot i dziś... Tylko, bracie, ani Pticyny, ani Prochor Ipatjicz,—stangret zmarłej carycy, ani Szepielewych kuma,—kasztelanka pałacowa, nikt nie wie. Jak umarła na Boże Narodzenie carycy, twoja to, czy wierzysz, jak w wodę wpadła. A i dziwić się nie ma czemu. Porządki, sam wiesz, poszły zupełnie inne. Dwór zmarłej carycy zwolnili, rozpuścili,—kto gdzie. No, a ona, wiadomo,—biedaczka sie-

rota; gdzie jej to w tutejszym Babilonie kręcić się. Gdziekolwiek przed zalotnikami pocichu dziewczka się schowała... Sam znasz jej charakter, — nietykalna, dumna i obraźliwa, — taka, pomyślisz, caca, — nie lubi. Zagranicę chyba? — Tak nie: wiedzieli by. Bez paszportu, przecież, odrazu i nie wyjedziesz...

— Cuda! — wyrzekł Mirowicz: czy też żyje, czy na prawdę gdzie wyjechała?

— A co do tego, bracie, mówię ci, nic nie wiem! — z niezadowoleniem odpowiedziała Filatowna: dwór, sokole ty mój, nowy i porządki nowe. Nie to, że kamer-mädcheny, hof-generałowie u nowego cara i jego gospodyni — wszyscy prawie się zmienili. A przecież twoja to, prawdę mówiąc, człowiek niewielki, no i wiater ją, drobną trawkę i zdmuchnął z ziemi precz.

Mirowicz nie słuchał Filatowny. Ta wzięła tacę, zabrzęczała talerzami.

— A oto co ci powiem, — rzekła znów Filatowna co tam twoja Poliksena? no powiedz? Nędza beznadziejna i tylko. Tobie, mości panie, nie tego potrzeba. Niema grzechu gorszego od biedy. Pamiętaj słowa baby Nasti, — tu cała prawda. No, osądź. Tyś młody, w sobie piękny, ranga u ciebie też już oficerska, i każda za ciebie teraz, no, malowana królewna pójdzie... A choćby, na przykład, i córka samej Pticynoj... jaka narzeczona? Zobaczysz, jaką pawicą się stała — wyrównała się przez ten czas, stan taki pełniutki, chodzi, kręci ogonem, jak kaczką, — a włosy, a oczy... A przytem, Wasilij, dom jaki na Litejnej, willa na Kamiennom; a po śmierci matki, przy jej szczęściu, jeszcze i kapitał. Wyżywisz się, no i o mnie w tym czasie nie zapomnisz... Oto ja ostatnią chłopkę Gaszkę z biedy sprzedałam generałowi Gudowiczowi, jakim tu się przeprowadzała na kwaterę. Wie-

rzysz, puchem i pierzami teraz handluje—ciągnęła dalej, zalkawszy i obcierając oczy Filatowna: skupuję u państwa, i sprzedaję w Gościnnym na poduszki i piernaty... Doprawdy, pomyśl gołąbku, nie śpiesz się... Na szybkim koniu swatać się nie próbuj; a żona, bracie, nie gęślia, pograwszy na sęku nie powieszisz.

Mirowicz z przykrością i niecierpliwością stuknął nogą o podłogę. Siedział w milczeniu, z opuszczoną głową. Jego bóstwo, zgrabna, chudziutka pastuszka z filuternem spojrzeniem zimnych, szarych i zagadkowych, jak u sfinksa, oczu, z dołeczkami i muszkami na policzkach i z dumnie wywiniętymi, drwiąco — drżącymi usteczkami, nie zniknęła z jego myśli.

Filatowna rozzłościła się. Brzęcząc na tacy z naczyniami, omal nie rozbiła ulubionej filiżanki.

— A z czegożbyście wy żyli? — no, odpowiadaj i jakie obecnie ceny?... A ty nie kręć nosem, prokuratorze, a rozważ z sensem: funt herbaty dwa i pół, sażeń drzewa rubel i sześć grzywien... co? Lecz co! Czy słyszane za pud mąki żytniej dwadzieścia sześć kopiejek. Koniec świata, i wszystko.. Wołowiny, wołowiny funt—mniej dwóch kopiejek nie oddają... Jak tu żyć?..

— No, jak żyć, o tem już nie wiem,—nawpół pogardliwie odpowiedział, wstając, Mirowicz: i czy pójdzie za mnie Poliksena.. A przyjaciółki jej, Pticynę, przedtem nie spostrzegałem i teraz widzieć nie chcę... Wyście pytali, co to za książka?—Mądre są w niej słowa.

— Jakie tam znów słowa?

— Świat na trzech podstawach jest zbudowany,—ciągnął dumnie i jak by w zadumie Mirowicz: na rozumie, sile i piękności — Rozum — dla przedsięwzięcia, siła — dla wprowadzenia w czyn,

piękność — dla ozdoby.. Życie nasze — świątynia Salomona, i każdy kamień w nim nie kładzie się bez zmęczenia i skargi.. Zresztą, wy tego, wybaczcie, nie zrozumiecie.. Lecz poczekajcie, jedno słowo... Okażcie mi taką łaskę. Zajdźcie jeszcze raz do stangreta Prochora Ipatjicza, do Pticynych i do kumy Szepielowych, kasztelanki.. Dowiedźcie się, gdzie z pałacu mogli dostawić Pczołkinę? Przecież nie wyrzucili jej na ulicę, w dworskim ekwipażu wieźli..

— Tak więc dla ciebie, wysunawszy język, zaczęła biegać biegać za dziewczkami! — odpowiedziała, machając rękoma, Filatowna: zestarzałam się, bracie, zestarzałam! czas by i na odpoczynek... Siadaj chyba sam, i pisz publikację do gazet, jak dawniej listy do kochanek pisali: słodkie, oto, wymawiając słowa miódopłynne, gdzie jesteś, odezwij się! Piękności bezgranicznej włoży stopy zachwycające, uśmiech korzystny i przyjemny, charakter wesoły i przejasny, jaskółeczko moja złotokształtna, odezwij się!.. Nie, bracie, uwolnij, — szruby rozsrubowały się, nie nadam się... do rupieci czas...

Filatowna, jednakże, tylko udawała tak waleczną. Pod pretekstem porozumienia się z handlarzami pierzyn, rzekła, że musi po obiedzie udać się do Gościnnego, narzuciła zniszczoną szubkę, wzięła jakąś paczkę, wyszła za furtkę i znów powlokła się do lejba stangreta, do kumy Szepielowych, kasztelanki, i do Pticynych.

Powróciła Bawykina o zmierzchu. Była bardzo nie w humorze, nachmurzona, i wymyślała.

— Jakże kursy, wybac Panie! Oto taki handel.. Gdyby nie kamer-furjerzy Gierasim Kraszennikow, i Wasilij Kiryłycz Rubanowski — rzekła, rzucając w kąć paczkę i patrząc na Mirowicza:

to nikt już w świecie nie powie ci, gdzie obecnie jest Poliksena... Oni sporządzali spisy przy pogrzebie carycy, oni tylko teraz i wiedzą, gdzie skierowała kroki twoja Miliktrisa Kiribitjewna.

Wyszła. Mirowicz zapisał w notatniku wymienione mu nazwiska i zakrzętał się nad walizą. Zamknąwszy drzwi, zaczął czyścić bardzo zniszczony mundur, szynel i trzewiki, wydobyl z jakiegoś zawiniątka igłę, załatał sztyblety i długo, wzdychając, męczył się nad rozprutym przy podszwie trzewikiem; rozczesał i starannie zafryzował harcap i pukle,—obwiązał je, dla zachowania w porządku, na sen, chusteczką i poprosił o obudzenie go o świcie, ażeby zdążyć upudrować się, ogolić i, po odbyciu meldunku u władzy, puścić się na poszukiwania kamer-furjerów Kraszeninnikowa i Rubanowskiego.

— Dolo przekłeta,—gdzieś ty? —mrucał, rozbierając się: na dnie morza, w ziemi, czy wyżej?

Rano Mirowicz jeden z pierwszych zjawił się w koleгии. Tam go, wbrew oczekiwaniom, zatrzymali długo. Tłoczyli się kanceliści, gwardyjscy i armiejscy oficerowie. Z oddziału zagranicznego przyjechał w nocy nowy kurjer. Do południa poczekalnia i schody koleгии huczały od rozmów różnego rodzaju ludzi, jak ul. Brzęcząc ostrogami i zuchwale ciągnąc pałasze po nogach spotkanych i wymijanych z zuchwałemi koszarowemi manierami, rozmową i głośnym śmiechem, przeszli w ślad za jakimś jasnowłosym i kusym holsztyńskim brygadjerem, nowoupieczeni ulubieńcy gwardyjscy. Między drobiazgiem braci mundurowej zaczęto mówić szeptem, a potem i głośniejszym, że ogólne smutne przepowiednie sprawdziły się: holsztyńcy tryumfowali, i Wołkońskiemu do korpusu pogranicznego posłane było polecenie — wszczęcia

formalnych pertraktacji i przerwania działań wojennych z księciem Bewerńskim. O „propozycjach” Panina nie było i wspomnienia. Na Mirowicza, siedzącego w kącie na ławce i podtulającego załatane kelano i źle zeszyty trzewik, teraz już nikt nie zwracał uwagi. Wczorajszy, gniewny i nadęty, jak kogut, generał Bechlemiszew, wyszedłszy z zatroskaną i, zdawało się, niewyspaną twarzą do poczekalni, zauważył go i skinieniem, lekceważąco, zawezwał go do siebie. Sapiąc i przyglądając się swoim białym malutkim rączkom, milczał przez chwilę i naraz, patrząc prosto na niego, wybuchnął:

— Więceś ty, Mirowicz? co? co?.. Mirowicz?, ordynans Panina?. A dlaczego to, mości panie mundur na tobie według starego wzoru? A i halstuch—papillon'em, czyli motylkiem, nie według formy zawiązany! Ordynansi? Pieszczoszki!—krzyczał, tupiąc nóżkami, generał: czyż wam nie były posłane rozkazy co do nowych mundurów? co? Wolnomyślicielstwem tylko tam się zajmowaliście, po teatrach, po oberżach, włóczyliście się, i pieniądze trwoniliście na hulankach!.. Wygodnisie, hulacy, utracjuszeli..

— Nie zasłużyłem, nie zasłużyłem! — odpowiedział, wybuchnąwszy i sam nie wiedząc, co mówić, Mirowicz: podobny afront oficerowi... ja... pan... pan...

— Tu stolica, sam car, — a nie ordre-de-bataillie! — krzyknął jeszcze zapalczywiej Bechlemiszew: idź, mości panie, i strzeż się... słyszysz, mówię ci, strzeż się!.. Faworyci sztabowili ordynansi! A będziesz potrzebny, przyślą po ciebie...

— Ach ty kaoaljo! — pomyślał z drżeniem Mirowicz: a cóż to? i za co? tylko co przyjechałem, i naraz...

Gardło jego ścisnął kurcz. W milczeniu odwrócił się, zeszedł blady ze schodów i zacisnąwszy zęby, łykając sny oburzenia, pojechał do domu, powtarzając:

— No, ojczyzna! ugościła za pierwszym razem..

Bawykinej nie zastał w domu. Przyszli po nią z jakiegoś sklepu. Poczekawszy godzinę — drugą, Mirowicz uspokoił się, przyszedł do równowagi. Przypomniawszy sobie akademika, poinformował się co do niego u służby i zmieszał się.

— Tak więc kto to jest! — przebiegło mu w myśli. Zamyślony poszedł zewnątrz schodami oficyny. Akademik był w górnym, narożnym pokoju, wychodzącym na ogród.

Łomonosow stał przy prostym, okrągłym stole. Słońce jasno świeciło przez okna. Paląc niewielką piankową fajeczkę i, nachyliwszy się nad mapą Północnego Oceanu, kreślił na niej przypuszczalną przez niego drogę, przez obejście Syberji, do Chin i Indji. Teraz był wystrojony, — w peruce, bez pudru, w sukiennym, ceglastej barwy, kaftanie, w czystych mankietach i w białej chustce na szyi. Na fotelu przy kominie, z książką w rękę, siedziała jasnowłosa Lenoczka. Do książki zaglądała z roztargnieniem, ukradkiem patrząc na szarego kociaka, bawiącego się z frendzlami dywanu na podłodze.

— Al pan oficer! — rzekł z uśmiechem, przysuwając krzesło, Łomonosow: bardzom rad... Siadaj pan, ojczulku... Niedawno mnie pan porządnie zmartwił. Starzeję się, a i chorowałem tej zimy, nogi przeziębilem, na śmiertelnem łożu leżałem, no, i nie panuje nad sobą niekiedy. I jakżeż panować! Wykańczałem nową odę, a porozmawiawszy

z panem, rzuciłem ją do pieca i, jak jest, całą tą noc nie spałem. Wyjechałem dziś do akademji, pańskie słowa potwierdzają się, — tylko i mówią wszędzie o zawieszeniu broni... Skłamałem widocznie, pisząc w porywie na nowy ten rok:

Piotra Wielkiego z powrotem

Wita ruski kraj...

— Pokój! a lepiejby mnie knutem na placu bili, samego niemcem zrobili, niżeli to usłyszeć. — wyrzekł Łomonosow, rzucając fajkę na stół i kaszłając.

Rumieniec załzał jego blado-żółte, w surowych zmarszczkach policzki. Żółcizna wystąpiła i w zamglonych przez lata, wielkich, surowych i jednocześnie łagodnych oczach.

— Lenoczka! piwka by nam angielskiego! — rzekł do córki: weź od mamy klucze, a zimniutkiego, z piwnicy... duszę uspokoić... parę buteleczek, nie więcej..

Lenoczka kilkakrotnie biegała do piwnicy.

Piwo rozwiązało języki nowych znajomych. Łomonosow zaczął na mapie objaśniać Mirowiczowi korzyści z wymyślonej przez niego, obok Syberji, drogi do Indji.

— I wciąż werfluchterzy, wciąż niemcy przeszkadzają, — rzekł: dziś na konferencji, wierzy pan, omal gardła w sporze z nimi nie zerwałem... Zbiór nienawiści! Nic, jak jest nie poradzisz z tyloma przeszkodami, z takim nadmiarem zawistnej krzywdy i kłamstwa...

— A co, Michajło Wasiljicz, — spytał Mirowicz: nie ustąpiłby nasz nowy car, Piotr Fiedorowicz, swemu przyjacielowi, zdecydowałby się, zgodnie z myślą Panina, kontynuować wojnę, — wszak na wiek byśmy Niemców uspokoiли.

Twarz Łomonosowa zachmurzyła się.

— Żle, — rzekł, machnąwszy ręką i podsuwając się z fotelem do kominka: i nie daj Boże, jak źle.

— Cóż?... Czyż zdrowie słabe ma car? — spytał Mirowicz.

Łomonosow skinął na córkę, ażeby wyszła.

— Słuchaj, młody człowieku, i osądź sam! — zaczął, po chwilowem milczeniu: o tobie wiele się nasłuchałem od swej starej przyjaciółki; a i przyjechałeś ty z takiej dali... Zważ, oceń, na świeżą głowę, niewygody naszych ciemnych, burzliwych dni, i powiedz, z głębi serca, zdanie swoje. Przypuszczam, znane ci są czyny wielkiego Piotra... Co w Rzymie w ciągu dwustu lat, od pierwszej wojny punickiej do Augusta, wszyscy ci Scypjoni, i Sulle, i Katoni zrobili, to on w ciągu swego tylko życia, on jeden w Rosji dokonał. Pierwszym następcom daleko było do niego! Choćby dwór przy carycy Annie Iwanownie... jak by ci się wyrazić, — był na wzór niemieckiego, marniutkiego dworu panującego. Lecz i wtedy ruscy lepsi ludzie wszędzie, w głębi państwa, jeszcze po rusku żyli i mówili. Caryca do opery w szlafroku domowym jeździła, Birona dzieci niańczyła, kurlandzkim koniuchom i łowczym cały rząd w opiekę oddała. I przecież ci oto Bironi, Ostermani i Minichy, mimo wszystko jednak byli poddanymi ruskimi, w imieniu Rosji działali... Regentka Anna Leopoldowa — słyszałeś ty o niej i o jej ciężkim losie?..

— Mało słyszałem... w szkole i na służbie nie było czasu na to... cośkolwiek mówili...

— No, więc powiem ci pokrótce i o niej... Ona dramat Addisona, „Zairę” Woltera lubiała deklamować i po trzy dni, prostych obyczajów pewna siebie, nie chesała się... Przy niej to Niemcy Niemców żarli i nam z tego było i przyjemnie

i pożytecznie... A zmarła caryca, bóstwo moje, Lizawieta — Piotrówna? Och, cóż grzech ukrywać! przy niej! — nie za twojej, rozumie się, pamięci. — wszystko u nas cudzoziemskim, francuzkiem zostało, — zwyczaje, moralność, mody i język... Lecz mimo to, gołąbku ty mój, chochole, — lepsi ludzie ruscy, lepsze rozумы i serca ją otaczały... Umiała ona wybierać ich i cenić... I ja, rosyjski, rodowity poeta i mówca, ja — Łomonosow, — nie nadarmo, słyszysz, z serca, zgłębin duszy ją opiewałem...

— Pamiętam pańskie wiersze, — z uczuciem przerwał Mirowicz:

„Carów i carstw ziemskich ulga“...
i inne o niej:

„Panujesz nam dwadzieścia lat“...

— Ona karę śmierci zniosła w Rosji! — ciągnął dalej Łomonosow: w Moskwie, w myśl moją, otworzyła uniwersytet; w ojczyźnie twojej, na Ukrainie, w Baturynie, również, zgodnie z moim projektem, otworzyłaby, gdyby nie umarła, — i święcie czciła, łabędzica moja biała, czyny swego ojca, wielkiego i jedyne go w świecie bohatera mego, Piotra...

— Jednakże, — zauważył po namyśle, Mirowicz: to były kobiety, — Katarzyna, dwie Anny, Elżbieta, i prawie pod rząd... Babskie carstwo... mówili wśród ludu. Wojsku sprzykrzyło się być pod kobiecym zarządem... Teraz u nas na tronie jest monarcha, i znów Piotr...

— Piotr, lecz nie pierwszy! — rzekł Łomonosow: nie było i nie będzie takiego drugiego. Czyż za przykładem dziada to wielkiego zamysła on rządzić. Daleko, przyjacielu kochany! Dudki... Sam się spodziewałem... To, rozumie się... i Piotr Drugi, chłopczyzna, w senacie uroczyście obiecał, na podobieństwo Wespazjana, rządzić, nikogo nie za-

mucac... A co się działo potem? Jestem nieociosany, jestem ordynarny, i mnie dzikiego pomorzana, mości panie, — za czyny nieprzystojne i zuchwałstwo z siwą małpą Wintzheimem, Taubertem i z innymi akademickimi naszymi kielbasiarzami, — w areszcie przy policji trzymali. Lecz, jeżdżąc jeszcze z ojcem, na barce rybackiej, po północnem morzu lodowatym, przywykłem walczyć ze złymi żywiołami... Wielka i groźna, mości panie, natura mroźnego podłapornego oceanu wychowała mnie.. Proste sumienia jestem, bracie, lecz nie ulegający wpływom.. I niczem nie kupisz niezadowolenia i smutku obrażonej i buntującej się duszy mojej... Powiem ci, młodzieńcze, prawdę... U nas teraz jest najście nie ruskich niemców, a niemieckich, najnikczemniejszych i okrutnych... I obecnie, bracie — dodał półgłosem Łomonosow, nachylając się do Mirowicza i jeżeli nie znajdzie się geniusz, ażeby pobitego przez nas filuta Fryderyka utwierdzić w dawnych umiarkowanych granicach, to wszystkie wpływy nasze na sprawy europejskie wyrwą nam. I będzie nasz wielki kanclerz, a mój dawny dobroczyńca, Woroncowa, ministrem tylko nie swego monarchy, a tegoż, przez nas znów do życia przywróconego, Fryderyka. Czyż to nie żart, że w kolegium wojny, w konferencji, gdzie się unoszą nazwiska Szeremetjewych, Apraksynych, Biestuzewych, obecnie kompasem wszystkich spraw staje się dopiero co przybyły z Berlina, poseł Fryderyka, Goltz, i wujaszek cara, komendant jego holsztyńców, książę George.

— A co słyhać o małżonce carskiej, o Katarzynie Aleksiejewnie? — spytał Mirowicz.

— Poczekaj, dojdą i do niej... Ciężki grzech wzięła na siebie zmarła caryca Elżbieta Piotrówna. Z specjalnie ważnych politycznych i racji stanu

ona, nicogłosiwszy o swem małżeństwie, aprowadziła sobie, jako następcę, z Holsztynji swego rodzonego siostrzeńca, obecnego cara, Piotra Fiedorowicza, kiedy ukończył on czternaście lat. Pamiętam, jak przywiózł go z Kilonji do pałacu terazniejszy tutejszy generał-policmajster, baron Mikołaj Andrejewicz Korf. Smutno było patrzeć na tego uprzejmego — i powiem — z dobrem sercem młodzieńca. Chudziutki, szczupły, blady, z wiary przytem, skutkiem wypadkowych okoliczności, luteranin... cokolwiek umiał po francuzku, lecz, wyobraż sobie — ani słowa nie mówił po rusku. Czyż takiego należało oczekiwać następcy na rosyjskie dziedzictwo Wielkiego Piotra? Nauka jego w Holsztynji zupełnie była zaniedbaną. Nauczyciele — szwedzi, przygotowywali go na tron stockholmski i wychowali go, rozumie się, nie tylko w obojętności, a nawet i w pogardzie dla dalekich ruskich barbarzyńców. I taki to on właśnie zjawił się przed dwudziestu laty w Petersburgu... Mówię, dobry on jest, i nie bez zdolności do nauk; cokolwiek i na sztuce się rozumiał: strzelec Bastjan wyuczył go w Holsztynji grać na skrzypcach... Lecz nie powiodło się siostrzeńcowi carycy w Rosji: ledwie go przywieźli, biedaka powaliła ospa. Caryca — ciotka kochała go, żałowała, sama pierwszych ruskich modlitw nauczyła. Potem ożeniła Piotra Fiedorycza, i wziął on sobie, — wybór szczęśliwy, — księżniczkę mądrą, akuratną, charakteru niekobiecego, mocną i zapalną, istny ogień... Ty pytałeś o Katarzynę Aleksiejewną, jaką jest?... Tak, przyjacielu mój... Oto gdzie siła woli, oto gdzie rozumu zbiornica i wszelkich darów i zalet przyjemność!... Więc co! Czyż wśród napływającej licznie, po dobrej zamorskiej czeladzi, ustrzeżesz serce święcie? A Piotra Fiedorycza jakimi

otoczyli zausznikami! Z Kilonji mu całe wojsko ordynarnego holsztyńskiego bydła nawieźli. I zaczęli nowi jego przyjaciele, Zweidele, i Sztofele, Katzau, odciągać go od mądrej, oddanej mu żony. Towarzystwo jej zamienił na kompanję swoich kaprali, na śmiechy pociechy z trzpiotem Łopuchiną, z córką najpierwszego naszego złodzieja, Birona, z panną Karo i z księżną Szalikową... Caryca — ciotka zobaczyła to wyraźnie, lecz było już za późno. Nawet chciała wysłać siostrzeńca znów zagranicę...

— Co pan? — spytał ze zdziwieniem Mirowicz i kogóż w takim razie ogłoszono by następcą?

Łomonosow popatrzał na niego i westchnął.

— Jest jeden... był, — rzekł jak by do siebie: i los mu się uśmiechał, tyle było przy kołysce jego oczekiwań, nadziei... Na purpurowej aksamitnej poduszce dziecię to narodowi pokazywali, bili z jego portretem monety, przysięgali mu, manifesty w imieniu jego wydawali... Dobierali dla niego ruskich nauczycieli, mnie, najniższego jeszcze w tym czasie studenta, myśleli zaprosić.

— Cóż on? umarł?

— Umarł, lub, ściślej mówiąc... za życia pogrzebany!... Carski więzień!... i żyje, i jednocześnie martwy...

— Jakto żyje? Jakto więzień?... Dlaczegoż on nie rządzi? i gdzie jest on?..

— Nie pytaj o to, gołąbku ty mój, Wasilij Jakowlewicz: — kiedykolwiek innym razem! A lepiej i wogóle nigdy.

Łomonosow zamyślił się. Wielkie surowe oczy jego jeszcze bardziej się zamglły. Z zaniepokojonej dalekimi wspomnieniami, szerokiej piersi wyrывało się zatrważające chrypienie. Ogólne milcze-

nie trwało kilkanaście minut. Wahadło na ścianie gabinetu spokojnie tykało.

— A oto ja panu, panie mój,—odpowiedział, naraz ostro roześmiewszy się, Łomonosow: panu, dla rozweselenia, mógł bym przeczytać ułożony na mnie, na Łomonosowa, przez tutejszych niemieckich tępaków złośliwy i bardzo ostry paszkwil... W tych dniach w akademji na mój stół podrzucili... Bardzo dużo już zaszczytu... Huncwoty!.. Banda prosiaczal.. To ulubiona moja nadana im przezemnie nazwa... Wymawiają mi, że chłop i że nie jestem od tego, ażeby czasami w kompanji wypić... To prawda... Wymyśłajcie, zuchwalcy, słabości, namiętności niepokonanel.. Wymyśłajcie i za to, że przeciwko najściu ludów, a sam, śmiechu warte, u Niemców się uczyłem i z niemką żonaty... Wymyśłajcie. Wszystko to prawda... Uczyłem się u Niemców, mądrzejsi oni od nas, i długo jeszcze my nie obejdziemy się bez nich... Lecz sami to, sami wymyślający, czy dobrzy są? Chwalcy omyłek i słabości władcy! Pochlebcy! Namówili monarchę dać wolność szlachcie. I panowie senat do tego stopnia się uradowali, że przysłali deputację z podziękowaniem, złotą statuetę, ku czci nowego Salomona, chcieli odlać... Dmitryj Sieczenow z tego powodu pochwalną mowę wygłosił I ja, grzeszny, do tego stopnia przez wszystkich porwany byłem, że chory odę napisałem. I teraz myślę: no, czyż panom potrzeba wolności? Ludowi, oto, przyjacielu mój, komu! Nie twoi syci krewniacy, — wybac, moi siermiężni ich potrzebują, o nią wszyscy błagają Pana Boga... To rzeczywiście, prawdę tyś, Wasilij Jakowlewicz, powiedział, nie kobieta teraz na tronie. Lecz, pytam się ciebie, jakież w tem sens? Wyście tam krew przelewali, filuta i po-

chlebczę bez serca Fryderyka biliście, a tu przed jego portretem na kolana w Rambowie stawali, krzyczeli mu z puhaem wina: hoch! i z drwinami, wszelkiem szykanami witali nasze nad niemcami zwycięstwa...

— Czyż to może być? — ponuro spytał Mirowicz: czy to nie oszczerstwo? to już nad miarę.

— Przysięgam ci na Boga, nie żartuję.. Mówią nowym doradcom cara — niema u nas prawdziwego zbioru praw; on kodeks fridericianus dla Rosji kazał tłomaczyć. Biedna Katarzyna Aleksiejewna zupełnie obecnie opuszczona, zapomniana; kompletny prostak, Lizawieta Woroncowa faworytą. Jedyne go syna cara, Pawła, dotychczas nie ogłoszono następcą. I otaczają, jak zwartym murem otaczają, dobrego, ufającego, lecz słabej woli monarchę nie mądrzy doradcy, a młodzi trzpioci, chciwi cudzoziemcy. I już tak go pilnują... Chciałem, wniknąwszy w to bliżej, satyrę napisać, wojnę wytoczyć tej czeladzi. Lecz niech ich... Mądre jest przysłowie: nie wygodnie jest siadać w pokrzywy...

Mirowicz nie spuszczał oczu z mówiącego. Słuchał i nie wierzył swoim uszom. Wszystko, co mimochodem mówiono w gazetach zagranicznych i co na ich wrogich szpaltach mogło się wydawać umyślnie złą nowiną z Rosji, potwierdzone było ustami wielkiego uczonego.

— Bóg odwrócił się od waszej Rosji, — rzekł do Mirowicza na posiedzeniu loży masonskiej w Królewcu, pewien kanonik: jest ona na rozdrożu między wschodem i zachodem, mrokiem i światłością, wolnością i niewolnictwem... Potrzeba wielkich ofiar, potrzeba śmiałych mężów dobrego, inaczej cofnie się ona do Azji... będzie przeklęta przez Boga i ludzi...

— O czem mówiono, wara, z izby śmieci nie wynosić!—rzekł na zakończenie Łomonosow: a do lberkampfa, na Miljonową, w bilard pograć i napić się reńskiego, pewnie już nie pójdziemy? No, no... Nastazja Filatowna nie usłyszy. Toż ja, mości panie, i żartuję. A naprawdę, jesteśmy jakby na wybuchającym kraterze... Nie świętować, nie pieśni hulacze, widocznie, obecnie śpiewać. Pokora starożytnych i postl.. Będziemy sługami trzeźwości, będziemy mądrzy... Tak, do gorszy-cieli ani nogą?

— Ani noga, -- odpowiedział w zamyśleniu Mirowicz.

— Słowo?

— Słowo...

— Rękę!...

Nasi znajomi uderzyli w ręce.

Na drugi dzień Mirowicz pocichutku puścił się na poszukiwania wskazanych przez Filatownę kamer-furjerów. Kraszeninnikowa i Rubanowskiego. Przypatrywał się domom, ulicom i placom Petersburga, gdzie upłynęły lata jego nauki, i cały on teraz, po obcych krajach, wydał mu się takim szpetnym, surowym i biednym.

Petersburg w 1762 roku był wciąż ten sam, w miesiące zimowe -- brudny, a w letnie -- pełen pyłu, małoświełtłony, do ostatnich granic rozrzucony i w dwóch trzecich drewniane, czuchońskoniemieckie miasteczko. Mieszkańców wtedy liczono w nim cokolwiek nad sto tysięcy. Wody jego były bez bulwarów, z groblami z nawozu i drewnianymi mostami, wyboje zimą na ulicach nieomal że po pas człowiekowi. Zamiast ulic, wzdłuż linji wyspy Wasiljewskiej, ciągnęły się jak w We-

necji, kanały ze zwodzonemi mostami na skrzyżowaniach prospektów. Kupy nawozu i wszelkich wyrzuconych śmieci zagradzały trotuary i rogi skrzyżowań, przewalały się i wydawały szkodliwą woń, gniły na placach. Śmiecie, błoto i padlinę z ulic i placów wywozili aresztanci. Bezdomne zdziczałe psy, przejmując lękiem i pieszych i konnych, włóczyły się stadami po mieście, wściekały się i gryzły ludzi. Żebracy, kalecy i wszelakiego rodzaju wydrwigrosze nie dawali przejścia.

Zmarła caryca Elżbieta Piotrówna, która w czasie choroby swojej pod koniec tejże coraz częściej i częściej zaczęła bredzić o pierwszej nocy swego panowania, cierpiała na bezsenność. Wciąż też zmieniała swe sypialnie. O godzinie dziewiątej wieczorem nikt już nie śmiał jechać obok okien jej czasowego, drewnianego pałacu zimowego, wznoszącego się na Mojce przy moście Policyjnym. O godzinie dziewiątej wieczorem milkł cały Petersburg. Rozlegało się tylko w mieście niemilknące nigdy szczekanie łańcuchowych i włóczących się psów, oraz okrzyki, na murach admiralicji fortecy, wartowników, których dla bezpieczeństwa, stawiano niekiedy i na skrzyżowaniach ulic. Wszyscy pamiętali te jeszcze niedawne czasy, kiedy ulice petersburskie, z powodu podpalaczy, rabusiów, złodziei i wszelkich występnych ludzi, zamykano na noc na głucho rogatkami, gdyż wyznaczone dla patrolowania po mieście „przyzwoite partje fizylierów i dragonów” okazywały się niewystarczającymi. Jeszcze w czasie obecności carycy sprawa porządku w mieście przedstawiała się jako tako. Podczas zaś wyjazdów jej do Moskwy, — a przemieszkowała tam po pół roku i więcej, — ulice Petersburga stawały się ostatecznie pustymi i porastały trawą. Austerje miejskie, w których

Piotr I lubiał w święta osobiście wypić czarę kminkówki w towarzystwie marynarzy i szyprów, zamieniały się w nory awanturników i dzikiej rozputy.

W czasie błota nie było przejścia przez Petersburg. Dorożkarzy miejskich w czasie owym było niewiele. Piotr III zaprowadził od nich opłaty po dwa ruble od osoby i dał im specjalne skórzanе znaczki. Ludzie stanu średniego w tym czasie więcej chodzili piechotą. Bogaci i znakomici, szczególnie oficerowie gwardji, jeździli własnymi powozami lub wierzchem. Modni eleganci i elegantki coraz też przejeżdżali przechodniów. Raz omal nie na śmierć stratowali feldmarszałka Minicha. Za to dostawało się i panom: chłopcy uliczni na Gorochowej, Ługowej i, nawet na Newskim, pomimo zakazów policji, puszczała latawce papierowe, i tem straszili płochliwe rysaki wielmożów. Generał — policmajster Korf, z jadącymi konno przy jego karecie adjutantami, nie mógł zdążyć z przybyciem tam, gdzie zachodziły nieporządki. Często bardzo, wśród białego dnia, na targowiskach lub przy nowej wykańczanej budowlu pałacu zimowego, między niezburzonymi jeszcze chatkami, szałasami, ruderami i wszelkimi składami, rozlegały się rozpaczliwe krzyki czerni, która się pobiła: „policja!... grabia!.. rzną!...“.

Newski prospekt w południe zapełniał się spacerującymi. Szli cywilni eleganci, w czarnych aksamitnych surdutach, łosiowych pantalonach i botfortach po za kolana, lub w różowych i żółtych jedwabnych surdutach, z olbrzymiemi lornetami, a kiedy było zimno — z kuniemi i sobolowemi mufkami. Elegantki, ściśnięte w pasie na podobieństwo os, niosły na głowie misternie zbudowane fryzury, na kształt rycerskich zamków, kosztów

z kwiatami, altanek chińskich i okrętów. Lecz i na tej pierwszorzędnej ulicy nie udawało się uniknąć nieprzyjemności. Przy kawiarni Mura lub przy magazynie mód pani Focquè, nie zwracając uwagi na wystrojonych od stóp do czubka głowy przechodniów, leżał, wyciągnąwszy się na trotuarze, pobity do krwi i z podartemi portkami, pijany do nieprzytomności marynarz. Konny gwardzista, z głośnymi wymysłami i z wykrzywioną ze złości twarzą, walił szpicrutą obcego upudrowanego i dostojnego stangreta za to, że ten nie skręcił wyłoczonej, ze skórzanemi firaneczkami, karety i tem przeszkodził mu dopędzić jakąś, która przez ten czas uciekła, piękności.

W środku wielkiego postu, w 1762 r., rozeszła się pogłoska o ukazaniu się na Fontance, we wsi Matisowce, w pobliżu obecnej Kołomny, całej bandy uzbrojonych rabusiów. Piotr III stracił równowagę.

— O-ho-ho! Tausend Teuffel! — rzekł do Korfa: czas znów wziąć się do szubienic! Dziad mój Piotr wiedział to lepiej od każdego z nas... Napisać: „approbatur — Peter“, i skończone, — zobaczy pan... o, ja..

Szubienic, jednakże, nie postawiono. Nieporządki trwały i do nich przyzwyczajano się, jak do czegoś, bez czego nie można było obejść się i wytrzymać. Na wszelki alarm uliczny, jak na widowisko, w domach sąsiednich podnoszono żaluzje, i strojne domy wyglądały stamtąd, ciekawie patrząc, z poza modnych wachlarzy, czem się skończy zajście.

Budynki prywatne na Newskim, od strony admiralicji, zaczynały się wtedy dopiero od mostu policyjnego. Ztamtąd, aż do Aniczkowa, po prawej i lewej stronie prospektu, było niewiele wię-

cej nad dziesięć domów, i to do połowy drewnianych. Właścicielami domów na głównych ulicach byli przeważnie cudzoziemcy lub zamiejscowi. Przy placu wyjazdowym czasowego pałacu zimowego, wychodzącym na Mojkę, Newski i Ligową, obecnie Morską, był dom kupca Dubissona, z napisem na szyldzie: „Sprzedaż hamburskich kanarków i papug“. W zaułku Kirpicznym był dom bankiera Knutsena. Na rogu Gorochowej i Ługowej dom farbiarza Krauze, przy Sinim moście — szyld rymarza Matjasa Zakkowa. Cokolwiek dalej, na Mojce — sklep z kwiatami Wolfa, z napisem: „Wyborowe szczepy ananasowe“. Jeszcze dalej, na prospekcie Wozniesińskim — domy: Pilchau, Raschke, Zuschke, Chabasowa i Kluga. Przy moście Wozniesińskim, na brzegu Głuchej rzeczki, — zakład okienny majstra Berga.

Ogrody dworskie — Letni, pałacu Włoskiego na Litejnoj, w Ekaterinhofie i na kwiecistych promenadach Carycyna Łuha — były otwarte dla publiczności. Lecz nie wpuszczano do nich marynarzy, służby liberyjnej, kobiet w chustkach na głowie, mężczyzn w butach, a nie w trzewikach, i wogóle, — jak mówiono wtedy w gazetach i obwieszczeniach policji — „podlejszego narodu“. — Wymagane były modne i piękne odzienia. Na skutek rozkazu carycy Elżbiety, stawiano piętna na fałdach panów, którzy zjawili się na dworze w starych lub wyszłych z mody „nieodpowiednich kaftanach“. Po samej carycy pozostało piętnaście tysięcy prawie nowych sukien, kilka tysięcy trzewików i dwa kufry pończoch i wstążek. Tymczasem jatki, sklepy z warzywami i rybami, szynki i zajazdy bez przeszkód rozprzestrzeniały woń błota i wszelakich śmieci, przewalających się w nich i

obok nich. Wytworna Europa i dzika, nieumyta Azja — przemieszkiwały jedna obok drugiej.

Febry błotne, epidemiczne gorączki, ospa, szkarlatyna i dyfteryt nie opuszczały Petersburga. Lekarzy w tym czasie było mało, i ci brali niezwykle drogo. Modni lekarze, Monsius i Fonsadie, brali, nie krępując się, po piętnaście dukatów za wizytę. Nauka dzieci w zupełności znajdowała się w rękach trudnych do opisania awanturników. Pewna zagraniczna rodzina „szlachetnego i uczciwego rodu“ drukowała o sobie w gazetach, że „uczy dziewczę, zgodnie z pojęciem każdej, języków, szycia, ekonomji, tańców, a przytem i czytania wiadomości“. — Inna, cudzoziemska również osoba, a właśnie — niejaka pani Renojod (adres: Miljonnaja, w domu krawca Ecka) ogłaszała, że uczy dziewczę języków, arytmetyki, geografji, historii, — „a również i pisania“. — Na nauczycieli państwowych i prywatnych często trafiali zabierani w poniedziałki z zajazdów uliczni „włóczędzy“ i „pijanice“, zamieszani niekiedy w awanturach, kończących się zabójstwem.

Szlachetne dziewczę uczyły się jedna od drugiej tajemnic, jak ścisnąć się najlepiej w pasie, jak składać ukłony i nalepiać na twarz muszki. W sklepach z kosmetykami sprzedawano specjalne, piękne pudełeczka z czarnymi muszkami. Przy wynajmowaniu służby kobiecej zapytywano wtedy: „czy z pańskim różem i bielidłem“? Znacomici i bogaci ludzie troszczyli się o tworzenie biłjotek z francuzkich książek, do których, zresztą, niewielu z nich zaglądało. Mężczyźni uczyli się od mężczyzn, jak wkładać okrągły ceratowy, lub trójkrotny puchowy kapelusz; jak otworzyć tabakierkę, poprawiać na mankietach alençon'y point-d'espagne, zażywać tabakę i wyjmować i potrzą-

sać barwną, przepojoną perfumami a la Reine, fularową chusteczką. Fryzjerzy na Newskim i na Morskim fryzowali pukle i splatali i pudrowali harcapy ruskim petit maitrom, wyznaczającym jedni drugim spotkania wieczorne w pozostającej jeszcze w modzie, od czasów Lestocq'a, traktjerni sabaudczyka Berlara i Iberkampfa, w herbergach, piwnicach Hanntowera, Retsa i w domach schadzek, austerjach Winklerowej, Szmidtowej, Kochowej i innych.

Caryca Elżbieta Piotrówna jeździła poprostu na wieczorynki do wielmożów, otulając swą mufką i chustką ręce i gardło odprowadzającego ją hrabiego — męża Aleksieja Grygorjewicza Razumowskiego, pod listami do którego żartobliwie podpisywała się: „wasz pierwszy dyszkant“. Przy łóżku zaś jej, poprostu, z czasów jeszcze jej panieństwa, dla jej obrony, na rozesłanym materacu, spał na podłodze staruszek, ulubiony jej kamerdyner, następnie generał en-chef, Wasilij Iwanowicz Czulkow. Caryca, wstając niekiedy wcześniej od niego, budziła wiernego sługę, a on klepał ją po ramieniu, ziewając i mruczac:

— No, no, łabędzico moja! jużes i ty wstała...

Przyjaciółka Elżbiety, Mawra Jegorowna Szuwałowa, urodzona Szepielowa, pisała do niej: „wasza raba i córka, i chłopka, i kuzynka“, — a męża Szuwałowej Aleksy Razumowskij, podpisawszy sobie na polowaniu, bił batogami.

Na dwór Elżbiety Piotrówny, dla polowu w jej apartamentach mysz, specjalnymi rozkazami sprowadzano z Kazania zręczne i „przyjemnego wyglądu“ koty syberyjskie, a z zagranicy małpeczki „tak małe, żeby wchodziły do indyjskiego orzecha kokosowego“. Obywatelka kostromska, Anna Watazina, listownie proponowała carycy, je-

żeli awansują jej męża na asesora kolegialnego, ofiarować, jako prezent, cztery psy: Hipolita, Jeannette, Markiza i Julję. W młodości Elżbieta jako carówna, pisała czułe madrygały:

„Ja nie mam mocy ogień zgasić,
Cierpię sercem, lecz czemżeż pomódz?”

Za Elżbiety, na ulicach więcej było widać spokojnych cywilów. Za Piotra III, Petersburg zaczął się zapępiać różnorodnymi i zadzierającymi nosa do góry wojskowymi.

Na placu pałacowym, nieomal że codziennie, odbywały się hałaśliwe — z okrzykami vivat, marszami i wszelakimi mustrami — wacht parady. Ulicami spiesznie mknęli zatroskani adjutanci, snuli się piesi i konni ordynansi. Piotrowskie, szerokie i długie mundury gwardji i armji zastąpione zostały kusemi i wązkiemi mundurami, na wzór pruskich. Odwieczny zielony kolor mundurów i czerwony — kołnierzy i kamizelek, pozwolono zamienić, zgodnie z uznaniem komendantów pułków, na pomarańczowy, błękitny, liljowy, kanarkowy kolory i inne. Piotr III wprowadził jeszcze akselbanty i szlify, trzciny u oficerów i urzędników. Zniósł również noszenie na wachtparady, za kapralami i podoficerami, przez ich służących, karabinów i halabard.

W początku wielkiego postu, Piotr Fiedorowicz wydał rozkaz: wszyscy dygnitarze i wielmoże, noszący tytuły komendantów kompanji, bataljonów i pułków, winni być nieodłącznie na ćwiczeniach, na czele swoich oddziałów. Rozkaz ten wywołał u wszystkich nieoczekiwaną konfuzję. Publiczność ze zdumieniem zobaczyła, na ulicach, maszerujących po kostki w błocie, przed swoimi bataljonami i kompanjami, generał-feldmarszałków: hrabiów Aleksandra Iwanycza Szuwałowa i roz-

pieszezonego sybarytę i rozkosznisia Aleksego Razumowskiego, wuja cara — księcia George'a i chorego na astmę, w aksamitnych sztybletach na rozpuchłych, podagrycznych nogach, księcia Nikitę Jurjicza Trubeckowo. Hetman Razumowski, nawet najął specjalnego holsztyńskiego oficera dla nauki nowej musztry. Nadworni i cywilni urzędnicy byli nie mniej zaniepokojeni. Fryzjera swego Bressana car mianował dyrektorem fabryki gobelinów i awansował na szambelana: stangreta zaś, jakiegoś Patrykiejewa, mianował radcą tytularnym.

Przed Wielkanocą pisał Piotr III do swego przyjaciela, króla Fryderyka, że, nie obawiając się niczego i nikogo, zdaje się na wolę Boga i ochronę swego narodu, i bez asysty chodzi pieszo po Petersburgu.

IV.

Drezdensza.

Przy moście Wozniesińskim stał zrujnowany i olbrzymi, z masą spichrzów, stajen i pochyłonych oficyn, drewniany, z porośłym mchem dachem, dom carewicza Leona Gruzińskiego. Przez zaułek zanim był taki sam stary dom kamer-furjera Rubanowskiego. Tu, po nieudanem zasięgnięciu informacji u Kraszeninikowa, pod wieczór, poszedł Mirowicz.

Zaniepokoiły go krzyki i śpiewy pijanej czereni, wydobywające się z brudnego ciemnego szynku na rogu tego domu, obok śmierdzącego sklepu z rybami. Podniósł oczy — na sąsiednim balkonie, wychodzącym na plac, były wywieszone dla przewietrzenia jakieś szubki, poduszki i bielizna

dziecinna. Zabity kot przewracał się pośrodku ulicy.

„Nie, Królewiec nieporównanie lepszy i czystszy od Petersburga: tam wszystko akuraciej i na takie niechlujstwo nie pozwolił — pomyślał Mirowicz, z trudnością przechodząc przez roztającą obszerą kałużę przy zejściu z mostu Wozniesieńskiego. Wszedł do Rubanowskiego. Powiedział mu, że Wasilij Kiryłycz choć jest u siebie, lecz po obiedzie, przed wieczornem nabożeństwem odpoczywa, a dlatego, jeżeli mu koniecznie potrzeba, — czy nie zechce poczekać.

Nie było co robić. Zaczął oczekiwać Mirowicz w gabinecie. Zmęczył się przez dzień chodzeniem po mieście i bardzo się wygłodził. Pokój, gdzie go wprowadzono, był maleńki, duszny. Pachniało kadzidłem i do tego jakby przypalonym olejem postnym. Ze ściany patrzył portret jakiegoś tłustego, z wielkim nosem protejereja. W krosnach przy oknie stał niewykończony kobiecy haft na aksamicie. Na stole przy otomance leżało kilka cienkich i szarych zeszytów, quarto, ówczesnych „St. Petersburskich Wiedomostiej“, dwie — trzy książeczki akademickich „Miesięcznych Utworów“, talja starych kart do gry i w skórzanej, zakapanej woskiem oprawie, gruba książka „Kamień wiary“.

„No więc, co piszą o naszych sprawach z prusakami?“ — pomyślał Mirowicz: „jak cenią nasze zwycięstwa i co się stało nowego po moim wyjeździe?“. Zaczął przeglądać „St. Petersburskie Wiedomości“.

Nowości tej gazety bardzo były spóźnione. W numerze z dn. 1 marca wieści z Paryża były z 1 lutego, z „Hiszpanji“ z 18 stycznia. Gdzieś była nawet notatka od redakcji: „Zagraniczne ga-

zety nie nadeszły". O sprawach Rosji z Prusami ani słowa.

„No, naszych gazeciarzy“, — złośliwie uśmiechnął się Mirowicz; niemcy nie będą siec na Newskim, jeżeli kiedykolwiek zdobędą Petersburg.

Zaczął przeglądać pismo literackie „Co miesięczne utwory“. W jednej książce była długa rozprawa o kubowej farbie, w drugiej — o budowie piwnic. W numerze na styczeń był artykuł z angielskiego „Spectatora“: „Rozmowa między miłością i rozumem“. Mirowicz, nie mając co robić, zaczął go przeglądać:

Rozum. Bardzo by trudno było, kochana siostró, porozumieć się mnie z tobą. *Miłość.* — Nie widzę rozsądku w małżeństwach, zawartych tylko dla samej korzyści... Kiedy ja rozpalam miłość, to podnoszę niski stan do znakomitości, lub obalam wysokie do podłości... Kto wiele rozważa, — ten źle kocha, a kto gorąco kocha — ten mało rozważa...

Mirowicz zamknął książkę, westchnął i zamyslił się: — „To prawda!“ rzekł do siebie z przekonaniem: kto gorąco kocha, ten nie rozważa“.

Na dworze, tymczasem, zaczęło się ściemniać. Jazda na ulicach ucichła. W sąsiednim pokoju tykotał zegar ścienny. Świerszcz trzeszczał w pobliżu za kufrem. Ciężka, ciemna lampka płonęła w kącie, przed ikonami. Mirowicz spojrział na ikony. „Byłem w mroku — pomyślał: — i zobaczyłem światło... Tak, ja je zobaczyłem... Z ostrzem szpady przy piersi, wprowadzili mnie na posiedzenie francmasonów... I przysięgłem być doskonałym i sprawiedliwym. Odnowiłem się, — innym staję się teraz człowiekiem. Więcej nie złościć się, nie przeklinać. Wszechprzeznaczenie, wiara w ludzi i miłość dla nich, wysoka miłość... Lecz kogo ja kocham nadewszystko? Poliksenę... Lecz gdzież

jest ona?... Nie ma jej... i czyż ja nigdy, nigdy więcej jej nie zobaczę?

Za drzwiami w przedpokoju rozległ się duszący, starczy kaszel. Człapiąc pantoflami, do pokoju wszedł, w szlafroku na barankach, zgarbiony, senny, chudy i z haczykowatym nosem starzec. Był to Rubanowski.

— Audjencji u cara szuka pan?... prośbeczka jest? — spytał kamer — furjer, skrzypiąc tabakierką i z pod krzaczastych brwi podejrzliwie patrząc na gościa.

Mirowicz objaśnił, po co przyszedł.

— Babie intryżki, mości panie, kheł śmiechy i zwlekaniel — ciągnął Rubanowski, potrząsając głową: nie nasz wydział... hml... puste gadanie jedno! prosimy wybaczyć... khe — kheł Czas już na narbożenstwo wieczorne, dobrzy ludzie, a pan...

— Wasilij Kiryłowicz, zlitujcie się! — przemówił, nachmurzając się, Mirowicz: do pana przyszedłem, w panu tylko cała nadzieja. Pan jeden może wiedzieć, gdzie z dworu wyjechała dziewczica Pczółkina... a pan...

— Nie elegant jam gwardyjski i nie wiercipięta! i miłosnemi głupstewkami, mości panie, nie zajmuję się, ot co! — wściekle ładując nos tabaką, odciął się Rubanowski: a jeżelibym i wiedział, to bym nie powiedział. Ja mam—mości panie, dzieci... córki... A czyż mało to, nie próżne słowo, niech pan się nie obraża, obecnie wszelkich próżniaków, uwodzicieli dziewic?

— Lecz ja... Wasilij Kiryłycz, czyż jestem z takich! — podniósł głos Mirowicz: i przytem jak pan może? to wreszcie, obraża... afront...

— Lecz ja nie o tobie, ojczulku, nie o tobie... Czego się rzuciłeś! Ech, przestraszył! Niema czego straszyć! Sam nie jestem z nieśmiałyłch... A co

do twojej mości panny, to ja i dotychczas nie wiem, gdzie jest ona, i — tymbardziej — i wiedzieć mi, słyszysz, według mojej rangi, niema poco... Droga, mości panie, otwartą drogą! — pochyliwszy głowę i gniewnie drepcąc na miejscu, odpowiedział Rubanowski: prosimy wybaczyć i źle nie sądzić: tak, źle nie sądzić...

Wściekłość ogarnęła Mirowicza. Poczul ukłucia, jakby igiełek, w rękach. Nieprzytomny prawie od całego szeregu niepowodzeń i gniewu, wyszedł na ulicę.

— Gdybyś ty nie był starcem i nie u siebie w domu, — rzekł do siebie, zaciskając pięści: ja bym ci, postniku, pokazał!

Kręciło się Mirowiczowi w głowie. Gardło ścisnął kurcz. Z trudem oddychając, chwiejąc się, jak pijany, przeszedł kilka kroków. Na ulicy gdzieś niedaleko błado płonęły latarnie.

— Gdzież teraz? — spytał siebie nienawistnie: albo iść do carskiego sekretarza Wołkowa, uzyskać u niego audjencję i prosić, za wojenne starania moje i usługi, o odszukanie, żeby tam nie wiem co, dziewczycy Pczółkinej? Ha-ha! Szaleństwo! Za wojenne zasługi! jakież one? Czyż do Razumowskiego? Lecz on, po mojem starciu z Jusupowem, zupełnie mnie się wyrzekł. Pisałem do niego z pochodów nie jedną cedułkę; nawet nie odezwał się... Czyżbyż znów zagranicę, do Królewca, kiedy armja i bez tego ot—ot zawróci hołoble do Rosji? Jest zdaje się, wyjście, i proste, — lecz podli, małoduszni ludzie! wszystko ich ciągnie w wir, zamęt, — wyjechać by na Ukrainę, do przyjaciela Jakóba Ewstafjewicza, lub do Kijowa, podać się do dymisji, zamieszkać w cichym chutorze, w raju...

Za plecami jego dał się słyszeć okrzyk. Zawołano go po imieniu. Obejrzał się.

Przy moście Wozniesienskim stał dobroduszny, niskiego wzrostu, okrągły, z czerwoną, piegowatą twarzą i z manierami pewnego siebie hulaki i eleganta, cokolwiek podchmielony, lat trzydziestu dwóch — trzech, oficer piechoty.

Był to odbywający z Mirowiczem część pochodu zagranicznego, znajomy jego, porucznik wielkołuckiego pułku armji, Apollon Iljicz Uszakov. Na miesiąc wcześniej od Mirowicza był przysłany, w sprawach furazu, z armji do Petersburga, gdzie i pozostał. Bratanek znakomitego Andreja Iwanowicza Uszakowa, postrachu wydziału śledczego dawnych lat, dawno przehulał majątek ojcowski i żył z afer, przyjaźni z obwiesiami i marnotrawcami wszystkich warstw i stałego odwiedzania traktjerni, garkuchni i kawiarni. Przy pieniądzach był wesoły i śmiały; bez pieniędzy — jak szmata.

— Jakimi losami? ot nie spodziewałem się! — zawołał, opierzony w Petersburgu i będący w tej chwili, zupełnie jak na skrzydłach, Uszakov!

— Służbowo; jak i ty, rozumie się, z poleceniem! — odpowiedział, odwracając się od niego Mirowicz.

— No, i gut, chochlandja; znaczy się, pohulamy! Chcesz, pójdziemy, łykniemy po malutkiej-Finanse dopisują... Zkąd w tej chwili?

Mirowicz wskazał wtył, na cerkiew.

— Od Drezdenszy? — spytał, nie spuszczać z niego wesołych, wytrzeszczonych, śmiejących się oczu, Uszakov.

— Od jakiej Drezdenszy?

— Więc ty Drezdenszy nie znasz? schröcklich! oto niewinność, niedorostek z Czuchłomy...

Mirowicz nie był zadowolony z tego spotkania i niecierpliwie oglądał się na najbliższy zaulek.

— Głodnyś?— spytał, jakby coś przypomniawszy sobie. Uszakow: pragniesz przy okazji i skorupkę rozgnieść? chcesz, to ugoszczę i opowiem.

— Sakiewki zapomniałem, — odpowiedział Mirowicz.

— Ech, głupia, głupia, dziewczka Timofiejewna! drwiąco rzekł zwykle ustępujący i pełen czolobitności przed poważnym Mirowiczem, Uszakow: a jeszcze oficerem się nazywał. — Wstyd i całemu rycerstwu krzywdą! Parol d'honneur... Czy nie masonstwo wzbrania? To i ja, śmiem zameldować, od tego miesiąca jestem masonem, choć i nie należę do waszego lata observantia... Drezdenszy nie znał. Pójdziemy więc; na ugoszczenie kolegi wystarczy u nas skarb... Oto Drezdensza!..

I, odwróciwszy się, mrugnął z bulwaru na czerwoną latarnię specjalnej bramy w domu księcia Leona Gruzińskiego, nieoświetlona część okien którego patrzała na prospekt Wozniesieński, a druga, w wesołych ognikach, była zwrócona na brzeg rzeki Głuchej.

— Drezdensza, rycerz ty mój, ona też i Felknersza, oto col i ty tej komedjanckiej fabuły posłuchaj! — dziarsko wyprostowawszy się rzekł Uszakow, zwalniając przy czerwonej latarni; mieszkała ona przy zmarłej carycy nie tu, a dalej, w domu Biełosielskiego — Biełozierskiego. Nie powiodło się jej tylko wtedy. Dowiedziała się caryca Elżbieta Piotrówna obyczajna, że do wolnego domu, do austerji, do Drezdenszy, mnóstwo cywilnych i omal nie cała gwardja jeździ, nie tylko w bilard, albo i w kręgle się zabawiać, lecz i dla czego innego. Była tu inna, Wasilij Jakowlicz, przy-

nęta: jakoby dla muzyki i dla posługi gościom płci męskiej było u niej niemało cudzoziemskich i tutejszych dziewcz, a wszystkie, duszko, zdumiewające piękności... Na bandurach, gitarkach grały, śpiewały i tańczyły... Oprócz tego, na wieczorynki do Drezdenszy, od innego wejścia, zaczęły jeździć, muszę ci powiedzieć, nie sami mężczyźni, a i panusie — modnisie, na spotkania z drogimi przyjaciółmi, w tajemnicy przed swymi mężami. No, królewiczu ty mój, zazdrosne oczy widzą jeszcze dalej od orlich! Donieśli o tem carycy. A Elżbieta Piotrowna, sam wiesz, jak lubiała takie jawne głupstwa i wybryki...

— Cóż ona? — spytał Mirowicz.

— Wydała najsurowszy rozkaz... I wszystkie te potajemne i sprzeczne jakoby z dobrymi obyczajami handelki skończyły się, bracie ty mój, źle, nie tylko dla Drezdenszy, ale i dla innych. Ucierpiała z nią i dla wszystkich uprzejma Ambacharsza, jej rodaczka, na Koniuszennej, i szwedzka porucznikowa Delegrinsza, na Litejnej. Lecz najśrodsze okrucieństwa spadły na Drezdenszę! Wysłali ją zagranicę, a wszystkie jej uwodzicielki, bez litości, odprawili do przedzalni, we wsi Kalinkinoj. Gabinet — minister Demidow prowadził wtedy śledztwo, i wielu dostojnych modnisiów i pań — elegantek silnie przytem wpadło. Na imienny rozkaz carycy, astronoma Popowa i asesora manufaktur — kollegii Ładygina wyłączono z cerkwi, a potem poślubiono w sobornej kazańskiej cerkwi, i z takimi pięknościami, że ci zuchy nawet i nie spostrzegli się...

— Nie słyszałem o tem, — rzekł Mirowicz

— Gdzież ci słyseć! Tyś wtedy jeszcze w piasku się bawił. I nie tylko goście, — oficerowie, postawieni na warcie przy zamkniętych

w przedzalni dziewicach, — i ci nie oparli się pokusie, zaczęli się włóczyć na warcie, zachcieli bandur i gitarek posłuchać, piosenką się zabawić, i za to ulegli również niemałym afrontom i nie-szczęściu... Oto masz, mości panie, kto jest Drezdensza...

— Lecz dlaczego, dlaczego? — naraz uczeplił się Mirowicz: nie może być, ażeby bez powodu to wszystko... czyż mało gdzie poza frontem gwardja chodziła i chodzi... Komu jaki interes?

— Prawdęś powiedział, Wasilij! zawsze sprawiedliwy i przewidujący! — z przyjemnem zdziwieniem odpowiedział Uszakow: były i inne powody... Szukali, czy nie chadzał do tych zachwycających bliski w tym czasie do innej osoby wysoko postawionej — Buturlin... No, pomocnica Drezdenszy, Lizuta Czarna, pod knutem i przyznała się..

Mironowicz drgnął.

— Pod knutami?

— Tak...

— Jakie barbarzyństwo...

Przyjaciele milczeli przez chwilę.

— Lecz ty, Apollonie, — spytał Mirowicz: mówiłeś, że Drezdensza była wysłana zagranicę?

— Tak, była wysłana, przy zmarłej carycy. A gdy tylko na tron wstąpił obecnie nam panujący car—imperator, to ta Drendensza, — a za nią inne jej rodaczki, — znów i z jeszcze większym hałasem, zjawily się tu, zasiadły po dawnemu, — i oto ona pierwsza... zachwycaj się!

— Nie pójde, — rzekł Mirowicz: Panie Boże! knuty...

— Eh, dosyć! kiedy to byłol głupstwo! pójdziemy! Teraz tu szlachetniej, potoczyściej, czyściej. I Drezdensza zestarzała się, i obyczaje zła-

godniały. Na dole zakąski i bilard, — powiemy: witajcie szklaneczki, kanaszeczki, jakieście żyły, nas wspominały? — a na górze, Wasilij, karty, bywa muzyka i wszelkie smutek odpędzające kuplety zobaczysz.

Westchnął głodny, zniechęcony niepowodzeniami Mirowicz i wbrew chęci wszedł za Uszakovym do dolnego oddziału restauracji Drezdenszy.

Czuł się nie swojo. Omal nie głośno wymyślał sobie. „Pfuj ty, słabość, podłość! — mruczał i zjadliwie uśmiechał się: coby powiedziała Filatówna i jak osądziła — by władza, gdyby mnie tu zobaczyli“?

Pierwsze, zresztą, co rzuciło mu się w oczy, przy wejściu do oświetlonej świecami woskowymi, pełnej dymu z knastru i hałasu i gwaru rozmów, dolnej sali, była twarz gniewnego i dostojnego generała Bechleszowa, który rano tak mu nawymyślał za halstuch i wogóle za nieporządek w ubiorze jego. Nadęta, surowa mina generała znikła. Z rozpiętą kamizelką i z wesołą, beztrąsco uśmiechającą się twarzą, siedząc w kącie, dopijał czwarty, z gdańską wódką, poncz i, coraz obcierając czoło i białe, pełne policzki, chciwie patrzył na grę na bilardzie. Nie zdążył Mirowicz z Uszakovym zażądać do sąsiedniego pokoju pieroga z trzonu z sigą i głową siewrugi, nie zdążył „wychylić“ z nim po malutkim, a potem i po większym, — do sali wszedł, przed półgodziną zdumiewający go surową moralnością, sąsiad Drezdenszy, Rubanowski. Obrońca czci dziewic, gorliwy nabożnis i postnik, wyjął piankową, z kręconym cybuchem fajeczkę, zażądał dla siebie potężną szklanekę ponczu i również usiadł na boku, ażeby patrzeć na graczy w bilard.

„O, ludziel — z tajemnem oburzeniem pomyślał Mirowicz: proszących uważają za psów, nauki im jakieś udzielają. Sami zaś... Ach żeby pieniądze, żebym był bogaty“...

Wstrząsnawszy się z nienawiści, roześmiał się głośno.

— Co ty? — spytał, spojrzawszy na niego, Uszakow.

— Tak, obrzydliwość, bracie... Podleców, uch, jak się obecnie dużo na świecie rozmnożyło. Ciasno od nich..

Wyrzekłszy to, Mirowicz znów ostro, krótko roześmiał się.

— A ty znasz prawdziwy środek od wszelkich pokus? — spytał Uszakow.

— Jaki?

— Wypijemy, Wasilij Jakowlewicz, stworzymy dla dobra jeszcze... Albo też pański Obidienz und-Unterfugnugsact przeszkadza temu?.. Głupstwo. Życie, drogi, oto jak jest krótkie i nudne.. A i urodziła nas mama, że nie przyjmuje i jama... Czego się chmurzysz? Czyż wynająłeś się dla psów siano kosić? Hej, mały, jeszcze buteleczkę ryzykiego!

Podali piwo i znów podali. Z dalszych pokoi dobiegały dźwięki muzyki.

— Hulają gwardziści, — wyrzekł Uszakow.

— Djabły, anathemy! — znów, zupełnie jakby wybuchając, rzekł Mirowicz.

— A o kim ty to, opowiadasz? — spytał, utkwivszy w nim wzrok, Uszakow.

Mirowicz westchnął. W jego czarnych, matoowych, gniewnych oczach, zaczynał świecić dziki, błędny ogień.

— Z jakiego powodu takie niesprawiedliwości? No, dlaczego? — wyrzekł, patrząc gdzieś w powietrze: czy wierzysz, pfuj, — jaka nuda!..

— Jakie niesprawiedliwości?

— A jakież, osądz. No, jak mógł człowiek, według kontraktu z społeczeństwem i państwem, oddać innym to, do czego sam niema prawa, — rozporządzać swoją wolnością, sumieniem, życiem?

— Fiu, fiu! — zagwizdał jakoś smutnie, leniwie sobie przypominając, Uszakow: ty to według Martineza? Spóźniłeś się! Nie znam, bracie, tych waszych nowych odkryć, choć i słyszałem o wazszej loży, nic szczególnego w niej niema... A to w „Trzech globusach“, to zgodzisz się..

— Drei Weltkugeln, lub łoża św. Jana, — to wszystko jedno, głupczel — pogardliwie i ordynarnie przerwał Mirowicz: nieszczęście w tem, że wszyscy błędzą w ciemnościach, wszyscy patrzą w różne strony. A ile siłą woli jednego człowieka można zrobić..

— Lecz i znów i ty jednak nie o tem, ach; znów nie tu, — odpowiedział, nie obrażając się wesoło machając rękoma, wyraźnie podchmielony Uszakow: ja bym ci wszystko wyjaśnił, wszystko.. wszystko.. Tylko, kanalstwo, trzeba by oto zająć.. No, więc, słuchaj.. ty, oto gdzie spojrzysz, to czem pachnie? — rzekł, rozstawiając przed sobą dłonie: słyszałeś ty, jakiej mocy nabierają niemcy? Wszędzie, bracie, pełzną, wszędzie, i nie prości, sami patentowani, z Kilonji.. Komendantami pułków mianowani co do jednego holsztyńczy konnego: — Zobeltisch, infanterji — Zege - von - Mantenfel.. Krüger, Odelrog, Kettenburg, i Weiss, a w kawalerji — Löven, Lotrow, Schild i wujaszek carski, nowy generał feldmarszałek, książę George.. Nazwy pułków również zmienione.. Narwski twój już nie narwski, a Essena; smoleński, który w Szlisselburgu stoi, Fulertona się nazywa.. Innego kiełbaśnika — psa nawet nie wymówisz, wykręca się

język... A mimo to, oto, co chcesz, a ja cara Kocham... Dobry on, wesóły, szczerzy i prosty... Widziałeś go? I oczy ma on takie dobre, a śmieje się, chichocze, zupełnie jak uczeń... Jedno — lubi nie nasze przysłowia... Ja na wacht, paradzie w tych dniach posłyszałem... Dusza człowiek! Powie, w ogień i wodę pójdę za niego... Lecz ty, Wasilij, być może, katerinowiec?.. Przyznaj się... Carska żona, zbiera, jak słyhać, partję, i jaką... I u Drezenszy, powiem w sekrecie, tu niekiedy zbiera się główna ich banda. Dawniej, jak się zmierzchało, pięcioro sani tutaj z łowów na niedźwiedzie pędziło. Co mają robić! Kręci się w wesółych główkach, nie mają gdzie męstwa wyładować..

— Katerinowiec! Pietrowiec! — z drżeniem w głosie, nienawistnie wykrzyknął, zwykle bardzo trupio-błady po wypiciu, Mirowicz: ech, roznosi ich! ha-ha! Też o partyjnych hasłach rozprawiają... Anglja, czy co, jest tu, lub francuzki parlament? Pluć ja chciałem na hasła, pluć głupiec! Patrz oto gdzie... Czytałeś ty pana Rousseau? Czytałeś jego „Contrat socjal”? No, co tam powiedziano o prawach ludzkości? Zrozumiałeś teraz o prawach? To też jest u nas, to to, że naszego brata drobny pionek, wszędzie obecnie za nic nie uważają... za psów, tak jest, za psów... Ani się dorobić, ani awansować w randze...

W tym czasie w pokoju bilardowym rozległ się wybuch głośnego i ochoczego śmiechu. Wybuch jego po chwili powtórzył się.

Przez otwarte drzwi było widać, jak zuchowały i zręczny, lat dwudziestu siedmiu — ośmiu, w podbitym sobolami kaftanie, olbrzymiego wzrostu, z rzymskim nosem i zdumiewająco piękny artylerzysta-gwardzista, ograwszy staruszką markiera, z kijem w jednym ręku i z holenderską faj-

ką w drugiej, lekko przechyliwszy się, i rozstawiwszy obute w podróżne buty nogi powtarzał: „puc-puc-puc“, i do łez śmiał się pośrodku pokoju. A grubo, z krzywymi nogami i żółtą obwisłą twarzą, markier po raz piąty, stękając i jęcząc, przelaził pod bilardem i, z tępo-zdziwioną niezadowoloną miną, zabierał się, zgodnie z umową, do wypicia nowej szklanki zimnej wody. Tłum widzów — w tej liczbie Rubanowski i poranny generał — patrząc ze swoich miejsc na ten obraz, w niepowstrzymanym śmiechu wykrzykiwali, chwyтали się za brzuchy i machali rękoma i nogami.

Mirowicz, poprawiwszy na sobie mundur i uczesanie, z nerwowem drżeniem, rzekł do Uszakowa:

— Jaka nikczemność, a jeszcze gwardziści! Zapłać, Apollon, i pożycz mi cokolwiek..

I nie zdążył Uszakov przyjść do siebie, — gdy on spieszenie przecisnął się przez tłum i podszedł do artylerzysty, rysy którego jakoś wydały mu się znajome cokolwiek.

— Czy pan jest amatorem bilardu? — spytał uprzejmie, patrząc z ukosa na niego.

— Ta-ak... a pan? — ze zdziwieniem, szybko obrzuciwszy go wzrokiem, wyrzekł gwardzista.

— I w mojej manierce gra ta nie jest ostatnią!

— Więc czy nie życzy pan? — spytał brzękający ostrogami i uśmiechając się, artylerzysta; uśmiech jego był czarująco dobry, kobieco-niedbały.

„Jaka swołocz!“ — zimno i nienawistnie uśmiechnął się do siebie Mirowicz: „a wystroił się jak!.. i jak baba przystojny... na skroniach wypomadowane, zupełnie jakby u bałwana przylizane językiem...“

— I owszem — z chęcią, — odpowiedział, jeszcze bardziej nachmurzając się Mirowicz: tylko prze-

praszam, ha-ha! w żaden sposób nie rozumiem... Dlaczego to pan gra z podłym sługą, a nie z kimkolwiek ze szlachetnej publiczności?..

— O, obecnie, mości panie, jestem, w największym ambarasie! — uśmiechnął się znów do brodusznie piękny gwardzista: nikt oto — choć pękni, ani-ni!.. — nie chce ze mną się zmierzyć.

— W takim razie z największą przyjemnością! — rzekł, spiesząc się w rozdrażnieniu, Mirowicz.

— Na pieniądze, czy też na żart, na podobnych warunkach?—spytał, drwiąco patrząc na niego i na obecnych, gwardzista.

— A choćby i na podobnych warunkach!

Gra się zaczęła.

Od pierwszych posunięć Mirowicz, i bez tego blady, jeszcze bardziej zmieszał się i onieśmielił. Drżącą ręką wybrał kij, zuchowato-kanciato wzruszył ramieniem i wycelował. Bila jego tak zręcznie uderzyła bilę przeciwnika, że gwardzista ze zdumieniem z ukosa spojrzał na niego i zaniepokoił się.

— Być może pan, mości panie, na pieniądze?—spytał: po co nadarmo czas tracić?

— A to my z początku zgodnie z umową... skończymy z tem, — rzekł Mirowicz: a potem choć i tak... nie wymawiam się... gotów jestem...

Kij znów uderzył. Za czerwoną z hukiem do łuzy poleciała biała, za białą znów czerwona bila. Gra była skończona.

— Puc—puc, lub jak to tam pan, mości panie! ha-ha! leż pan, znaczy się, pod bilard,—nienaturalnie ziewnąwszy i odrzucając włosy, pogardliwie rzekł Mirowicz: a dla ochłodzenia, nie na próżno słowo, napije się pan przytem i zimnej wody...

Artylerzysta aż zakipiał. Rumieniec zalał jego białe, kobieco-delikatne policzki. W błyszczących, czarnych powłóczystych oczach, wyraziło się zdumienie, prawie dziecinne oburzenie i mimowolny wstyd. Rzucił roztargnione, nieśmiałe spojrzenie na wszystkie strony, pomyślał: „oto bestja! a umowę wypełnić należy, — wypłacać!” — i zřęcznie zrzucił z siebie podróżny haftowany złotem, na sobolach, elegancki gwardyjski kaftan. Nie było rady, przysiadł, z uśmiechem przelazł na czworakach pod bilardem i duszkiem wypił podaną mu przez chichoczącego markiera szklanę wody.

— A cóż? drugą partję! — rzekł, nie ubierając się: przez trzy dni na niedźwiedzie polowaliřmy, prosto z Wołchowa... jakby ręka zawiodła... Czy pan życzzy sobie?.

— Zostaw go, zostaw! — szeptał, szarpiąc Mirowicza za rękaw, czerwony, jak rak, Uszakow: Katerynowiec to przecieź!.. żeby ci nie odpłacił..

Mirowicz go nie usłuchał. Wznowiono grę. I po raz drugi zuchowaty gwardzista, który tego rana wziął na rohatynę niedźwiedzia, polazł pod bilard i znów wypił podaną przez tryumfującego markiera wodę.

Widzów zebrało się na ten obraz. mnóstwo. Zjawili się, z cienkimi krzywymi cygarami i fajkami, — inni — wojskowi, cywilni i marynarze,

Miedzy nimi przecisnął się, w jarmułce, w wutowanym szlafroku i manszestrowych pantoflach sam carewicz, stary Leon Gruzinskij, mający zwyczaj w takim stroju, jako gospodarz lokalu, spędzać większą część wieczorów w wolnym domu Drezdenszy. Po nowej, również nieudanej partji, gwardzista zatrzymał się.

— Lecz pan jest zaczarowany, — rzekł, odchodząc z Mirowiczem na bok: zamówił pan, jak

rozbić... Czy nie zgodzi się pan w takim razie w karty?

— Sługa najuniżeńszy! — z radosnem drżeniem wyrzekł, nie podnosząc oczu, i dumnie uklonił się Mirowicz,

— Więc pójdziemy na górę, — znów przywdziewając kaftan, rzekł gwardzista.

— Tylko ja oto kolegę straciłem z oczu! — obejrzał się Mirowicz: jeżeli przegram, a szczęście nie zawsze dopisuje, nie będę miał od kogo zaczerpnąć sukursu..

— Zakredytujemy, — z uśmiechem zmierzwszy piechura oczyma, rzekł gwardzista: my jak najprościej, mości panie, bez ceremonji..

I mnie, mój panie, ceremonje nie są potrzebne! — z godnością odpowiedział Mirowicz; a na kredyt, prawdę powiedziawszy, jeszcze nie grywałem...

Wewnątrz, kręconymi schodami weszli do górnego lokalu Drezdenszy.

„I tego to człowieka i jak podeptał, rozbił“ — szeptali tymczasem goście, gdy przechodzili między nimi elegant-artyleryzysta i jego zwycięzca: „wszystkie point-d'espagne pomiał mu tem łożeniem... Czy słyszane? Pierwszego w gwardji dyrektora weselości i wszelkich poczynañ hazardowych“...

— Z kim mam zaszczyt? — spytał gwardzista.

Mirowicz wymienił nazwisko.

— A pan? — spytał ostatni.

— Calmejster artylerji gwardji, Grigorij Grigorjewicz Orłow, — odpowiadał oficer, końcami delikatnych, upięścienionych palcy poprawiając pukle i koronki na piersi.

„On sam i jest! tak więc kto to taki!“ — po-

myślał Mirowicz, z nową, pogardliwą nienawiścią wpatrując się w tchnące zdrowiem, rumiane i śmiałe oblicze Grigorja Orłowa, którego zastał kiedyś tam przez kilka miesięcy w korpusie. Orłow zażywał szampańskiego, którego butelka kosztowała wtedy rubla i trzydzieści kopiejek. Stuknęli się i wypili po kilka puharów.

— Jeżeli w karty, — rzekł Orłow: to pójdziemy dalej.

Przeprowadził Mirowicza do następnych pokoi. Tam zabawa niegdyś potajemnej, a obecnie jawnej, modnej austerji, — była w całej pełni. Grano w biribi, w la-mouche, w ówczesny bank—faraon i w „campis“, ulubioną grę nowego cara, i jego holsztyńczyków, w której każdy otrzymywał po kilka „żyć“, i kto przeżywał je, ten i wygrywał. Dym knastru kłębami snuł się po pokojach, mieszając się z dymem cygar i fidibusów. Z wielkiej sąsiedniej sali wyraźnie dobiegały dźwięki węgierskiej muzyki smyczkowej, najętej przez powracających z łowów na niedźwiedzia gwardzistów. Odbywały się tam tańce i słychać było śmiech i wesołe głosy włoskich i francuskich chórzystek nadwornej trupy operowej, które lubiały tu spędzać czas w towarzystwie bogaczy stołecznych.

Sama Drezdensza, vel Felknersza, pięćdziesięcioletnia, wymalowana i tęga kobieta, pojawiała się wśród stołów do gry w karty. Podparłszy się pod boki, zatrzymywała się przy graczach, szaremi jastrzębiami oczyma patrzyła na tych, którzy zwyciężali, z okrzykami: „Ach, Herr Je“.. — głośno śmiała się z przegrywających, — proponowała jedzenie i picie i znikła w wewnętrznych pokojach za każdym razem, kiedy wynikała jakakolwiek

awantura. Wojskowi nazywali Drezdenszë komendantką, marynarze—admirałową, cywilni—cioteczką.

W jednym z pokojów do gry gdzie, w ślad za Orłowym, wszedł Mirowicz, przy wielkim okrągłym stole siedział atletycznej budowy, wagi dziewięciu pudów, z chłopskimi ruchami i ordynarnymi francuskimi i ruskimi przysłowiami, z twarzy, zresztą, bardzo podobny do starszego brata—pięknego Grigorja, — wystrojony i wyperfumowany sierżant preobrażeńców, Aleksiej Orłow. Otaczali go przybyli z łowów na niedźwiedzie inni gwardziści. Grano tu w faraona. Na prośbę bogatego kolegi z pułku, Michała Jegorycza Baskakowa, Aleksy Orłow trzymał bank. Inni, stojąc, siedząc i z wyjętą kartą w niepokoju spacerując, poniterowali. Ożywienie było ogólne.

— Miejsce, Łasunskij! daj puścić okunia, — podchodząc i również biorąc kartę, szepnął Grigorij Orłow do niewysokiego, wystrojonego w srebrnych galonach izmajłowca.

— Nie puszczaj go, — uśmiechnął się długi, w okularach i wąty z wyglądu, drugi izmajłowiec, Nikołaj Rosławlew: bezwarunkowo przegrał w tych dniach siłą ich rozłączyli w Wołoczkie i Nieswitskim i z Chitrowo...

— Lecz ja nie dla siebie, panowie... parol d'honneur! — wyrzekł Grigorij Orłow, wskazując oczyma na przyprowadzonego przez siebie nowego ponitera.

Mirowicz długo nie decydował się stawiać na kartę.

„Gwardziści, katerinowcy, — hulacy, bogacze, — myślał, zamierając: nie pana... Zwiążesz się z nimi, nie będziesz rad. Przegrasz, na dnie mo-

rza znajdują; wygrasz, żeby się tak jeszcze nie skończyło, jak wtedy z Jusupowym... Niel dwa lata wytrzymałem, nie wyrываłem się... Wielki Rousseau, nauczycielu mój! Pamiętam twoje słowa... Siłą woli, woli jednego człowieka, wszystko osiągniesz... Basta, kart do ręki nie wezmę“..

Przy stole gry szła ożywiona, rusko-francuska rozmowa. Rzadko dawał się słyszeć śmiech.

— Cóż, ojcie wielce miłościwy? — wpatrując się w niego i w dalszym ciągu grubemi, zylastemi palcami ciągnąc faraona, wyrzekł basem olbrzym, Aleksy Orłow: uszanujcie tą kompanję... spróbujcie pruskiego króla szczęścia. Komu trzeć, komu w tarce być. Albo dziupla, albo pudła... voyons, allez vite...

Ktoś z obcych, stawiając kartę, wyszeptał: „Było nie było, spróbuj jeszcze, Chawronja!“..

Mirowicz oparł się ręką o stół. Twarze poniterów były mu nieznane. Przed nim leżała talja.

„Poliksena, daleka, droga, niedobra, ratuj“, — pomyślał, przykrywając pożyczonym od Uszkowa czerwonceńcem piątkę, nazwa której zaczynała się na jedną literę z imieniem Poliksena.

— Oho, skreślił owcy szyję! Dana! — zawołał wesołym głosem trzymający bank. Dreszcz przebiegł od głowy do pięt Mirowicza. Podwoił stawkę na tejże karcie. Aleksy Orłow począł znowu ciągnąć i znów podniósł na niego zuchwałe, śmiejące się oczy i rzekł:

— Dana, mości panie, i tas! zbliżyli się nowi gracze. Z dołu zjawił się i Rubanowski.

— Zuch, zuch! — szeptał teraz starzec Mirowiczowi: dla takiego można się postarać, może i znajdel...

Mirowicz nie zwracał uwagi na otaczających. Duch gracza zmartwychwstał w nim z dawną,

dawno niewypróbowaną mocą. Oczy mu się zamglily, nozdrza rozszerzyły, tchu brakło. Zapomniał i o Rousseau, i o św. Jana, i o sile woli, o wszystkim. Zaginając parole i stawiając róg na p, wygrał prawie pod rząd jeszcze kilka kart.

— Jakie szczęście, — przekłete, djabelskie szczęście! — szeptali wokoło.

— Qui est ça?

— A czort go wie...

— Lecz skąd się wziął?

— Grigorij, czy co, przyprowadził...

— Sacre nom! Nie pozorny, a jak zagarnia.

— Lecz to wypadek, parbleu! nie wciąż że będzie brać...

Mirowicz, tymczasem, podniósł oczy do sufitu. Trzymając talję kart, pomyślał: „Pczolkin... Poliksena... dwie jednakowe litery w początku imienia i nazwiska... Spróbujemy jeszcze tak“, — wyjął piatkę pik, zagiął na niej wszystkie cztery rogi i puścił w taki sposób wszystko, co wygrał. Karta znów, ku ogólnemu zdumieniu, wzięła.

— Bank zerwie! co wyl — szarpnął za rękę Aleksego. Orłowa Bredichin: gdzie Baskakow?

— Z Maszutą romansuje... — odpowiedział, wskazując na drzwi, Chitrowo.

— Mais allez donc, — szepnął do brata Aleksey Orłow: niech rzuci romanse i ratuje.. jaki atut przyciągnął...

Gurjew i Chitrowo przyprowadzili Baskakowa. Poniterzy rozstąpili się. Ktoś powiedział:

— Późno, przyjaciele; wkrótce zaczną gasić świece. Czy nie oblać pola?...

Podali szampańskie. Łasuński z Rosławlewym i Gurjewym zaczęli kredą obliczać przegraną, wygraną, za karty i za wino.

Postronni widzowie powoli zaczęli się rozchodzić. Gdzieś w sąsiednim pokoju kilka osób bezładnie śpiewało: „Len, len, młody“... Rozległo się brawurowe brzękanie gitary. Strzelały korki, brzęczały rzucane o podłogę szklanki.

— Cóż, panowie, jeżeli nie chcecie, jeżeli... ja sam gotów jestem ciągnąć bank! — rzekł Mirowicz, niezręcznie wsuwając do kieszeni dukaty i ruble: tylko w tem i radość... Żyjemy w wątpliwych czasach... Ach, jak, mateczko, pięknie w Kijowie... — naraz dodał, ni z tego ni z owego

Dławił go śmiech, dawno nieodczuwana radość unosiła, rozdrażniała. Zaczynał bełgotać bez związku, jawnie chwiejąc się. Oczy mu się sklejały Upojenia z wygranej, łączyły się z upojeniem z wina

Crygorij Orłow porozumiał się wzrokiem z przyjaciółmi.

— Jeżeli ciągnąć dalej, to czy nie lepiej u mnie?! — rzekł: lub dogramy u księcia Czurmantiejewa, u niego obecnie rocambol z kolacją... prosił wprost z polowania...

Koledzy zadecydowali, że do księcia Czurmantiejewa na Wasiljewski daleko, lepiej do Orłowa.

— A pan? — spytał Grigorij Mirowicza: sanie moje gotowe, i mieszkam na Mojce, w domu Knut-sena, obok pałacu.

— Wiem, wiem, — bankier! — a to choć i do Czurmantiejewa... gotów jestem! — odpowiedział, chwytając za poręcz krzesła, Mirowicz i jam piechur, znaczy się, niebogaty człowiek... infanterja jednakże... wybaczcie, panowie nie ustąpię nikomu... Ach jak mateczko w Kijowie pięknie... A pan był w Kijowie? spytał ktoś, podchodząc: czytam są niedźwiedzie?

Mirowicz zamglonemi oczyma w milczeniu popatrzał na niego.

— Grigorasz bierz go! — rzekł Baskakow do Orłowa.

— Lecz żeby tylko nie zrobił awantury?

— Głupstwo, bierz...

Wszyscy się zgadzali, że szkoda tak rzucić wśród nocy męznego, ostatecznie pijanego żołnierza, którego nazwiska jakoś w zamęcie zapomnieli, a i adresu jego teraz dowiedzieć się nie było można. Gwardziści wyprowadzili Mirowicza na ulicę, wsadzili do sani Grigorja Orłowa i powieźli do mieszkania ostatniego. Lecz na tem przygody tej nocy nie skończyły się.

Zrozumiał w następstwie Mirowicz, że kiedy go wsadzano do sani, przy bramie Drezdenszy, jakiś zgarbiony, w kamlotowym paltociku, staruszek przecisnął się do niego przez tłum odprowadzających i, kurcząc się z zimna, szepnął: „Zuch... atutowy... i wszystko piątką, piątką!.. umrę, a znajdę“...

Przypomniał sobie także Mirowicz, że po drodze do mieszkania Orłowa cała ta wesoła i hałaśliwa wataha młodych obwiesiów, brzęcąc dzwoneczkami, krzycząc i głośno się śmiejąc, zajeżdżała jeszcze do dwóch jakichś austerji. W jednej Mirowiczowi usłudźni hulacy dawali, celem odświeżenia się, wody do umycia, i znów grali w bilard i pili. Przytem był on niezmiernie wesołym, również pił, żartował i nawet śpiewał jakąś zuchowatą, taneczną pieśń ukraińską.

— Rozhulali się orłęta — mówili okoliczni mieszkańcy, słysząc przez podwójne okna i okiennice tętent koni, dzwon brzękadeł, i odgłosy rozlegające się po mroźnych ulicach, znajomych rozgłosnych hulaków.

W drugiej austerji, a właśnie, u rodaczki przy-

jaciółki Drezdenty, Ambacharszy, zdarzył się wypadek. Tam kompanja rozhułanych obwiesiów niespodziewanie natknęła się na znanego i nieprzejednanego współzawodnika siłaczy Orłowych, na byłego komendanta Kronsztadtu, Szwanwicza.

Każdego z Orłowych oddzielnie w walce Szwanwicz z łatwością pokonywał; we dwóch zaś brali nad nim górę. A dlatego między nimi raz na zawsze było umówione, że jeżeli gdziekolwiek w austerji Szwanwicz spotka jednego z Orłowych, to oni winni byli natychmiast wynosić się, pozostawiając do jego rozporządzenia wino, bilard i piękności. Gdzie zaś Szwanwicz zastawał dwóch z rodziny Orłowych, to sam, bez zbędnych rozmów, winien był im ustąpić pole działania. Obwiesie wtargnęli do austerji Ambacharszy tym razem właśnie w tym czasie, kiedy z drzwi jej wyleciał na podwórze, wypchnięty przez Szwanwicza, trzeci z Orłowych — Fieodor. — „Jak? komu? łapciowi się kłaniać? cofać się? — wrzasnął do oszołomionego brata Aleksy Orłow: nie, Fiedia, głupstwo! sacré nom! naprzód!..

Wszyscy zerwali się z sani.

W pokojach Ambacharszy powstał trudny do opisanja gwar. Szwanwicz nie ustępował. Jedni z gości trzymali stronę Orłowych, inni zachrypłemi gardłami krzyczeli, że tak niemożna, że powinni ściśle wypełnić umowę. Szwanwicz potężną łapą zgarnął znów za kark rosnącego Fiedora Orłowa. Na pomoc młodszemu pisklęciu runął olbrzymi Aleksy... Dwaj barczyści zawadający wspólnymi siłami zdławili przeciwnika, przewrócili go na wznak, i Aleksy Orłow, z twarzą czerwoną od napływu krwi, wyciągnął pod pachy bladego ze złości, szarpiącego się marynarza za drzwi i, kolejno zepchnął go z ganku austerji w śnieg.

Koledzy zażądali od Orłowych przy tej okazji nowego ugoszczenia. Znowu zjawilo się wino. Jak się okazało Fiedor Orłow miał rozerwany rękaw i płynęła mu krew z nosa. Aleksy rozcierał śniegiem wywichnięte palce. Gwar, krzyk i śmiech rozlegały się z traktjerni daleko. Byli tu i cyganie. Niepohamowani hulacy przeszli do wielkiej sali gry w kręgle i zaczęli tam skakać jeden przez drugiego. Mirowicz woził kogoś przytem na sobie wierzchem... Grigorij Orłow, z piękną, z czarnobrewą cyganką Aksiuszą, przy pieśni chóralnej i dźwiękach bandur, zdjawszy kaftan i kamizelę, w płócienniej koszuli, wymachując chusteczką, tańczył przysiadając trepaka. Grzmiała znowu pieśń: „Len, len“...

Lecz kiedy tłum, ugościwszy się dowoli, ruszył ku saniom, Aleksy Orłow, nie dochodząc do bramy, naraz jęknął i, z zakrwawioną twarzą, upadł pośrodku podwórza na śnieg. Ktoś w tym czasie poczał od ganku uciekać ulicą...

— *Tiens, comme il l'a balaféré!* — zawołał Bredichin, z podbiegłymi kamratami, z trudem podnosząc Aleksego Orłowa, któremu Szwanwicz z zasadzki przeciął na ukos lewy policzek.

Ktoś z tłumu wyrwał szpadę i z krzykiem:

— Tak więc jaki jest honor! oto podłość śmierć zdrajcy! — pobiegł w pogoń za uciekającym Szwanwiczem.

— Zatrzymać go, zatrzymać, — całą ulicę rozbudzi i spłoszył — rozległy się głosy przy bramie.

Nieproszzonego obrońcę przyprowadzili z powrotem do traktjerni. Był to Mirowicz. Nikt go nie mógł uspokoić. Podczas gdy krzatali się, przewiązując ranę Orłowa, on, nie wypuszczając z rąk szpady, w dalszym ciągu hałasował i, z pianą na ustach i zgrzytaniem zębów krzycząc:

— Zabiję zdrajcę, zabiję podłego tchórzal —
wrywał się ku drzwiom.

Z tłumu ludzi w traktjerni, z czerwona od nadmiaru trunków twarzą, niespokojnie wysunął się tęgi, w futrzanej oponczy. jegomość. Wyraźnie chwiejąc się na nogach, nachylił się nad Mirowiczem, wziął go łagodnie za rękę i z westchnieniem rzekł:

— Uspokój się, Wasilij Jakowlewicz, uspokój... Widzisz, i ja, i ty... daliśmy obietnicę, a sami... Balafré.. obietnica!.. Czurmantiejewa dograć... umrę, a znajdę!.. — nieprzytomnie powtarzał sobie Mirowicz, mknący ulicą w saniach Łomonosowa.

Zapłonęła blada zorza. Domy, parkany i skrzyżowania zaczęły wyłaniać się z ciemnej mroźnej mgły. Sanie, skrzypiąc, zatrzymały się na brzegu Mojki. Mirowicz wszedł, chwiejąc się, na schody drugiego piętra, i jak był ubrany, w kapeluszu, w szynelu i trzewikach, runął na pierwszą spotkaną otomanę i jak zabity zasnął.

V.

Ślad znaleziony.

Przed dwoma laty, a ściśle w początku zimy 1760 roku, po wysłaniu Mirowicza do armji zagranicznej, Pczołkina zwróciła na siebie odrazu uwagę kilku dworskich adoratorów.

Poliksena wtedy ukończyła osiemnaście lat. Wyrosła i stała się nie tyle piękną, ile przystojną, umiejacą się znaleźć, żywą. Szare jej oczy, podługne, jak u sfinksa, były również zagadkowe, beznamiętne i drwiąco-zimne. Złociste włosy, kiedy ich nie pudrowała, gęstemi bursztynowemi falami spadały z jej suchej, surowej i dumnie osadzonej

głowy. Zabiegali o względy pięknej, chudziutkiej kamer-mädchen carcy wojskowej i cywilni. „Pszczołko złota, co ty szemrzesz?„ — napisał, według pogłosek, właśnie o niej jeden wierszorób, i miejscy modnisie śpiewali tą pieśń przy klawikordzie. Pierwsi eleganci stołeczni, na kawalerskich ucztach, nieraz zakładali się, że nie upłynie tydzień — jeżeli tylko zechcą — Pczołkina będzie przez nich zwyciężoną. Zakłady przegrywano. Adoratorzy mylili się.

Poliksenę gniewało ich natręctwo. „Bezmózdzy, wstrętni! — drząc i blednąc, szeptała przez łyzy: i wszystko dlatego, że ja podrzutek, ani rodu, ani pochodzenia... Z łaski carcy, dobrze ubrana, weszłam w modę i podobam się wszystkim, — oto cały koszyczek miłosnych bilecików na półce... I już żeby starali się z serca... Wstrętni pustacy!.. Trzpiot ten, bogacz Naryszkin w ślad biega cały miesiąc; kamerher Łoskutjew zamyślił starać się, holsztyńczyk Zobeltisch... Od ulicznej elegantki do aktorki, od aktorki... no, i do naszej siostry, do pokojówki, dlaczego by nie pobiegać?“.

Często przypominała sobie i obmyślała Poliksena swą przeszłość, — dziwne, nie jak u innych, — samotne dzieciństwo, bieganie po schodach, korytarzach i przejściach starego pałacu zimowego i pierwsze świadome niepokoje, rzadkie radości, za to częste gorzkie łyzy bosonogiej szwaczki, potem dywaniarki u stats-damy Apraksinej i, w końcu, koronczarki i kamer-mädchen samej carcy. Z powodu jednego z nadwornych widowisk, kiedy zachorowała jakaś aktorka, zaczęto uczyć ją po francuzku, potem po niemiecku. Okazała wielkie zdolności. Iwan Iwanowicz Szuwałow zamyślił umieścić Pczołkinę w chorze operowym i polecił ją opiece ówczesnej pierwszej śpiewaczki Libery

Sacco, która dawała swej nowej uczennicy do czytania dramaty, komedje i powieści, i zdążyła ją rozwinąć. Przez nią Pczołkina poznała się z Rousseau, przeczytała jego „Emila” i niektóre z jego utworów filozoficznych.

Nigdy nie mogła zapomnieć Poliksena jednego dnia ze swego dzieciństwa. Ją, żywą i dziką dziewczynkę, mocno pobił w czasie zabawy jakiś pałacowy złośnik murzynek. Na jej pogroźkę:

— Ot, poczekaj, djable wylupiasty, mamusi się poskarżel — wylupiasty djabeł, szczerząc zęby i wysuwając czarną pięść, odpowiedział:

— Żadnej matki u ciebie, ryża Polko, niema i nie było... a i ojca nie byłol.. a tyś Polka, zeb-raczka, podrzutek, srocze dziecko!..

— Jako podrzutek, srocze dziecko? zaczęła zaczepiać i dopytywać się spotkanych dziewczynka. Wyjaśniono jej, że rzeczywiście znaleziono ją w strzępach jakiejś szubki, na kupie zgrabków siana, pod gankiem stajni pałacowej. Gorzko zapłakała Poliksena i od tego czasu, wtuliwszy się w kąt podwórza służbowego, wciąż wypatrywała sroki na śmieciach: która będzie jej matką?

Przeczytała razu pewnego Poliksena dramat francuzki, dany jej przez Liberę Sacco, i omal nie zwarjowała. W dramacie odtworzoną była Dziewica Orleańska, wybrana przez Opatrzność dla dokonania wielkiego czynu. Od tego czasu dola Joanny d'Arc nie dawała spokoju Pczołkinej. Roily się jej rozgłośnie czyny, sława światowa, ogólne uznanie. Nierzadko całe dnie, w garderobie carycy, prze-siedziała w milczeniu, jak posąg. Marzyła o odwiecznym, gęstym lesie dębowym, mchu i skałach. Wojsko stoi na skraju. Błyszczą zbroje, brzęczy oręż. Prześladowany król, Karol VII, leży przed namiotem. I oto, z lasu, w hełmie i z mieczem, wy-

chodzi promienna dziewczica. „Uratuję cię, wprowadzę na tron”—mówi do króla. I ta dziewczica—Poliksena... Robota wypadła jej z rąk. Robrony i blondyny carycy długie godziny prasowała zupełnie wystygłym żelazkiem, paliła kołnierzyki, haftowała na kanwie zamiast czerwonych, niebieskie i zielone róże. „Zakochana, zakochana”, — szeptały o niej przyjaciółki-pokojówki. Zjawiła się w Petersburgu znakomita jarosławska wróżka Warwaruszką. Wszyscy u niej wróżb zasięgali. Zwróciła się do niej i Pczółkina. Wybrała się do niej na Ochotę, z żoną Ipatjiczą, stangreta carycy, w chusteczce i starej sukni. Warwaruszką długo odmawiała wróżenia.

— Siły we mnie obecnie niema, w kosteczki wszystka poszła, — mówiła.

Towarzyszka Polikseny położyła przed nią dwa ruble i kawałek płótna. Warwaruszką zaczęła wróżyć z kawy. Żonie stangreta, cierpiącej na pijaństwo, tak i powiedziała:

— Śmierć dla ciebie nie prędko; blinkiem się udławisz, tylko ożyjesz.

Poliksenie przepowiedziała dwóch młodych i pięknych narzeczonych.

— Obydwaj będą ciebie oto tak kochać, i za jednego, dziewczko, tybys i poszła, ale nie stanie sił; nie wyjdiesz i za drugiego.

— Dlaczego? — spytała z przerażeniem Poliksena.

— Przez hałas i przez krew.

— Cóż, miłościwa, — wtrąciła się żona stangreta: krewni są oni ci krwawi między sobą, czy też poprostu pobijają się?

— Nie krewni, a dalecy, i nie pobijają się; tylko wychodzą przez krew i przez hałas, — potwierdziła Barbara.

Żona stangreta nie miała długo żyć; tejże zimy, opiwszy się do śmierci zapiekanki — pie-przówki na imieninach kuma, i żadnym błinem się nie dławiała.

— No, i o mnie widać wróżka naplotła, — myślała, niezbyt obojętnie przypominając sobie wróżby Warwaruszki, Pczołkina. Czytała „Emila“ i jednocześnie składała daninę wiekowi—wierzyła we sny i wróżki. Kiedy w liczbie adoratorów nawinął się jej Mirowicz, przyjrzawszy się ówczesnej skromnej, prostej i dobrodusznej do głupoty minie zakochanego młodzieńca, nie raz z przykrością zapytywała siebie:

— Czyżbyż to ten?

Pochlebiały jej namiętne starania się Mirowicza, jego wierność. Lecz odpędzała precz wszelką myśl o możebności zatrzymania swego wyboru na nim.

— Oficerzyną piechoty armji będzie — niewielka pociecha! — mówiła sobie, przeglądając się, w wspaniałych, bursztynowych lokach, w lustrze. I oto, jego niema, zdegradowany, wysłany. Żałowała go Pczołkina, nawet płakała nad jego losem. Lecz minął rok, — o Mirowiczu ani słuchu. Czy żyje też biedny, nieśmiały adorator?

Nadeszła nowa, szczególnie wesoła zima. Bale dworskie zmieniały się koncertami, koncerty—maskaradami. Zmarła caryca lubiła, ażeby ładniutkie z jej świty, nie tylko frejliny, nawet kamerystki, zjawiały się poprostu potańczyć w jej obecności na zwykłych wieczorkach.

— Czas już Pczołkinę wydać za mąż,—oznajmiła raz caryca stats-damie Agrafienie Leontjewnie Apraksinoj, na jednej z maskarad, gdzie Poliksena z innemi pannami, w kostjumie nimfy, tańczyła

menueta z następcą tronu: widzisz, jak Piotr Fiedorycz oto, przed nią się wykręca.

— A i to prawda, mateľko-caryco, — odpowiedziała Apraksina: zatem latem i naprawdę znajdziemy jej narzeczonego, a jesienią, przed fili-pówkami, wyprawimy i wesele.

— Lecz Pczółkina zdaje się ma już kogoś upatrzonego, i on jest na wojnie, — zauważył ktoś przytem.

— Tem lepiej, — rzekła Elżbieta Piotrówna: sprowadzimy zucha, — zakończyć amory... a do tego czasu, przypuszczam, wojna się już skończy.

W końcu tej zimy nawinęła się specjalna okazja.

Służący w kolegium wojny, żonaty z bogatą córką kupca Uljaną Pusłową, pułkownik Bechleszow — musiał wywieźć do obcych krajów, na wody do Spaa, chorą żonę i poszukiwał dla niej, przez „Wiedomosti“, towarzyszkę, posiadającą obce języki. Umizgi Piotra Fiedorycza do Pczółkinej nie ustawały.

— Niech się przejedzie, — zdecydowała caryca, i z boku, przez Apraksiną, kazała poradzić swej kamer-näddchen przyjąć propozycję Bechleszowa.

Pczółkina była zdumiona i jednocześnie uradowana.

— Zkąd takie szczęście? — powtarzała sobie: oddalają, zdaje się, od ważnej osoby. Znaczy się, jestem niebezpieczna... Oto co obiecuje i gdzie prowadzi los.

Otrzymała urlop do września, i w maju, przez Drezno i Wiedeń, wyjechała z Bechleszowymi zagranicę.

Poliksena często pisywała ztamtąd do Pticy-nych. Wszystko zajmowało ją w obcych krajach:

nieznane obyczaje i charaktery, tak różne od tego czemu przypatrzyła się w Rosji, wspaniałe ogrody i parki, czystość i piękno niemieckich miast i wsi. Różnorodne i ożywione towarzystwo zjechało się u modnych wód leczniczych. Był tu kwiat osłabionej i wydelikaczonej ówczesnej europejskiej arystokracji. Między chorymi było widać nie mało i rannych na wojnie, toczącej się w pobliżu, w rozbitych przez ruskie wojska Prusach.

Pczołkina z Bechleszową odwiedzała kursaal, z chciwością czytała i tłumaczyła chorej gazeciarskie gadaniny i nowe romanse. Na wodach zaszło również kilka romansów. Jakiemuś lordowi kirasjer austriacki uwiózł córkę; żona reńskiego bogatego kupca win uciekła z paryskim aktorem. Poliksena również poczuła się nie dobrze.

Pułkownik Bechleszow, przywiózłszy żonę, myślał spędzić w Spaa nie więcej nad tydzień i mieszkał tu cały miesiąc. Towarzysząc żonie i jej towarzysze na spacerach, z początku był bardzo powściągliwy, potem zaczął, jakby wypadkowo, okazywać tą lub inną przysługę Pczołkinej: z troskliwą uprzejmością podsadzał ją do powozu, przynosił jej z poczty listy, kupował ulubione łakocie, owoce, a raz przy żonie ofiarował jej modny adamaszek na suknię. Poliksena przyjęcia podarunku odmówiła. Bechleszow począł szukać sposobności do rozmowy z nią sam na sam.

— Cóż by to znaczyło? — myślała, gubiąc się w domysłach i za każdym razem przerywała te spotkania. Chorej zrobiło się gorzej. Rozchorowała się skutkiem zmiany pogody i przez pewien czas nie wychodziła ze swego pokoju.

Był ciepły, wilgotny po niedawnej burzy wieczór. Bechleszow spotkał Poliksenę w niewielkim ogrodzie przy swoim mieszkaniu, popro-

isł ją, ażeby usiadła na ławce i, po pewnem wahaniu, szepnął jej:

— Czarodziejko! ja przez ciebie rozum tracę.

— Wstydź się pan, pułkowniku! wybuchnąwszy, rzekła Poliksena; ma pan synów w nauce, żona tak choruje, a pan... postępuje, przepraszam, jak chłopiec...

— Lecz, droga pieśzcotko, — odpowiedział Bechleszow, zastępując drogę Pczołkinej: ja wszystko dla ciebie, wszystko...

Poliksena rzuciła na niego błyskawicę z szarych oczu, odepchnęła celadona i w milczeniu poszła do siebie na górę.

— Poczekaj ty, ryży pyszałku! ja ci odpłacę! — mruknął w ślad za nią rozwścieczony niepowodzeniem Bechleszow.

Uprzejmości dla Pczołkinej tłusciutkiego, siwego i niskiego wzrostu kurtyzana urwały się. Przy herbacie, obiedzie i kolacji nie mówił z nią prawie ani słowa. Żonie jego zrobiło się lepiej, i Bechleszow zaczął się pakować z zamiarem powrotu do Petersburga. Pczołkina, ażeby złagodzić rozdźwięk, zamierzała prosić go o dowiedzenie się w koleżki o Mirowicza, z którym korespondowała i od którego, przed wyjazdem z Rosji, otrzymała jeden za drugim dwa czułe listy.

— Spyta, czy nie narzeczony? — myślała: umyślnie powiem — narzeczony... i powścieka się i odczepi się prędzej... A dlaczegoż Mirowicz nie ma być narzeczonym? — z goryczą dodała i westchnęła: i zakochany i wierny... czegoż więcej?

Siedziała Pczołkina jakoś u siebie na górze. Była noc. Kończyła list do Pticynej o przygodzie z Bechleszowym i zamyśliła się.

— Wszak to, przypuszczam, zawsze tak będzie, — rzekła do siebie: kiedyż koniec? I czyż

niema wyjścia?... Mirowicz! Lecz któż on taki? Tak jak wszyscy: dobry, nieznacznym, bez rodu, jak i ja; mówią, ma skłonności do kart, rozrzutności... Lecz z rozrzutności i kart można jeszcze się poprawić, wyjść na ludzi... Młody, — opamięta się... Słysząc, że teraz z niego zadowoleni; nawet za odznaczenie się dali awans... Lecz nie to, wszystko nie to... Biedny, i to głupstwo... Życie nie będzie z czego, — caryca pomoże. Lecz czyż o tem marzyłam, na to czekałam!

Poliksena przestała pisać. Wspomnienia znów zaroily się w jej głowie: zły murzynek, urocze dziecko, Joanna d'Arc z mieczem i hełmem, na skraju gęstego dębowego lasu, przepowiednia wróżki... krew i hałas...

Siedziała, wsparłszy gorące czoło na zimnej wychudłej rączce. Łzy kręciły się jej w oczach. Na dole na schodach dały się słyszeć kroki. Ktoś jakby wszedł na kilka stopni i zatrzymał się.

— Wydało mi się, — rzekła do siebie Poliksena: szczęście!.. nie doczekam się go widocznie... A u innych, — oto w gazetach: tylko i mówi się, o romansach, o miłości... I dlaczego mi nie ujrzeć szczęścia?... Dlaczego do innych ono przychodzi, i takie hojne, — nieprzepowiedziane, nieoczekiwane?... Mężowie znakomici: w cześci...

Ujęła znów za pióro.

Przez otwarte okno facjatki widniały zarysy okolicznych wzgórz i lasów ardeńskich, nad niemi — usiane gwiazdami, ciche niebo lipcowe. Pod oknem był skalisty wąwóz nad strumieniem. W domu wszyscy dawno położyli się spać, usnęli. Rano Bechleszow wyjeżdżał do Rosji. Zbliżał się świt.

Pczołkina powoli wyciągnęła rękę do kałamarza, umaczała pióro i zaczęła znów nasłuchi-

wać. Płomień świecy w ciężkim lichtarzu, jakby zakolysał się. Widocznie ze dworu powiało świeżym przed świtowym wiatrem, coś się poruszyło... Poliksena podniosła oczy: przed nią wystrojony, ufryzowany i upudrowany, z pękiem lilii i róż w rękę, stał okrągłutki, tłusciutki Bechleszow.

— Dobry wieczór, Poliksena Iwanowa, — wyrzekł, uśmiechając się nieśmiało.

Zerwała się, spojrzała na drzwi.

— Tu i na dole zamknięte: ts! — rzekł: jesteśmy sami... niech pani mnie wysłucha...

— Co to znaczy? — spytała Poliksena: jak pan śmie?...

Bechleszow wyciągnął ku niej bukiet.

— Rajski kwiatku, czarodziejko! — szeptał, nie ruszając się z miejsca: spać nie mogę, cierpię, męczę się...

— Romans! — uśmiechnęła się Pczołkina: lecz dosyć! idź pan, mości pani! nie pana mnie żal, — pańskiej żony...

— Królowo! zorzo moja! — rzekł, padając przed nią na kolana Bechleszow: przysięgam ci, kocham... zabij tylko wysłuchaj... Wszystko bierz, pieniądze, djamenty... Uszczęśliw, uciekniemy...

Poliksenie przypomniały się słowa wróżki.

— Wszystko bierz, — niczego nie pożaluję! — szeptał Bechleszow, przyciskając do piersi bukiet: słowo tylko powiedz... Rodzinę rzucę, służbę, choćby na skraj świata z tobą... Ozłocę, w kabałę się oddam: sto dusz na Uralu na ciebie odpiszę...

Poliksena złożyła ręce.

— Jakie poniżenie, jaka hańba! — rzekła z drżeniem: precz stąd, słyszy pan? precz! — wściekle tupnąwszy nogą, ciągnęła dalej, wskazując na drzwi: wychodź pan; inaczej, nie gniewaj się, zaczę krzyczeć, obudzę cały dom...

Bechleszow zbliżył się do niej. Podbiegła do okna.

— Krok pan robi,—wykrzyknęła, wskazując na okno: rzucę się stąd... na pańskiej duszy będzie śmierć...

— Niech pani czeka, niech pani czeka,—wyszeptał Bechleszow: czyżby na tem miał być koniec?...

Pczołkina milczała. Pełne oburzenia szare oczy zimno i wściekle patrzyły na niego od strony okna.

— Będiesz mnie pamiętać! — wyrzekł, wychodząc, Bechleszow.

Poliksena rano zaszła do chorej, poprosiła o należną jej pensję, otworzyła kufer, wzięła swój paszport, węzelek z rzeczami i udała się na pocztę. Przed obiadem weszła do gabinetu do Bechleszowa. W rękach trzymała książki i gazety. Pułkownik, siedząc przy otwartym biurku, coś obrachowywał. Przy wejściu Pczołkinej zbladł lekko, lecz nie obejrzał się, jakby jej nie zauważył.

— Omylił się pan, Walerjanie Iljczu,—z szacunkiem i powściągliwie rzekła Poliksena: lecz więcej od pana omyliłam się ja sama. Nie wiedziałam doprawdy, jacy obecnie ludzie są na świecie. Teraz wiem... Nic obrzydliwszego, marniejszego nad niejednego człowieka — och, nic nie znajdziesz...

Bechleszow uporczywie milczał. Twarz jego lekko posiniała. Ciężko oddychał, jak dawniej, nie oglądając się na mówiącą.

— Pan nawet sumienia niema, — z gorzkim uśmiechem ciągnęła dalej Poliksena: czyż i na prawdę niema? I czy wszyscy obecnie tacy? Zhańbić, zgubić, zgnieść biedną, ubogą sierotę — dla was to nic... Z taką to można!... Lecz nie wszyst-

kie sieroty jednakowe... Myli się pan... I nie dla każdego nieznanego pochodzenia podrzutka pasuje błoto, nicość i pozłocona hańba, dla kawałka chleba. Inna, mości panie, wierzy i w lepszą dolę...

Usta Bechleszowa poruszyły się. Chciał coś powiedzieć i znów nie odezwał się?

— Pan milczy? — kończyła Pczołkina: za dumny pan jest, ażeby przyznać się do winy przed taką nicością?... Pod gankiem w śmieciach ją znalazłil... Bądź pan przekłety z swoim bogactwem i swoją nizką, jednego tylko siebie kochającą duszą... A to — dane mi przez pana, mości panie, do czytania... Nauczył mnie pan ostatecznie wiele z tego... szczególnie zaś tem: w książce znalazłam list do pana od pańskiej faworytki w Rosji...

Poliksena rzuciła książki, gazety i znalazłiony list na biurko, powoli wyszła i tegoż wieczoru, omnibusem pocztowym, wyjechała do Wiednia i dalej do Petersburga.

Jesienią upłynionego 1761 r. caryca bardzo zachorowała, a w grudniu zmarła. Umieścić Poliksenę, z Apraksiną i z Szuwałowym, nie zdążyła ani w operze, ani wydać za mąż. Chociaż, w czasie choroby carycy, Pczołkinę wszyscy dworscy wielbicielowie zostawili w spokoju: — nie mieli wtedy na to głowy, — lecz Bechleszow nie spuszczał jej z oczu. Ze śmiercią carycy wszystko się zmieniło. Szuwałowowie upadli. Wpływy Apraksinoj zastąpione zostały przez wpływy Lizawety Woroncowej. Na nowy rok Bechleszow, dzięki protekcji swego krewnego, Gudowicza, mianowany został pomocnikiem oberkriegs komisarza, holsztyńczyka

Zeitza, i awansowany na generała. Służbowe znaczenie jego w kollegjum wojny, a z tem i stosunki jego podniosły się. Nie zważając na powrót z obcych krajów żony, to posyłał Pczółkinej, przez jej przyjaciółki, ukłony słowne, to listownie przysięgał jej niezmienną miłość.

Poliksena wahała się niedługo. Za radą Apraksinoj, udała się do Lizawiey Woroncovej prosić o miejsce przy małżonce cara. Woroncowa posłała ją do swej siostry, Daszkowej. Spojrzawszy na chudziutką i biednie ubraną pokojówkę, starego, znienawidzonego przez nią dworu, pyszna Katarzyna Romanówna uśmiechnęła się pogardliwie i, odwróciwszy się, półgłosem rzekła po francusku do Nikity Panina.

— Jakie zuchwalstwo! każda pokojówka dąży do zostania zaufaną nowej carycy.

Poliksena zbladła, jak ściana, zmierzyla spojrzeniem Daszkową i w milczeniu wyszła.

— Porachujemy się kiedyś! — pomyślała.

Pozostawszy bez miejsca, zdecydowała nie czekać więcej na nic, nie prosić i nie chodzić więcej do nikogo, a wyjechać ze stolicy, ukryć się w takiej głuszy, gdzieby i śladów jej nikt nie mógł znaleźć. Obmyśliwszy to, znalazła okazję, i w środku zimy 1762 roku, po pogrzebie carycy, nie pożegnawszy się nawet ze znajomymi, spakowała się, naprędce, napisała list pożegnalny, — do wyjeżdżającej również ze stolicy aktorki Sacco, — i, bez żalu, tak szybko opuściła Petersburg, że ani Bawykina, ani bliscy jej znajomi nie wiedzieli, gdzie się podziała.

Nocna pijatyka zmusiła Mirowicza do niewychodzenia z góry z pokoi Łomonosowa więcej niż

przez dobę. Obydwaj ukrywali się tam — jeden przed żoną, drugi przed Nastazją Filatówną. U Łomonosowa, wskutek nadmiaru wypitych trunków, powrócił szczególny, kurczowy, z dziwnym i śmiesznym świstem, kaszel, na który, jak i na opuchliznę nóg, cierpiał w ostatnich latach. Łomonosow żartami nazywał go swoim „słowikiem”. I ten słowik miał oryginalny zwyczaj: zaczynał w nim śpiewać właśnie za każdym razem, kiedy Łomonosow nie mógł się powstrzymać i odwiedzał restauracje Iberkampfa, Hantowera, lub znajdującej się w pobliżu Sinawo mostu, Ambacharszy.

Rozmawiając z Michałem Wasiljewiczem, w gabinecie tego ostatniego, o masonerii, o obcych krajach i nowinkach dnia, Mirowicz pokrótce opowiedział mu i o swoim, tak smutnie zakończonym, sercowym romansie. Poliksena nie było i gdzie jest ona stanowczo nie można było się dowiedzieć. Łomonosow, wysłuchawszy, spowiedzi Mirowicza, zachmurzył się.

— Oto on, los, — myślał: co kochamy, czego pragniemy, tego i niema... I ona cóż to za ptak?... I czemuż on dla niej nie para?... Pisał, przestała odpowiadać... A być może, tylko chowa się, próbuje młodego człowieka, jaki on jest i czy będzie jej wierzył?

Gospodarz i gość snuli różne przypuszczenia, rozważali, naradzali się. Świat fantastycznych marzeń ogarnął znów i nie opuszczał Mirowicza. Nocą do łóża jego zbiegały się dziwne, niespokojne obrazy: znów wojna, on ranny, porzucony gdzieś w nieznanem mieście. Sobór tonący w świetle; wspaniałe powozy, wystrojona publiczność... Komuś ślub dają. Nowożeńcy schodzą po stopniach przysionka — to Poliksena. Mirowicz w łachma-

nach, o kuli, przedziera się przez tłum, chce krzyknąć — i budzi się.

Wieczorem następnego dnia córka Łomonosowa, Lenoczka, przyniosła na górę kartkę, dostarczoną przez lokaja dworskiego. Był to list do Mirowicza od kamer-furjera Wasilja Kiryłycza Rubanowskiego.

„Dla miłości ludzkiej, — pisał mu stary retorbursak: od starożytnego i przez lata stoczonego drzewa, liściom zielonym i wielobarwnym, w rozumie zaś, sprawach, a również i w zabawach sztuką uprzyjemniającemu i wszystkimi zaletami błyszczącemu, panu memu, podporucznikowi Mirowiczowi, — pokłon! A ja, panie mój i wielce łaskawy patronie, — dowiedziałem się dla ciebie o miejscu, gdzie obecnie przebywa cudnowłosa i obyczajów dostojnych, poszukiwana przez pana, dziewczynka Pczołkina. A wyjechała ona, w styczniu do miasta Szlisselburga i mieszka obecnie tam w fortecy jako bona, inaczej — guwernantka, przy dzieciach owdowiałego kapitana gwardji, księcia Czurmantiejewa. Zalicza się ten Czurmantiejew od nowego tego roku jako główny komisarz przy tamtejszem więzieniu stanu; a jak się ma pan tam dostać, nie jestem świadomy. Kartkę zaś tą dostawi panu kamerłokaj wewnętrznych apartamentów zmarłej carycy, Tichon Kasatkin. On też i odwoził dziewczę Pczołkinę z dworu do miasta Szluszyn. Zatem, au rovoir, zegnajcie... A o piątce cudotwórczej nie zapomnę odtąd i na wieki“.

Przeczytawszy raz i drugi ten list, Mirowicz dał go Łomonosowowi, a sam podążył na dół — porozumieć się z Kasatkinym. Powrócił uradowany, podniecony...

— Boże mój, słyszysz? — krzyknął do niego

Łomonosow: tajemne więzienie państwowe! książę Czurmantiejew...

— Tak, tak napisane i posłaniec to samo potwierdził.

— Czy ty nie wiesz, kto w tem więzieniu siedzi? — spytał, wpatrując się w niego, Łomonosow.

— Nie wiem, Michale Wasiljczu, skąd mam wiedzieć...

— On... on!.. — ciągnął dalej, niepokojąc się i dławiąc rwący się z piersi kurczowy, świszczący kaszel, Łomonosow: — od kołyski! dwudziesty drugi rok męczy się w dusznej katowni...

— Lecz któż on?

— Carski więzień!... pamiętasz, mówiłem ci?.. Przez Boga naznaczony, a przez ludzi strącony, rosyjski, pokrewny carom i w Rosji urodzony imperator, Joan Trzeci, jak go nazywano w aktach, Autonowicz.

Lenoczka, widząc wzruszenie i nawet jakby przerażenie ojca, przysiadła w ciemnym kącie, nieśmiało wyglądając z poza szafy. Łomonosow wstał, przeszedł się po gabinecie, westchnął, przeciągnął ręką po oczach, chciał coś powiedzieć i nie mógł. Schwytał się za serce, podbiegł do biurka i ze skrytki, drżącemi rękoma, wydobył kilka pożółkłych, podartych, zadrukowanych arkusików.

— Ody moje! oto najlepsze pochwalne moje ody ku czci tego imperatora! — rzekł Łomonosow, błędnym wzrokiem patrząc jakby w jakąś promienną dal: ja, panie mój, przybyłem tu z Niemiec latem, za rządów właśnie tego młodzieńca — cara... Ty zrozumiesz, jak drogiem mi jest to imię!... Pisałem z głębi serca, byłem szczerze, głęboko zachwycony... Słuchaj...

Ogrzane wody czułem południem
Radują się świetlanie jedna przed drugą
Złoty znów zaczął się wiek...
Natury carskiej odrośl precudna,
Moja nadzieja, radość, światło,
Szczęśliwych dni Aurora jasna,
Monarcha — dziecko, rajski kwiat!

— I wiesz? poszedłem z temi wierszami do dawnego pałacu, przeczytałem je przed regentką Anną Leopoldówną i dzieckiem, i ona przy całym dworze, w dowód wdzięczności, pochyliła do mnie z poduszki dostojną główkę syna... Czy rozumiesz, co ja wtedy czułem?... Ot, patrz, czytaj...

— Dziwnel — wyrzekł Mirowicz: wiersze wydrukowane, a ja ich nie spotykałem...

— Ukazały się w specjalnym dodatku przy „Wiedomostiach“... Lecz je wycofano, kiedy na tron wstąpiła Elżbieta; mało tego, — palono je z manifestami, ukazami, arkuszami przysięgi i innymi aktami, gdzie tylko wspomniane było imię tego nieszczęśliwie urodzonego...

— Manifesty były w jego imieniu?

— Jakżeż! Przez czterysta cztery dni państwo czytało: „Z Bożej łaski, my, Joan III, i samowładca wszechrosyjski“...

— Wybaczcie mi, Michajło Wasiljicz! — rzekł z głębokiem zdumieniem Mirowicz; mało ja, jak jest, wiem o tych wypadkach. U nas w korpusie o tem milczeli, zagranicą, widocznie, zapomnieli... Słyszałem od jednego kolegi i od Nastazji Filatowny, lecz niewyraźnie. Skąpa była ona zawsze na to konto. Jak i dlaczego to wszystko zaszło?...

— Nieszczęśni argonauci! — odpowiedział Łomonosow: fatalne, złoto runo, które stało się ich udziałem, był imperator — skatowany... Pozwól,

ja tobie, co wiem, kiedykolwiek przy okazji opowiem. Smutny traktament usłyszysz, smutny...

Schował arkusiki z powrotem do biurka, podłożył polan do ognia, usiadł w fotelu, zakrył twarz rękoma i zamyślił się. Mirowicz siedział obok niego, nie spuszczał z niego oczu, i czekał, ledwie oddychając. Po dziesięciu minutach Łomonosow ocknął się, lecz zaczął mówić o czem innem.

— Wypytam Filatównę, — pomyślał, wychodząc od niego, Mirowicz.

VI.

Nieszczęśliwie urodzony.

W dwa dni potem Łomonosow, późno wieczorem, zawezwał Mirowicza na górę i doprowadził go do okna. Całe niebo zalane było przez zorzę północną.

— Niepokoje rozwartego morza powietrznego! — rękł Michajło Wasiljewicz, kierując przez lufcik nowowynalezioną przez niego lunetę.

Długo patrzeli na wspaniałe, jakby poruszające się to różowe, to błękitne słupy ogniste... Naraz Łomonosow wstał, przeszedł przez pokój i znów usiadł.

— Epoka panowania mojej bogini, — Elżbiety Piotrówny, — zaczął, pokaślując: to łańcuch Bóg wie jakich sprzeczności! I ja ci, panie mój, przy rozważaniu, przerywanego w tych dniach naszego traktamentu powiem nie inaczej, jak ze smutkiem wiele, wiele leży grzechów na jej doradcach... Ile ona cierpiała, ile czekała. Córka Piotra i nie była dopuszczona na tron ojcowski.. Przez wszystkich była opuszczona, i nie pomagano jej; odepchnięta, wzgardzona, — i nie pomścili za nią... Lecz sama

bohaterka północy pomyślała o sobie... Słuchaj... Wszystkim pamiętną jest noc, na dwudziesty piąty listopad, siedemset czterdziestego pierwszego roku... Elżbieta Piotrówna, bogom równa, wdziała pancerz na suknię, pomodliła się, wsiadła do sani i pojechała ze swoimi partyzantami, do koszar preobrażeńskich. Tam ogłosiła siebie imperatrycą, poszła z wiernymi grenadjerami do pałacu zimowego i aresztowała śpiącą całą rodzinę brunświcką; regentkę państwa, Annę Leopoldównę, męża jej, zacnego jakąż, generalissimusa Antoniego Ulricha, i ich syna, dziecko — imperatora, Iwana Antonowicza. Małeństwo było ogłoszone samowładzcą w dwa miesiące po urodzeniu... W manifestcie nazwano go Joannem Trzecim; inni zaś nazywali w następstwie Piątym i Szóstym, pamiętając starożytnych Joannów. Był ku czci dziecka wybitny medal, i na nim wznosząca się ku niebu caryca Anna wręczała mu koronę... Rosja, w jego imieniu, rządzoną była przez rok i trzydzieści dziewięć dni, a ogółem czterysta cztery dni...

Łomonosow zatrzymał się.

— Czterysta — cztery dni... I za to cierpieć lata, życie całe.. — ciągnął dalej: gdzie, w jakim kraju, odnajdziesz podobny, tak tragiczny i fatalny przykład historii? Maski żelazne? a i temu więźniowi państwowemu lżej było...

— Dopytywałem się Nastazji Filatówny, — wyrzekł Mirowicz: dziwne rzeczy.

— No, i cóż opowiedziała ci ona?

— Wielce się martwi dołą nieszczęsnego.

— Okrutne, okrutne szyderstwo losu, — ciągnął Łomonosow: kiedy caryca Elżbieta Piotrówna przywiozła w swej szubie, z powodu mrozu, stracone dziecko imperatora do swego własnego pałacu, — zalała się ona, miłosierna, łzami i wykrzyk-

nęła: „biedne dziecię! Tyś niczemu niewinne... Winni są twoi rodzice...” Ogłoszono wkrótce manifest. W nim ogłoszono, że całą rodzinę broun-świcką, caryca, oddawszy wszystkie ich czyny w zapomnienie, kazała z należnymi jej honorami i odpowiedniemi otoczeniem, wysłać nazawsze z powrotem zagranicę — do ich ojczyzny. I powieźli ich do ojczyzny, do Niemiec. Lecz czego chcieli dobrzy, do tego nie dopuścili zli.. Ledwie nieszczęśni wędrowcy, pod nadzorem generała lejtnanta Sałtykowa, podążając do Królewca, dojechali do Rygi, ledwie od byłej regentki przyjęto tam przysięgę nowej carycy, Elżbieta Piotrówna, za radą gorliwego Fryderyka swego lejb-medikusa Lestocq, rozkazała ich dalej nie puszczać. W tym czasie, muszę ci powiedzieć, z Holsztynji, z wielkim niepokojem, oczekiwano w Petersburgu drugiego generała, rzeczywistego kamerhera, barona Korfa, a z nim rodzzonego siostrzeńca Elżbiety, — „djablika, który mieszkał w Holsztynji, jak nazywała caryca Anna znienawidzonego przez nią księcia Piotra Fiedorycza. Carycy szepnęły, — żeby niemieccy krewniacy straconego imperatora, w pomście za niego, nie zatrzymali na granicy wybranego przez nią następcy. Lecz ten pomysł nie przybył do Petersburga. I postanowili go uczyć, a wkrótce i ożenić. Przyjechała incognito z Zerbst, pod nazwiskiem hrabiny Reinbusch, — narzeczona jego, Katarzyna Aleksiejewna. Nieszczęsnego zaś prawnuka cara Iwana Aleksiejewicza, z rodziną, zaczęli trzymać w ryskiej cytadeli. Korzystnem było straszyć carycę. Więc, Lestocq z braćmi i straszył.. Elegant i pyskacz był on, a już zły człowiek pierwszej kategorii.. Na czubku puder, a pod czubkiem—tundra..

Lecz cóż—nie mogę, nie mogę... Dusza się rozrywa. Spytaj innych, każdy ci obecnie o tem opowie.

Łomonosow znów zamilkł. Mirowicz, widząc jego wzburzenie, nie dopytywał się więcej. I bez niego udało mu się przez te dnie dowiedzieć się niemało. Filatówna była usposobiona i, nie to co za dawnych lat, nie krępowała się. Wychowanek jej był teraz dorosłym człowiekiem, i straszny tajemny rozkaz już od trzech miesięcy nie obowiązywał. Poruszyła swe wspomnienia. A czego tylko z tego powodu nie wiedziała wdowa po żołnierzu lejbo-kompanji, zarówno od męża, jak i od jego kolegów!

— Och, cierpieli zesłani męczennicy, — opowiadała Mirowiczowi Filatówna: przemieszkali w Rydze więcej niż rok. A carycy, świat — matczce, donosili wszelkie pogłoski i plotki o zatrzymanych. Była regentka jej nie uznaje, i nie szanuje; a zausznica jej frejlina Mengden, namawia ją do ucieczki. Krążyły, Wasia, pogłoski, jakoby regentka i naprawdę usiłowała uciec, w chłopskiem, prostem ubraniu, okrętem. Z Rygi przeniesiono ich do innej fortecy. Tu Annie Leopoldównie urodziła się córka, Elżbieta. Dla uczczenia nowej carycy tak nazwali ją biedną... lecz nie na dobre... Wygadał się w Pitrze po pijanemu jeden kamer-lokaj, że wkrótce znów oczekiwać należy nowej zmiany, że będzie znów carem Iwan Trzeci. Twój rodak jakiś, ze starszych, pisał do drugiego jakoby wszyscy w Pitrze byli za Iwanem, i ten sam list został przejęty... A i von Minich z Ostermannem, podczas sądu nad nimi, myśląc, że zesłana rodzina jest już zagranicą, nie mało na nich napletli.

— Obrzydliwi tchórze, samolubi! — wyrzekł Mirowicz, nie spuszczać z opowiadającej płonących, pełnych oburzenia oczu.

— Tak, tak, Wasia.. A przed tem przyszedł donos i o samym generale Sałtykowie — pewnie słyszałeś o nim? Pozostawał on przy aresztowanych. Dziecko to — imperator, — miał on w tym czasie cztery latka, — bawił się w pokoju z pieskiem i uderzył go tak, żartując, w łeb łyżką. Nianka i spytała Iwanuszkę: „komu ty, ojczulku, jak wyrośniesz, głowę odetniesz?“. A dziecko jakoby odpowiedziało; „Wasilji Fiedoryczowi“, —znaczy się Sałtykowowi. Podskoczyli tu od takich wiadomości. Charakter dziecka, widzisz, okazywał się najostrzejszy, domyslny.

— „Zesłać ich dalej, w samą głąb Rosji, — zaczął powtarzać carycy lekarz jej Lestocq; „bez tego tron twój nowy nie jest trwały“. — A tu podążył z wilczą radą i król niemiecki. „Nie źle pisał do carycy; zesłać Iwanuszkę i jego rodziców w taki kąt, gdzieby o nich i pamięć umarła... W waszem, mówi, państwie, wasza carska mości, takich miejsc niemało... Inaczej spodziewajcie się nieszczęścia“.

Takie to mowy i zdecydowały sprawę... Pomyślała świat-mateczka — caryca, poradziła i posłała rozkaz: wiadome osoby w tajemnicy odwieść do miasta Ranienburga, w Razańskiej, znaczy się gubernji. Zaopatrzyli biednych, wzięli, i w mrozy zimowe, w zamiecie i bezdroża, przez Kaługę i Tułę, dostawili do Ranienburga, w początkach wiosny. Przytem omylili się, Wasilij, konwojenci i omało co nie zawieźli ich do kirgizów,—zamiast do Ranienburga do miasta Orenburga...

— Jacy barbarzyńcy! —szepnął Mirowicz.

— Barbarzyńcy? Siuchaj, przyjacielu. Co jesz-

oze ich oczekiwało. Na nowem miejscu nie-
szczęsnym było gorzej od poprzedniego. Pomie-
ścili ich, — o tem mężowi memu w tajemnicy po-
owiedział potem kapral z konwoju, — pomieścili
w starym i wałącym się drewnianym domu, gdzie
za dawnych lat trzymany był na zesłaniu carski
ulubieniec, ksiązę Mienszykow. Nie było tam ani
odpowiedniej żywności, ani służby; woda zgniła,
błotna. Księżna znów była w ciąży. — Iwanuszka
chory. A tu w Pitrze znów poczęły się gadania
o powrocie do władzy Iwana Antonycza. Jesienią
były straszne egzekucje i och! sama chodziłam —
sama widziałam! A na badaniu i nie to jeszcze
potwierdziło się.. W pułkach gwardyjskich przyja-
cielu mój, tak z głupoty przytem spodziewali się,
że mówili nasi mamy nadzieję, i za karabin,
w takim razie nie schwycą.. A tu, po wiośnie, da-
ły się słyszeć nowe pogłoski.. W mieście szeptem,
ukradkiem zaczęli powtarzać, jakoby do uwięzio-
nych w Ranienburgu, — sama to słyszałam od
kumy protopopowej, — przyszedł po kweście na
cerkiew jakiś, powiedzieć ci, mnich rozkolniczy,
i że umówił się on z księżną i z księciem, w ta-
jemnicy, za ich zgodą, porwał Iwanuszkę, ażeby
go ukryć, do pełnoletności, wśród swoich współ-
wyznawców, uciekł z nim do osad rozkolniczych,
na Wielką, do Polski.. Uciekających jakoby dopę-
dzili w lasach pod Smoleńskiem; mnicha powieźli
na badanie do Pitr, a Iwanuszkę do Wałdaj-
skiego monastynu.. Lecz czy by nie odłożyć, Wa-
sienka, opowieści do jutra? Późno, zmierzchno się..

— Ach, mateczko wy moja rodzona, mówcie,
mówcie! — rzekł, chwytając za rękę Filatównę,
Mirowicz,

— No, po takich pogłoskach, Wasilij, do Ria-
zańskiej guberni, do uwięzionych, jak śnieg na
głowę, i przyjechał obecny nasz generał — polic-

majster, baron Korf. Kazano mu tych aresztantów odwieźć, pod silną strażą, jeszcze dalej, a właśnie do miasta Archangielska, i stamtąd w nocy, w tajemnicy, do Sołowieckiego monastynu... Jak grom razła uwiezionych ta wieść o nowym przejeździe. Myśleli, że ich wiozą na Sybir, do tego miasta, gdzie mieszkał przez wszystkich przeklinany Biron. — „Nie zobaczę więcej syna! — krzyczała, bez zmysłów, księżna: żegnaj, Waniczka, mój carze, żegnaj na wieki!..” Rozłączyli ją z ulubionemi sługami i z zausznicą frejliną Mengden. Odebrali wszystkie jej rzeczy, kufry, drogie grzebienie, zegarki, pierścienie... Siostrę Mengdenowej u Szepielowych potem widziałam i ona im o tem opowiadała... Żmije, tak jest, żmije ostatnią atlasową spódniczkę z księżnej ściągnęli, powieźli ją w prostym ubraniu...

Bawykina obtarła oczy.

— Iwanuszkę, w piątym roku, — ciągnęła dalej: pod ochroną generała Korfa, powiózł z sobą w kolasce major, nie pamiętam jakiego pułku, a nazwiskiem Miller. Wyruszyli jesienią, znów w bezdroże, deszcz, a potem w śnieg i zimna. Podwozy naprzód i kwatery dla zesłańców przygotowywał pułkownik — wybacz Boże! — Czertow... Pamiętam go. Straszne takie nazwisko, a dobry był człowiek.. Do stangreta zmarłej carycy chadzał. Celem strzeżenia Iwanuszki kazano mu mieć przy kolasce umyślnego żołnierza, a dziecko nazywać, — należy przypuszczać, dla wspomnienia o przekłętym Gryszce Otrepiewie, — nie inaczej, jak Grigorjem, i kogo wiezie, nikomu nie mówić, a wierzch kolaski trzymać zawsze zamkniętym. Przyjechali podróżni do Białego morza... I chociaż w tajemnicy przed wszystkimi trzymali ten wyjazd, tylko pogłoski o nim mimo wszystko doszły do Pitra. Pułkownik Czertow naraz, wyobraź sobie, zwarjował, — palec Boży. A dopóki dowiedzieli się o tem i wywieźli

go również gdzieś, wśród wszelakiej pustki. rozga-
dywał i o tych nieszczęśliwych. Więcej, Wasińka,
nic o tych nieszczęśliwych nie wiem. Taki to obec-
nie świat: najzdradliwszy, zmienny; zgnilizną wszę-
dzie pachnie.. śmiercią..

Powtórzywszy opowiadanie Bawykinej Łomo-
nosowowi, Mirowicz w tydzień potem, zdobywszy
chwilę odpowiednią i, jakby mimochodem, spytał
go, co potem się stało z biednymi więźniami?

— Pozwól, opowiem, — odpowiedział Łomo-
nosow: jakiem zbliżył się z faworytem zmarłej ca-
rycy, z Iwanem Iwanowiczem Szuwałowym, zaczął
ten młody wielmoża, a mój patron i przyjaciel,
jeździć do mnie, na rozmowy o korzyści nauk i na
lekcje pisania wierszy... Tu on niekiedy w zaufaniu
opowiadał mi o tem, co słyszał o dziecku impera-
torze... „Gdzie są oni teraz? spytałem raz Iwana
Iwanowicza... — „W twojej ojczyźnie, mówi w do-
mu archierejskim, w Chołmogorach“. — Tak u mnie,
przyjacielu mój, serce i zamarło... A czyż nie w
Sołowkach?“ — „Komunikacji, — odpowiada, — po
pół roku z brzegiem tam nie bywa, więc boją się
tak w oddali trzymać... A i lód na jesieni prze-
szkodził wyruszyć na Białe morze“. — „Jakżeż oni,
pytam, tam żyją?“ — „Iwanuszkę, objaśnia, od-
dzielnie trzymają od rodziców i siostr... Wnieśli go
biednego, do dworu monastyrskiego, zakrytego
z głową, ażeby nikt i nie wiedział, gdzie i kogo
tam schowają“. — Ciężko stało się tu uwięzionym.
W Ranienburgu, sam rozumiesz, wszyscy byli ra-
zem, a i swobodniej żyli, spacerowali po gaju, na
rzece. A tu nie tylko za ogrodzenie podwórza, z po-
koi na ganek ich nie wypuszczają. Należy, zresztą,

prawdę powiedzieć i o dostawcy aresztantów, o baronie Korfie; on bardzo troszczył się o zesłańców. Lecz odwołano go, a nadzór nad sekretnymi osobami powierzono kapitanowi Millerowi. Na wiosnę księżna urodziła drugiego syna, Piotra, a po roku urodziła trzeciego, Aleksego, i w połogu, w dwudziestym ósmym roku życia, zmarła. Ciało jej, na skutek imiennego rozkazu, było w tajemnicy w spirytusie przywiezione do Petersburga i z ceremonją pochowane w Aleksandrowskiej łąwrze, obok jej matki, carówny Katarzyny Iwanówny. Caryca, na pogrzebie, bardzo płakała... Sam widziałem... Komisarz Miller nieodłącznie znajdował się przy Iwanuszcze, ażeby on przez drzwi nie uciekł, albo z żywości przez okno nie wyskoczył. Wysokie drewniane ogrodzenie otaczało podwórze, cerkiew, staw, i domy, gdzie zamieszkali nieszczęśni. Wrota stale były zamknięte na ciężkie zamki. W takiej samotności, smutku i nudach komisarz Miller, jak i kapitan Czertow, również ucierpiał na umyśle. Pozwolono mu sprowadzić i umieścić z sobą żonę, lecz pod warunkiem, żeby i ona, zachowując sekret, do książęcych pokoi wstępu nie miała... W dziesiątym roku Iwanuszcza omal nie umarł skutkiem epidemicznej w tych miejscach jakiejś złośliwej choroby. W dwunastym roku rozłączono go z Millerem, którego nagrodzono wioskami i przeniesiono jako pułkownika jakiegoś pułku fizyljerów do Kazania. Przed wyjazdem jego z Chołmogor, z księciem zaszły jednocześnie dwa nader ważne wypadki...

— Jakież? — spytał Mirowicz.

— A ot poczekaj, ściemniło się, — rozpalimy na kominie... Lenoczka, — zwrócił się Łomonosow do córki, siedzącej tu: — spójrzno, czy komin otwarty? — Według słów jednych, żołnierz wartownik,

a według zapewnień innych, z litości nad chłopcem, żona Millera zawiadomiła Joana o jego pochodzeniu.

— Co pan? — zdumiał się Mirowicz.

— Ojciec księcia, Antoni Ulrich, do tego czasu, trzeba ci powiedzieć, mieszkał o kilkaset kroków od więzienia Iwanuszki i nawet nie podejrzewał, w jakim niedbalstwie, za zieleńjącymi naprzeciw jego okien wierzbami ogrodu, męczył się i wiednął syn jego... Tu ubłagał, powiadając, żonę Millera, i ta, przed wyjazdem do Kazania, potajemnie z mężem nauczyła księcia modlitw i czytania i pisania... Potem Joan przeniósł się w Chołmogorach jeszcze pięć lat... Czara nieszczęść jego nie była jeszcze przepelnioną... W siedemnastym roku nieszczęsnego księcia przenieśli do Szlisselburskiej fortecy...

— Lecz z jakiego powodu przewieźli księcia do Szlisselburga? — spytał Mirowicz: choć bardzo w korpusie dopytywałem się o to, nikt mnie nie objaśnił.

Michajło Wasiljewicz zamglonym wzrokiem spojrzął na niego.

— Ten sam podstępny i dumny Berlin, ten sam samolub bez serca Fryderyk, który zapędził nieszczęsnych do lodowatej grobowej głuszy, był tego przyczyną, a jeżeli chcesz, to i ja sam! — zdławionym głuchym głosem dodał Łomonosow, podniósłszy i znów bezsilnie opuściwszy ręce: tak, panie mój, jestem temu winien, — na mnie ten grzech...

— Co pan, Michajło Wasiljewicz, czyż to może być?

— Nie dziw się! Właśnie tak; słuchaj teraz już do końca... Dziwne są sprawy twoje, panie... cudowny palec Boży...

Przez kilka chwil Łomonosow z opuszczoną głową, w milczeniu patrzył na rozpalający się komin.

— Na trzy lata przedtem, — lub nie, poczekaj, nie tak! — zaczął: przychodzi raz do mnie do laboratorium olbrzymi taki, z wygoloną brodą, jasnowłosa i tęgi w sobie kupczyzna... Nazywa się to bolskiim osadnikiem, Iwanem Zubarewym. Prosi o zbadanie rud syberyjskich w akademickim laboratorium. Podąłem o nich aprobację. Czy myślałem, że zwali się taki smutek! Później, wyobraź sobie — próby okazały się nie z Syberji. A tymczasem, dopytuje się on o Chołmogory. — Pan, mówi, stamtąd rodaku; tak i tak, mówi, wybieram się tam handlować, jeżeli skarb nie da subsydjum na wydobywanie rudy. — Zacząłem z nim przestawać. No, nie bez tego, żebyśmy i do herbergów nie chadzali, szczerze rozmawiali.. Wszczęła się rozmowa i o Iwanie Antonyczu. Serce mnie zawsze z jego powodu bolało. Znaczy się, to i drugie jemu o nim i powiedziałem. Słucha kupczyzna, a sam na wasie mota. — „Ot by, — rzekł naraz: wykraść byłego imperatora. To by wszczął się popłoch“...

— Cóż pan mu na to? — spytał blady, ogarnięty niepokojem Mirowicz.

— Przytaczam takie i takie cywilne i polityczne powody. „Jaki, — mówię, — może on być coo? Zdziczał, nie uczył się“. — Jak wpadł Zubarew z fałszywemi rudami, jego do urzędu śledczego. Lecz stamtąd uciekł. A po roku złapali go na polskiej granicy, w osadach rozkolniczych, jako szpiega króla pruskiego. Potem przypomniałem sobie, że zegnał się dwoma palcami, był rozkolnikiem, nieomal że przytem i nie skopcem.. Przywieźli go z początku do Kijowa ze zbiegłymi koniokradaми, potem znów do Petersburga. Tu on,

w tajnej kancelarji, przy odpowiedniem badaniu, z torturami, przyznał się do wszystkiego Aleksandrowi Iwanowiczowi Szuwałowowi... Cóż się okazało?... Z urzędu on uciekł, przez Starodub, na Wietkę, prosto do rozkolniczego Ławrentjewa monasteru.—Dokąd przed tem zmierzał i ukrywający Iwanuszkę mnich — zbieg, — a stamtąd przedostał się przez Królewiec do Berlina. Pozostający w naszej służbie, emigrant Manstein przedstawił go królowi Fryderykowi. Fryderyk dał mu rangę pułkownika swego regimentu i posłał go do rozkolników. Tam, za obietnicę swobodnego wyboru popów, winien był przygotować bunt na korzyść Joana i potem jechać do Archangielska, — gdzie na wiosnę wybierał się król pruski, — kupić żołnierzy i praczkę i porwać Iwana Antonowicza do Berlina... Na drogę Zubarewowi Fryderyk własnoręcznie dał tysiąc czerwoncew i dwa medale, z portretami — swoim i dziada byłego imperatora. Do tego wszystkiego Zubarew przyznał się na badaniu i poraz wtóry potwierdził to przed śmiercią, na spowiedzi, w tajnej ekspedycji, gdzie i umarł... Gdyby nie obronił mnie faworyt carycy, byłbym i ja badany... Zresztą, uratowało i to... o naszych rozmowach o Chołmogorach Zubarew przy badaniu nie powiedział ani słowa. Ledwie wszystko wyjaśnił, do Chołmogorów pomknął sierżant lejbkompanji Sawin. W na głucho zamkniętej karecie sekretnie w nocy wywiózł stamtąd księcia Joana... A komisarzowi, pilnującemu księcia, oznajmiono rozkaz — nikomu nie dawać najmniejszego pozoru wywiezienia aresztanta, do gabinetu zaś składać raporty, że on, z rodziną, pod jego nadzorem pozostaje, jak i przedtem, a pozostałych jaknajściślej pilnować, ażeby nie próbowali uciekać. Sawin dostawił sekretnie Iwana Anto-

nycza do Szlisselburga na wiosnę i przez całą drogę zgola nie śmiał mu mówić, gdzie go wiezie, i czy daleko będzie to miejsce od stolic. Tu księciu Joanowi dali przezwisko niewolnika Bezimienego, a najbliższymi komisarzami nad nim mianowali jakiegoś porucznika i sierżanta... Faworyt Szuwałow nie mało dziwił się, że jeden z nich był sądzony za zabójstwo na egzekucji żołnierza i ułaskawiony, z przeniesieniem na to stanowisko, a drugiego sami żołnierze omal nie zatłukli za okrucieństwo,—więc ich przez szeregi pędzali, a jego schowali do fortecy... W instrukcji komisarzom było powiedziane: oprócz nich, do koszar księcia nikomu nie chodzić i jego nie widzieć; jaki aresztant, stary czy młody, ruski czy cudzoziemiec, nikomu nie mówić; i w listach do domów swoich nie wspominać, gdzie sami się znajdują i z jakiego miejsca piszą. Z wstąpieniem na tron nowego cara, w ubiegłym styczniu, główną straż nad księciem powierzono kapitanowi gwardji, księciu Czurmantiejewu...

— Oto wypadek! oto okazja!—radośnie prze-rwał Mirowicz: Ach, Boże mój! wciąż przez te dni myślałem-myślałem... wyobraź pan sobie, wieczorem u Drezdenszy... tam właśnie rozmawiali... i Rubanowski píše...

— Nie raduj się, Wasilij Jakowlicz, nie raduj!—jakby nie dosłyszawszy go, ciągnął dalej Łomonosow: pamiętaj jedno, surowości przez to, bynajmniej nie zmniejszyli... Tamtejszemu komendantowi dawno był dany taki rozkaz, ażeby w fortecy, ktoby nie przyjechał, choćby generał albo feldmarszałek, lub podobny do nich, nikogo nie wpuszczać. Lecz oto co jeszcze mu dodali: że jeżeli i pokoi jego wysokości, wielkiego księcia Piotra Fiedorycza, kamerdyner do fortecy przyjedzie, to

i tego kamerdynera nie puszczając, a oznajmić mu, że bez rozkazu tajnej kancelarji—nie kazano. Wiele satyr układał na temat tego dodatku do rozkazu faworyt zmarłej carycy... I tych instrukcji nie odwołali..

— Umrę — nie rozumiem! — rzekł Mirowicz: z jakiego powodu był tu wspomniany wielki książę?

— Wspomniany był on tu nie na próżno... W tym czasie następca tronu specjalnie nieprzyjaźnie odnosił się do żony. A, rozszedłszy się z nią z zaślepienia ku królowi pruskiemu, omal w końcu nie rozszedł się i z carycą-ciotką. Caryca do głębi duszy była oburzona takim szykanowaniem i sprzeciwami swego siostrzeńca, pogodzić go z żoną jej się nie udało, nawet dla pozorów. A w uwielbieniu Prus był on do tego stopnia zuchwałym, że nie wierzył zwycięstwom ruskich i nawet komunikował Fryderykowi tajne plany naszej armji. Wtedy to po namyśle kanclerz Bestużew dał Elżbiecie radę: wysłać siostrzeńca z powrotem zagranicę, a na jego miejsce, na następcę tronu ruskiego, powołać z więzienia Iwana Antonycza...

— Nie może być! — wyrzekł, omal nie zerwawszy się z miejsca, Mirowicz: znów na tron tego więźnia? maskę żelazną?...

— Wierz mi, wiem o tem, jak ciebie widzę.. Przed pięciu laty, — tak skończę smutną opowieść,—caryca Elżbieta Piotrówna wyjawiała życzenie widzenia w tajemnicy księcia Joana.

— I widziała?

— Jedni mówią, że widzenie to było w domu Szuwałowa, na Newskim, przy starym pałacu; inni zaś, że caryca, przy pomocy kanclerza Woronowa, widziała się z księciem w Smolnym, w domu wdowy po byłym sekretarzu tajnej ekspedycji...

Księcia, pod pretekstem porady u doktora, przywieźli kurjerskimi w nocy; rano o świcie był znów w Szlisselburgu. Ubrano go na drogę przyzwocie. Petersburskie przedmieście wziął za osadę i nie domyślił się, z kim, po szesnastu latach, danem mu było znów się spotkać, Elżbieta Piotrówna na to widzenia przybyła w męskim stroju. Łagodny i poważny wygląd nieszczęsnego młodzieńca głęboko ją wzruszył. Wzięła go za rękę, nieśmiało pod pozorem doktora, zadała mu dwa — trzy łaskawe zapytania. Lecz, kiedy o niczem nie wiedzący książę spojrzał jej w oczy i, w odpowiedzi dał się słyszeć jego żalosny, rozdzierający duszę głos, caryca drgnęła, załżała się łzami i, wyszeptawszy do otaczających: „gołąb, postrzelony gołąb! nie mogę go widzieć!” — odjechała i więcej go nie widziała i o niego nie zapytywała... A na zamysły Fryderyka uwolnienia księcia oznajmiła: „nic nie poradzi; król zacznie, każe Iwanuszcze głowę odrąbać“...

Łomonosow poruszył ogień na kominku. Pospało się kilka iskier, lecz drzewo, zapaliwszy się z początku, powoli zgasło. W pokoju ostatecznie ściemniło się. Słupy zorzy północnej silniej zapłonęły, wspaniale błyszcząc błękitnemi i różowemi smugami przez gałęzie bezlistnych drzew, zaglądających przez okno.

— Wysłanie za granicę Piotra Fieodorowicza — zakończył Łomonosow, rozumie się, zostało odwołane. Lecz wielki książę dowiedział się o sekretnej spotkaniu ciotki z Iwanem Antonyczem. Zaczął się bardzo obawiać tego tajemnego współzawodnika — — dziwne powiedzieć! — jednocześnie, z wrodzonej dobroci, współczuł mu z całego serca. — Jaki on jest, i gdzie i jak jest trzymany? — dopytywała się w pałacu Piotr Fiedorycz wszystkich spo-

tkanych wypudrowanych dworaków: — a co on mówił z carycą, w jakim miejscu odbyło się *rendez-vous* i co między nimi, podczas tej konwersacji, mówiono? — Ścisłych odpowiedzi na to od nikogo, rozumie się, nie uzyskał, a tylko więcej i więcej gniewał i bez tego niezadowoloną carycę..! Tak minął rok i dwa, i całe pięć... Od śmierci carycy, wszyscy znów zapomnieli o księciu... I żyje on, dwudziesty drugi rok żyje w katowni, pod kłuczem.. I nie widzi, nie słyszy nikogo, oprócz swej straży. I doprawdy czy wie on, czy żyją rodzice jego, co dzieje się na bożym świecie i gdzie, na którym końcu jego byłego carstwa znajduje się jego więzienie... Co mówić! carstwować on już nie może; gdzie o tem i myśleć!.. I choć by na wolność go, dać ujrzeć światło, złagodzić serce biedaka, umysł.. Ach, żeby się tobie udało... dostać się tam i dowiedzieć!.. tylko dowiedzieć... Lecz czyż się nie okaże boży, potężny cud, ażeby wybawić w niczem niewinnego tego męczennika?

Łomonosow umilkł. W ciemnym kącie, za szafą, dało się słyszeć przytłumione westchnienie. Ktoś niewidzialny tak cicho oddychał i jakby płakał. „Czyżby? — przesądnie, z poruszającemi się na głowie włosami, pomyślał Mirowicz: czyżby duch księcia przyleciał i słuchał nas?”. Łomonosow wstał. Za szafą była jego Lenoczka. Przyciągnął ją do siebie i obsypał pocałunkami.

— Lecz za co, za co? — powtarzała, drżąc i łamiąc ręce, wzruszona opowiadaniem ojca, dziewczynka: ach, źli ludzie!.. Jacy oni źli!.. Idź, papo, do cara, — proś za biedakiem...

— Słyszysz, Wasilij Jakowlewicz? — wyrzekł, przytulając córkę do piersi, Łomonosow: słyszysz?..

dzieci wzdychają!... A one przecież zobaczą królestwo niebieskie!...

— Pojadę do Szlisselburga, do komisarza Czurmantiejewa! — rzekł, ocierając płonąca twarz, Mirowicz: żeby się nie wiem co stało, a ja przedostanę się tam; a nuż cośkolwiek dowiem się i o biednym, przez wszystkich zapomnianym więźniu... Generałów oto, nawet feldmarszałków tam nie wpuszczają... no, zobaczymy — było nie było...

— Ech-ma, starzeję się, a to bym i ja z tobą pojechał, — rzekł Łomonosow: poczekaj, czy nie odnajdę jakiegokolwiek, odpowiedniej dla ciebie w tej miłosnej sprawie, protekcji...

Łomonosow nie mógł okazać pomocy Mirowiczowi. Wybawił ostatniego znajomy Grigorja Orłowa, księżę Czurmantiejew, do którego ten z kolegami wybierał się w pamiętną noc hulanki, kończyć grę w karty. Ten Czurmantiejew był ojcem komisarza szlisselburskiej fortecy. Mirowicz wy dostał od niego, przez Orłowa, list do jego syna, Jurja Andrejewicza, sprawił sobie za wygrane pieniądze pełne umundurowanie, według nowego pruskiego wzoru, wynajął czuchońską trójkę i pojechał do Szlisselburga. Przyjaciel Uszakow okazał mu w tym wypadku drugą usługę, wy dostał mu rekomendację do komendanta Berednikowa, z siostrzeńcem którego służyli razem w ostatnią wojnę pruską.

Sześćdziesiąt wiorst brzegiem Newy, a potem leśnymi, głuchymi okolicami, przemknęły nie spostrzeżenie... Niektóre wiadomości, podane przez kamer-lokaja Kasatkina, bardzo zmartwiły Mirowicza. Ten, między innemi, rzekł: „jak nie miała uciekać panna? Za nią tu tak gonili, że inna, nie tylko w Szluszyn, ale i na skraj świata by uciekła”...

— Boję się o ciebie, boję; — mówiła, odprowa-

dzając z Uszakowym Mirowicza, Filatówna, która się od niego o wszystkim dowiedziała.

— Lecz czego wy, śmieszne doprawdy, obawiacie się?

— A przecież widziałam ja, Wasilij, powiadam ci, jak knutował kat na Sytnym rynku, — za tego samego, za Iwanuszkę, pierwszą stats-damę, Natalję Łopuchinę, a z nią malowaną piękność Annę Bestużewą... Oj, strach śmiertelny i wspomnieć... Bił trójpalczatym na strzepy ciało, rozcinał do krwi plecy, ciągnął kleszczami, przy wszystkim narodzie, z ust języki... Gdzie jedziesz? opamiętaj się...

— Bóg z wami, co wy, nie bójcie się; nie te obecnie czasy, — rzekł do Filatówny Uszakow; powróci z niewątpliwem powodzeniem, wesele wyprawimy...

— Tobie wciąż wesela, kręcipieto, lizusiel — odgryzła się Bawykina.

Była sobota w końcu czwartego tygodnia wielkiego postu.

Mirowicz wszystko to dobrze pamiętał, gdyż wyjazd z Petersburga pozwolony był mu tylko do Wielkanocy, w pierwszym dniu której car zamierzał przenieść się do nowego, którego budowę ukończono, pałacu zimowego, i wszystkim przebywającym w stolicy oficerom ogłoszony był rozkaz: stawić się tego dnia do pałacu, na wacht-paradę.

Odprawiwszy czuchońca, Mirowicz przenocował w Szlisselburgu, w zajeździe, powłóczył się po mieście i po wybrzeżu jeziora Ładoga, a kiedy zaczęło się zmierzchać i w fortecznej cerkwi zadzwoniono na wieczorne nabożeństwo, przeszedł przez lód do fortecy. Tu przy bramie Mirowicz oznajmił, że przywiózł list do komendanta i komisarza Czurmantiejewa. Wpuszczono go do fortecy.

Spojrzał na cerkiew. „Spytam którego z modlących się, jak lepiej przedostać się do księcia? — pomyślał, wchodząc do przedsionka. W łagodnem mglistem powietrzu panował jeszcze mroźnik, lecz już dawała się uczuć bliskość niedalekiej wiosny i ciepła.

VII.

W Szlisselburgu.

Nabożeństwo wieczorne skończyło się. Po-bożni zaczęli wychodzić z cerkwi, — mieszczanie — do bramy, obywatele garnizonu po różnych kątach fortecy. Mirowicz zwrócił się do duchownego.

— List do Jurja Andrewicza? — uprzejmie spytał go tęgi, dziobaty i białolicy, z ciemno-blond brodą, ojciec Isaj: od ojca, mości panie, raczyliście przynieść?..

— Tak jest; komisja od jego ojca — oddać osobiście.

Duchowny pozuł ustami, pogładził puszystą brodę. Był bardzo dobry, lecz leniuch niebywały; całutki dzień leżał u siebie na otomance, nawet niekiedy, leżąc, i pokarm przyjmował od tak samo leniwej, dobrej i roztyłej córki. A kiedy mieszkał on na wsi przed przeniesieniem go do fortecy, to ani płotu, ani rowów nie było przy jego domu, szopa wiele lat stała bez dachu, i konik z krówką przebywały na uwieżi na otwartem powietrzu, lub wałęsały się po sąsiednich chatach. Jego samego też i nazywali tam „pop-celnik“.

— Widzi pan, jakby to panu, to jest, — w zamysleniu wyrzekł ojciec Isaj, patrząc z ukosa w głąb podwórza: książe nasz chory teraz, a i mieszka on nie tu, nie z nami, ze wszystkimi, a w oddziel-

nym domu, za tą — ot widzi pan — specjalną ścianą, za mostem... A toż, szczycik to... ciemnego dachu szczycik... widzi pan?

Ojciec Isaj przytrzymał sutannę na prawem ręku, kasnął i wskazał na wieżę ponad wysokim murem, zamykającym specjalnie og odzzone miejsce w lewym kącie podwórza fortecznego.

— Co robić? — wyrzekł Mirowicz.

— A panu bardzo, tego... potrzeba? — spytał, spoglądając łagodnymi, sennymi oczyma w twarz Mirowicza, duchowny.

— Jeszcze by... po tom i jechall.. zdalekal.. sprawa niecierpiąca zwłoki... i z siostrzeńcem komendanta w pochodzie byłem... nie można, ojczulku, jakkolwiek?

— Ot-ot... a przecież i nie uda się, nie uda, przypuszczam! — rzekł, znów poruszając ustami, ojciec Isaj: i bramę wkrótce zamkną... i wszystkol.. teraz, jeżeli pan chce, lżej się u nas stało... ot i ja teraz w fortocy, a nie w mieście mieszkam... tylko wciąż jeszcze, oj, jak surowol.. Pan z Pitra przybył?

— Z Pitra...

— I będzie pan niezadowolony! co-co? ile pan jechall.. Chyba ot co: skreći pan tutaj.. Oto tu, za komendanckimi, moje celki. Poczekaj pan; spróbuję, skomunikuję się karteczką z księciem. Mam z nim częste porozumienie. Jego guvernantka i moich wyrostków do hursy teraz przygotowują; zjedzą się—istna pensja... Trzeci miesiąc już tak tu mieszkamy; przedtem nie tak było. Odprawiłeś nabożeństwo, i za bramę do Szluszyna... a teraz swobodniej, przy carze to Piotrze Fiedorowiczu.. proszę bardzo.

Duchowny zaprowadził Mirowicza do siebie, usadził go, a sam wyszedł wyprawić obiecaną kartkę do Czurmantiejewa.

— Po list od księcia przyszli, — po pewnym czasie rzekł do Mirowicza.

Otworzył drzwi do bocznego, wewnętrznego pokoju. Mirowicz wszedł tam. Tam, twarzą do okna, zalany blaskami zachodzącej zorzy, stał poseł książęcy. Mirowicz drgnął, cofnął się: przed nim stała Poliksena.

Ojciec Isaj zobaczył, jak oficer i dziewczyna zmieszali się, jak na twarzach ich odbiło się zdumienie i radość, i jak pierwszy — gorąco, druga — z roztargnieniem podali sobie ręce i przez kilka chwil milczeli, patrząc jedno na drugie.

— Więc to tak! zakochane, znaczy się, pta-szki! tajemne spotkanie! — pomyślał duchowny, cofając się za próg i przysmykając za sobą drzwi: czego to nie bywa! i w naszej norze światło życia wszędzie! Rebeke odnalazłszy, Izaak zostanie mężem... Isaja, raduj się!..

— Jakie losy? ot nieoczekiwanie! — cała spłonawszy, i po chwili pobladłszy, wyrzekła Poliksena, w ogorzałym, poważnie i mężko wyglądającym wojaku poznając rysy niegdyś wstydliwego, nieśmiałego i do głupoty zakochanego w niej kadeta: z kąd Bóg przyprowadził?..

— Z armji, panią zobaczyć pragnęłam! — odpowiedział Mirowicz: wszystko rzuciłem, służbę...

— Poznał pan?..

— Panią?

Mirowicz nie zdejmował spokojnie uradowanych, sypiących iskry oczów z Polikseny. Ona, opuściwszy ręce i, z przyzwyczajenia, lekko pochyliwszy głowę, nawpół zwrócona, z uśmiechem, jakby się nad czemś namyślając, patrzyła na niego.

— Niema już pańskiej pastuszki — rzekła, żartobliwie marszcząc brwi: nie ta, nie ta.. nieprawdaż? Czas uniósł.. POCO pan przyjechał?

— Wszystko w pani to samo, dosyć nie zmieniła się pani! — odpowiedział Mirowicz: tylko ja nie wypełniłem przysięgi... Nie stałem się ani znakomitszym, ani bogatszym. Tylko za to pani, jak pani widzi, nie zapomniałem... ledwie wyrwałem się, przyjechałem. Dlaczego pani nie pisała? dlaczego naraz umilkła? Czyżby jeszcze więcej pomęczyć chciała?

Poliksena posadziła gościa obok siebie, jeszcze raz spojrzała na niego, łagodnie uśmiechnęła się. Zakomunikował jej o listach do Czurmantiejewa i do komendanta Berednikowa.

— Oto jak urządziłem,—zakończył.

— Lecz czy można, — rzekła: jakie dzieciństwo! z mego powodu jechać, rzucać sprawę. Czy warto był! A ile wypadków od naszej rozłąki, ile zmian!

— Pani tak znikła, ukryła się,—ciągnął dalej Mirowicz: że i ślad pani zaginał. Czy wierzy pani, już rozpacziałem, z trudem panią odzukałem.

— A co się tu robi, co tu! — rzekła Poliksena, wskazując przez okno na ponure, w dole pociemniałe, u góry gdzieniegdzie jeszcze oświetlone przez zorzę mury fortecy: — słyszał pan?.. I jak pana przepuścili, jak pan się odważył tu zjawić?

— Gdyby pani była na dnie morza, w mogile, rzuciłbym się za panią... Powiedz pani, ja cośkolwiek słyszałem... kto panią prześladował. Wymień nazwisko jego... Przed kim się pani kryła?

— Tu grób,—odpowiedziała Pczolkina: i wie pan, słyszał pan, kto tu zamknięty?

— Wiem.

— Na wieki, przecież, od dziecka, — ciągnęła dalej Poliksena: dzieckiem zamknięty w czterech ścianach,—bez powietrza, światła, bez żywego ludzkiego słowa, a on teraz już nie dziecko, człowiek!

— Tak, — wyrzekł Mirowicz: słyszałem, nie chciało się wierzyć; nie daj Boże nikomu innemu.

Nagła myśl błysnęła w głowie Polikseny. „Odważny, śmiały,—pomyślała: może spróbować?”.

— Pan chciał widzieć Jurja Andreicza?—spytała: po co?

— Nikogo! panią jedną chciałem widzieć, panią! — wyszeptał Mirowicz: księżę to tylko pretekst...

— I z siostrzeńcem komendanta był pan w pochodzie?

— Przy mnie był on ranny, pod Berlinem, w oddziale Chorwata, przy bombardowaniu Gallskiej bramy. Ja z kolegą Uszakowem byliśmy na jego pogrzebie.

— Niech pan daje, niech pan daje prędzej listy! — rzekła, spiesząc się, Poliksena: niech pan przyjdzie jutro. Dziś już późno. Księżę chory; lecz ostrożnie, niech pan pamięta, iść do nas trzeba.. Niech pan będzie ostrożniejszy... Są do tego specjalne powody.

— Jakież?

— Jurij Andreicz zachorował,— odpowiedziała Pczółkina, po namyśle: przed dwoma tygodniami, bardzo się przeraził, zaniepokoił, gdy zapaliło się w nocy w celi tej osoby. Rura, czy coś, w piecu pękła, zatliło się przepierzenie, a tam i drzwi.

— Cóż, uratowali więźnia?

— Uratowali, lecz księżę zwichnął sobie nogę, gdy wybiegł na okryte lodem schody w nocy, ze snu. Wszyscy, w tym popłochu, potracili głowy. Kazamatę reperują teraz, przerabiają

— A gdzież podzieli, na czas przebudowy, księcia?

Pczółkina znów zamilkła, nasłuchiwała.

— Tymczasem póki zaczęli przerabiać piec

i reperować drzwi, książe, widzi pan, — wyjawie panu w sekrecie: przeniósł księcia do swego mieszkania.

— Jakto? on i teraz u Czermantiejewa?

— No, tak... u niego.. Nikomu książe nie ufa.. Tylko, na miłość Boską, milcz pan o tem. Nikomu pan nie powie? Daje pan słowo?

— I pani widziała księcia? widziała? — spytał, zatchnąwszy się, Mirowicz.

„Co mu odpowiedzieć? co powiedzieć?” — pomyślała Pczółkina.

— Tak... to jest, nie, — odpowiedziała: rozumię się, nie widziałam... widzieć nie wolno... Lecz jeżeli by się to zdarzyło. panu co do tego?

— Jakto? księcia Joana? przy takich surowościach?

— Tak, byłoby cudem, nieprawdaż? — wyrzekła Poliksena: komendant, wszystkim wiadomo, surowy — przesurowy, jedna forma, maszyna, i nie dopuścił by księcia Iwana przenieść do księcia. Tylko on sam, rozumie pan, winien jest co do tego pieca; no, i obawia się, że omal co nie udusili księcia... Gdyby nie poczuł wartownik dymu z sieni, wszystko by przepadło... Teraz zaś milczy główny naczelnik milczą i pozostali.

— Cóż tutaj winien jest Berednikow?

— Książe i pomocnik jego niejednokrotnie raportowali komendantowi, że potrzebne są reperacje w tem pomieszczeniu, przepowiadali nieszczęście.. Według statutu, książe powinien był również donieść do Pitra, że komendant go nie słucha; i jego, znaczy się, jest część odpowiedzialności w tem.

— Gdzież przebywa książe u księcia?..

— Naszego domu ztąd nie widać, — odpowiedziała Poliksena: jest piętrowy, w tem oto

podwórzu, za murem. Na górze my się mieścimy, na dole — wartownicy. Mamy siedem pokoi... Książę... ach, nie... daje pan słowo, że będzie milczeć?

— Przysięgam...

— Książę zamknięty w odległym, pod kluczem; tam i okno z kratą. Jedno wejście od aresztanta do nas, drugie nazewnątrz, do kuchni, gdzie wartownik. I z tej strony pokój mu sprzątają; od nas noszą żywność. I klucze od drzwi u księcia.

— Któż nosi jedzenie księciu?

— Sam książę, — odpowiedziała, po namyśle, Poliksena.

— Lecz on chory, pani mówiła; jakżeż może usługiwać?..

Oczy Pczółkinój błysnęły przykrością.

— Sam, mówię resztką sił podaje, któż więcej? — odpowiedziała z niezadowoleniem: choć trudno, jednakże, innych nie puszcza.

— A pomocnicy księcia, jak słychać, jest ich dwóch...

— Tak... lecz książę nie znosi ich obecności. Bardzo już oni mu dokuczali, przy poprzednich starszych komisarzach. Wie pan, jakie surowości są zalecone? Gdyby kto odważył się uwolnić aresztanta, żywego w ręce nie kazano go oddawać... A za nieporządki i nieposłuszeństwo komisarzowi, pozwolono wsadzać go na łańcuch, dopóki nie upokorzy się, a to bić kijem i pletnią.

— Strasznel — rzekł Mirowicz.

— Odejdź pan, Wasilij Jakowlicz, do jutra. Lecz, na wszystkie świętości, o posłyszanem ode mnie ani słowa. Jeszcze nagadamy się... I być może, pan... lub kto inny... czy mało... zresztą, to później... A oto jeszcze, — nie zapomni pan poprosić księcia i Berednikowa o pozwolenie nam widywania się w przyszłości... Do widzenia.

Mirowicz ucałował wyciągniętą do niego rękę.
— No, całują się, — pomyślał, zbliżywszy się w tym czasie do drzwi, ojciec Isaj: sprawa zaczyna się układać.. W Fominą niedzielę, przypuśćmy, i wesele wyprawimy.. Oto one, te nowe czasy!.. Dał małżonkę Izaakowi, wynalazł Rebeke..

Rano Mirowicz zjawił się u księcia Czurmantiejewa. Nie pokazał po sobie, że wie, jaka osoba teraz gościła u niego. Przygotowany przez Pczółkinę, chory, — choć i był w łóżku, — przyjął Mirowicza wyjątkowo łaskawie. Powiedział, że stłukł nogę na górze lodowej, urządzonej w karnawale dla jego dziewczynek. Dziękował Mirowiczowi za wiadomości od ojca i długo go wypytywał o siostrzeńca komendanta.

— Rad będzie staruszek posłyszeć od pana... A tymczasem oto nasza wspólna opiekunka i pocieszycielka, — rzekł Czurmantiejew, zwracając się do Pczółkinoj: i sieroty, moje dziewczki, dogląda i mnie chorego. Tylko niedługo teraz, widocznie, być jej z nami! Uleci szara kaczuchna za błękitnym kaczorem, — dodał książę, mrugając do gościa.

Poliksena go nie słuchała. Myśli jej były daleko.

— I tu, czarodziejka, wszystkich zdobyła i oczarowała! — niespokojnie pomyślał Mirowicz. Wstał i zwrócił się do komisarza z prośbą o pozwolenie składania dalszych wizyt. Czurmantiejew potarł górną część nosa.

— A komendant? — rzekł po namyśle: chyba ot co, mości panie, — czy nie gra pan w szachy? Nasz staruszek wielki amator.

— Grołem, lecz już dawno, — odrzekł Mirowicz: chyba dla rozrywki.

— I znakomicie, porozumiemy się, — zdecydował komisarz: niech pan zajdzie do naszego szefa, okaże mu respekt. Nie zetną, chyba, głowy za to, że narzeczony... przepraszam, że tak mówię... no, zakochany Adonis zacznie chadzać do swojej Filemeli, choćby i do takiej, wybacź Boże, grobowej nory, jak nasza... Nie to czasy... U mnie nie pozwoli widywać się, u niego samego prościej spotykać się...

W charakterze starającego się o rękę Polikseny, choć i nie zaręczonego z nią, Mirowiczowi dozwolone było odwiedzanie fortecy. Komendant przyjął go zimniej i bardziej sucho, niż Czurmantiejew. Lecz kiedy następnego wieczoru Mirowicz przegrał do niego kilka nowiutkich rubli, z portretem Piotra Trzeciego, sprawa i tu się ułożyła.

— Jurij Andreicz prosił za panem, — rzekł z godnością Berednikow: miłosne, mości panie, powody są wybaczone. A prosi, to niech za pana i odpowiada. Nie wykrada pan, zresztą, narzeczonej, sama idzie za pana... Przychodząc do księcia, nie zapominaj pan i o nas..

— Acóż, panienko, teraz, napewno, i weselszą się stałaś, — spytał Czurmantiejew Poliksenę: ech — ech, spóźniłem się... Daj wam Boże, daj.. Ja zaś, najbardziej, polegam na skromności pani.. z młodym człowiekiem o uczuciach pani może, a o reszcie ani du-du. Rozumie pani?...

Pczołkina przysięgła na wszystkich świętych nie zdradzać tajemnicy. Tymczasem, była bardzo nie swoja spędziła bez snu kilka nocy, płakała i męczyła się, nie wiedząc, co robić.

Garnizon do Mirowicza wkrótce przyzwyczaił się. Wartownicy przy bramie fortecy i przy wejściu

na specjalne podwórze, gdzie mieszkał główny komisarz, przepuszczali go bez przeszkód. Wasilij Jakowlewicz zachodził do komendanta, rozmawiał z nim, grał w szachy, potem do Czurmantiejewa, i pozostawał u ostatniego nierzadko do późnego wieczora. W rozmowach z Poliksena i księciem, z mimowolnem drzeniem przyglądał się ścianom, przysłuchiwał się spokojniej krzątaulinie domowej, czy nie błysnie choć jakiś powiew tego, kto, jak wiedział, był gdzieś w jednym z tych samych pokoi, pod jednym z nim dachem, oddychał jednym z nim powietrzem.

Nic się nie dawało zauważyć. Ściany były nie-me, albo rozbrzmiewały śmiechem i bieganiem dziewczynek Czurmantiejewa, których pokoje były, jak domyślał się Mirowicz, przyległe do czasowego więzienia więźnia. Nawet dojrzał w głębi pokoiów dziecinnych przepierzenie z nagłucho zamkniętymi drzwiami. Za niemi, widocznie, było przejście do aresztanta.

Poliksena w piękną pogodę, brała swe wychowanki i, w towarzystwie Mirowicza, wychodziła z niemi do ogrodu cerkiewnego, albo za mury fortecy. Dziewczynki biegały, bawiły się. Mirowicz prowadził nieskończone rozmowy o przeszłości, o korpusie, o wyprawie wojennej, budował plany na przyszłość, rozpatrywał w umyśle, jak i kiedy przystąpić do końca, prosić o zaręczyny i o wyznaczenie terminu ślubu. Poliksena słuchała go z rozdrażnieniem, z tajemnym bólem w sercu. Było jej żal jego, i przykro, i smutno myśleć, że nie tem były zajęte jej myśli. „A ten biedak, ten skatowany, siedzi i nikt o nim nie pomyśli!” — mówiła sobie, z roztargnieniem słuchając mowy Mirowicza.

Było zdecydowane: ledwie Czurmantiejew

przeniesie do dawnego pomieszczenia powierzonego mu więźnia i poprawi się ze swoim zdrowiem, Poliksena wyjedzie do Petersburga, zatrzyma się u Pticynych i stamtąd na swoje miejsce, do dzieci Czurmantiejewa, przysła inną nianię.

— A wtedy i wesele, nieprawdaż? — zapytywał, wpatrując się w nią, Mirowicz.

— Nie ucieknie nam, — odpowiadała: długo czekaliśmy, poczekamy jeszcze... Nie w tem rzecz. Ach, zrozum pan, nie w tem..

— A w czemżeż? — dopytywał się Mirowicz.

— Wypróbować chcę pana, co pan za człowiek...

— Niech pani próbuje, nakłada pokusy, i najcięższe, prędzej.

— Nie, o nie! innym razem... czas upływa, bądź pan gotów...

— Kiedyż?

— Zobaczysz pan; bądź pan tylko gotów...

„Co ona zamysła?” — gubił się w domysłach Mirowicz.

Czurmantiejew zwrócił się do Pczołkinej z prośbą.

— Pani odchodzi od nas, — rzekł jej sam na sam: co robić. Prawo losu! niech Bóg pani pomaga. Lecz, dopóki pani tu, chciałbym, ażeby moje dziewczeczki przy pani odbyły spowiedź, ażeby ich dokazywanie w ostateczności nie dokuczało księciu, zacznijcie, Polikseno Iwanowno, choć teraz...

Poliksena zaczęła prowadzić swe wychowanki rano i wieczorem do cerkwi.

Mirowicz, podczas jej nieobecności, nie oddalał się od parawanu, za którym leżał w łóżku chory Czurmantiejew. Opowiadał księciu o tem co widział i słyszał w obcych krajach, opatrywał

mu chorą nogę, podawał lekarstwo, a kiedy Czurmantiejew w męczącej go febrze cierpiał na bezsenność, czytał mu ulubioną książkę żony księcia, kupioną przez nią hamburskie tłumaczenie na język niemiecki „Robinsona Kruzoe”.

Raz, — było to w drugim tygodniu pobytu Mirowicza w Szlisselburgu, — przyszedł on, na prośbę Czurmantiejewa, przed wieczorem z miasta do fortecy. Pczółkina napoiła chorego i gościa grzanką, wzięła z pod poduszki księcia pęk kluczy, gdzieś zaniósła zakryta, z zakąskami, tacę, szczerknęła w dalszym pokoju kluczem, poczekała, znów powróciła i, włożywszy klucze z powrotem pod poduszkę, księcia, poszła z dziewczynkami do cerkwi. Tam po nabożeństwie wieczornem, one i ich staruszka niania winny były tego wieczoru spowiadać się. Czurmantiejew pozostał z gościem, do którego przez ten czas mimowoli przywiązał się.

Mirowicz otworzył „Robinsona”, przeczytał z dziesiątek—drugi stronic i kiedy doszedł do tego miejsca, gdzie Robinson przed ludożercami ratuje ojca Piętaszka, — z poza parawanu chorego rozległo się ciche, a potem coraz bardziej i bardziej wyraźne chrapanie. Męczony długą bezsennością, Czurmantiejew tym razem mocno i słodko zasnął. „No, niech sobie śpi!” — zdecydował, zniżając głos, Mirowicz. Zamknął książkę, świecę przeniósł na drugą stronę parawanu, sam wygodniej ułokował się na fotelu, zamyślił się i również zaczął drzemać. „Kryzys choroby”, — myślał: „wkrótce wstanie... Leczyć jaką próbę na mnie chce nałożyć Poliksena? Jaki jest kierunek jej myśli? Siebie nie pożałuję, a już wszystko, co powie, zrobię”...

Czy długo, czy krótko siedział tak, rozważał i drzemał Mirowicz, tego nie pamiętał. Lecz naraź ocknął się i zaczął nasłuchiwać.

Gdzieś w dalszych pokojach, wyraźnie dał mu się słyszeć skrzyp przepierzenia lub drzwi i lekki szmer kroków. Zupełnie jakby ktoś poruszył meble, poszedł i zatrzymał się. Z początku pomyślał, że mu się tak wydało, a potem, że dźwięki te szły zzewnątrz, od ganku, — z dolnego piętra domu... Szelest kroków ucichł, lecz znów powtórzył się. — „Niania, widocznie, — pomyślał Mirowicz: — przeszła obok mnie, posłała dzieciom łóżka i teraz idzie do siebie... Lecz nie, i ona udała się na nabożeństwo wieczorne“...

Drzwi najbliższego pokoju powoli, bezdźwięcznie otworzyły się do połowy. Na ich progu zaznaczyła się postać człowieka. Mirowicz przymknął oczy dłonią, spojrzał od parawanu na tą postać i osłupiał. Włosy mimowoli poruszyły mu się na głowie.

W drzwiach, z świecą w wychudłej bladej ręce, stał szczupły, sześć stóp wzrostu, z długim prostym nosem i wysuniętą naprzód wielką dolną szczęką, młody człowiek. Miał on wielkie jasnobłękitne oczy, kasztanową, ledwie sypiącą się klinem bródkę i długie jak u mnicha, na ramiona spadające jasne puszyste włosy. Miał na sobie — starą, znoszoną, rozpiętą kurtkę marynarską, grubą białą płócienną koszulę, niebieskie, płócienne, w paski szarawary i na bosą nogę trzewiki. Zdumiewająco biała i delikatna cera jego twarzy wskazywała, że słońce nigdy nie pieściło jej swymi promieniami. Wygląd jego był, jak u niektórych ascetów postników, poważnie dostojny i jednocześnie łagodny. Błądzący, nieśmiały i badawczy, jak u dzikiego, wzrok jego był z naprężeniem

utkwiony naprzód. Nawpół otwarte, dziecinnie — zdumiewające się, blade usta coś szeptały. Spostrzegłszy nieznanego oficera, zatrzymał się na kilka chwil, cofnął się do sąsiedniego pokoju i w dalszym ciągu stamtąd uporczywie, nieśmiało patrzył.

„Czyżby? — jak błyskawica przemknęło w głowie Mirowicza: czyżby to *on*, carski więzień, — *on* — dwadzieścia lat męczący się w więzieniu, pod kluczem! I jak *on* wyszedł? niepojęte! otworzył, wyłamał zasuwkę?... Przelazł przez przepierzenie? lub Poliksena, w pośpiechu, zapomniała zamknąć drzwi?”

— Podejdźcie! — rozległ się cichy, dziwnie brzmiący, rozdzierający duszę, szept: o, błagam! panie oficerze, tu...

Mirowicz pomyślał: „Poliksena!.. ona, biedna, będzie musiała odpowiadać za wszystko!” — spojrzał na śpiącego Czurmantiejewa, szybko wstał i, nie wiedząc co robi ze strachu i zmieszania, na palcach przeszedł przez otwarte drzwi.

— Jam duch! bezcielesny! — szeptał, oglądając się. więzień: — święty Grigorij, — nie bójcie się...

Rzekł i zamilkł, wpatrując się w Mirowicza.

— Jam dusza księcia Joana, — ciągnął dalej: mnie w zamknięciu... o! ratujcie! gdzie ta łaskawa?...

— Kto, wasza... carska mości? — nie spuszcza-
jąc z niego oczu, wyrzekł Mirowicz.

— Ta.. kobieta... szczuplutka, — nie wiem, jak nazywać... święta Eufrazja...

„Bredzi... czy zwarzowali!” — przemknęło w myślach Mirowicza: „i jak się jąka, — ledwie go rozróżnisz, — rodzinna, widać, wada w jego rodzinie”...

— Jaka Eufrazja? — spytał, nie ruszając się z miejsca, Mirowicz.

— A dziewczyna ta... złote włosy, pachną kadzidłem, czy ta... niania przy dzieciach tego... zawezwij ją, ojczulku — oficerze...

Mirowicz w milczeniu patrzył na więźnia.

— Jakiej pan jest rangi, przepraszam, nie wiem, — ciągnął żałośnie spiesząc się i jękając, więzień: nie śpiam, wciąż takie sny!.. wszystko jej, wszystko, kiedy wyrwę się stąd...

„Co słyszę, zakochał się w Poliksenie!“ — zamierzając z nowego przerażenia, pomyślał Mirowicz: „tak więc co... przedostawała się do niego i ukrywała to przedemną“...

— Niema jej... co pan sobie życzy?

— Nową książkę obiecała, książeczkę.. arkusiki..

— Jaką?...

Książę zwlekał z odpowiedzią. Niedowierzanie, bojaźń odbiły się na jego twarzy.

— Nie bójcie się panie, — ciągnął Mirowicz, jakie książki panu przynosiła? Być może ja dostanę... powtórzę jej..

— Kronikę krótką... genealogję carów... i znów też...

Aresztant zatrzymał się znów, z bojaźnią patrząc na nieznanego.

„Czyżby książki Łomonosowa? — pomyślał Mirowicz: oto los — czy spodziewał się tego Michajło Wasiljicz?“

— O carach tam, — ciągnął dalej więzień: o Piotrze i jego bracie, moim pradziadzie, carze Iwanie...

Niepokój coraz większy i większy ogarniał Mirowicza.

— Ja panu wszystkie, jakie pan sobie życzy, — rzekł.

— W Margaricie Złoteustego, powiedziano, jak zgubili Chrzciciela Joana... Jam przecież, mości panie, również Joan i mnie Herodjada z Fryderykiem ze świata prześladowa...

— Jaka Herodjada?

— Czytaliście o najgorszej? czytaliście? — spytał, z siłą schwytawszy za rękę Mirowicza, więzień: o! jeszcze Herodjada szaleje i tańczy, żąda głów...

Aresztant umilkł. Oczy jego błyszczały szaleństwem, przerażeniem i rozpaczą. Usta kurczowo drgały.

— Powiedzcie, — naraz wyrzekł, uśmiechając się: czy prawda, że ryżej niema już na świecie?

— Kogo?

— A Piotrówny, mości panie... carycy Liza-wiety! — ciągnął: nie jeden albowiem zwier podobny jest do niewiasty złej... Węże i żmije na pustyni przestraszyły się; Herodjada zaś na obiedzie go ściera...

Dalej trudno było zrozumieć aresztanta. Oczy jego były szeroko rozwarte, usta, pokryte pianą, szeptały słowa bez związku.

— Caryca umarła, — odpowiedział Mirowicz: i przytem, mości panie, była to wielkiego serca monarchini.

— Więc umarła? Herodjady niema więcej na świecie? — omal nie upuściwszy świecy, wykrzyknął aresztant.

Piers jego ciężko, z przerwami dyszała. Nie spuszczał oczu z Mirowicza.

— Któż obecnie w pałacu moim? — spytał Iwanuszka.

— Nowy car.

— Kto?

— Piotr Fiedorycz.

— Tak... Swobodniej jakby się stało. Czy on dobry? Będzie dodatek żywności? lub pozostaną dwie półtyny (pół ruble) na obiad i na wszystko?

— Niema wątpliwości, o panu przypomniał sobie — rzekł Mirowicz.

— Dręczyciele, podli, — ciągnął więzień: niema serca u niewiast.. Nikogo, bezwstydną, nie szczędzi, ani lewitów się nie wstydzi... ani duchownych czci...

— Ujawnijcie, — dodał, po chwili milczenia i z trudem dobierając słowa: jaki on jest z siebie, ten nowy car?

Mirowicz wyjął z kieszeni i podał księciu nowy rubel, z portretem Piotra Fiedorycza. Ten chciwie schwytał go, podniósł do świecy i długo uważnie patrzył na niego.

— Moce, moce Dawida! — szeptał Iwanuszka, płacząc się w słowach i zadyszawszy się: słyszy-cie albowiem ludzie, widzi pan... niewinnie pogrzebany...

Mirowicz znów nie rozróżnił niektórych słów księcia.

— Wasza wielmożności, pan nie tutejszy pomóźciel — naraz zwrócił się do niego więzień.

— W czem, carze?

— Uciec ztąd można... przez galerję, przez okno, — zaszeptał aresztant: pilkę mi, pilkę; łódź na jeziorze.. na brzegu konie... Lasem, górą... góry za jeziorem widać...

— Miłościwy panie! żal mi was, och jak żal! — dławiony przez łań, wyrzekł Mirowicz: lecz przysięgałem carowi Piotrowi Fedorowiczowi... zdrajcą być nie chcę...

— Pan czyta, napewno umie i pisać, — ciągnął dalej Mirowicz: niech pan napisze do swego wuja-imperatora. Głowę zetną, a ja mu już pański

list dostarczę. I jeżeli kiedykolwiek,—wyrwało się z głębi serca Mirowiczowi: jeżeli pan i potem będzie również nieszczęśliwy i uciśniony, dajcie mi znać... przybędę wtedy do pana., oddam za niego życie..

Księżę Joan, ze zdumieniem i dziecinną radością, patrząc na Mirowicza, nieśmiało wyciągnął do niego rękę, dotknął jego ramienia.

— Dziękuję. — wyszeptał; oni podli, a za pana modlić się będą...

— Atramentu i pióra nie dostaniecie, panie—ciągnął Mirowicz, wydając notes: oto kawałek papieru i ołówek... Wyrzucicie, panie, kartkę przez okno, przez lufcik... Wszystko szczerze wyłóżcie carowi... On dobry; osobiście nie da znaku, przypomni przez innych... Potraficie, panie pisać? dwa słowa...

Mirowicz nie skończył. Po za nim dał się słyszeć zdławiony okrzyk, spieszne kroki. Obejrzał się: była to Poliksena.

— Szaleńcy! coście narobili? prędzej, prędzej! — wyrzekła, porywając księcia za rękę i wciągając go do jego pokoju: spieszcie się; dzieci rozbierają się, wejdą tu z nianią i zginęliśmy.

Po chwili drzwi Joana Antonowicza były znów zamknięte na zasuwkę. Pczołkina starannie, obok śpiącego Czurmantiejewa, wyprowadziła Mirowicza na ganek, powróciła do parawanu, znów przekonała się, że chory jeszcze nie obudził się, wyjęła mu z pod poduszki klucze, zamknęła drzwi do księcia na klucz, położyła dzieci spać, zgasila świecę i, gorzko, nerwowo łkając, upadła twarzą na poduszkę.

Następnego rana Mirowicz przybył do Czurmantiejewa nachmurzony, dręczony przez zazdrość, wątpliwości, domysły. „Więc w czem cała sprawa

wa" — rozmyślał; jaki powód zmusił ją do zatajenia przedemną prawdy? Co ona zamyśla? Ta sama szatańska duma, szal. Lub los nieszczęsnego tak ją wzruszył, wstrząsnął, że mimowoli stała się dla niego nieobojętną? Nic dziwnego w tem niema, — ile było przykładów, — żony, córki dozorców więziennych zakochiwały się w więźniach... oddawały się im, uciekały, lub ginęły z nimi"...

— Więc pani widziała się z więźniem? — ponuro spytał Mirowicz Poliksene.

— Widziałam... No, i cóż z tego? Trzeba było pomóc księciu. Nikomu nie jestem obowiązana zdawać sprawy..

— Dlaczego jednak ukrywała pani to przede mną? Czyż pani mnie nie ufała.

— Ach, dosyć... jakie dzieciństwo... Sprawa jasna... Czyż pan nie domyślił się? Nie moja przecież tajemnica... A dostała się ona panu, pomimo mnie, niech pan ją strzeże święcie... Żartować z ogniem niebezpiecznie. Wie pan, czem grozi tutejszy statut? Pan przytem jest wojskowym; odpowiedzialność pana byłaby surowszą.

— Wiem, wiem, — a pani mimo to nie ufała mi! To przykre... Czem zasłużyłem sobie?.. Czyż nie ofiarowałem się spełnić wszelką próbę pani, nakaz?

Poliksena przemogła się. Jak łagodna kotka przytuliła się do Mirowicza, wzięła go za rękę, spojrzała mu w oczy z pełym ufności dziecinny uśmiechem.

— O! wiele jeszcze grud przed nami! — rzekła: przyjacielu mój... pan mnie nie znał. Życie całe przed nami: czy mało... wciąż jeszcze, wszystkiego można oczekiwać... A on to, on! w tem samym zamknięciu, w tej samej mogile przecież pozosta-

nie... i nikt nie przyjdzie mu z pomocą, nie ulży jego doli.

Gorące łzy płynęły i nie pozwoliły dokończyć Poliksenie... Płakała, nie odrywając głowy od ramienia Mirowicza i jakby nie czując, że ten obsypywał ją pełną zagadek, dumną i wrażliwą na nieszczęścia bliźniego, głowę gorącymi, oddawaną powstrzymywanymi pocałunkami.

Pod koniec piątego tygodnia postu, kazamata Joana Antonowicza była naprawiona. Noga Czurmantiejewa również na tyle podgoiła się, że mógł wstać bez kuli, i w nocy, pod swoim nadzorem, przeprowadził aresztanta Bezimiennego do jego dawnej celi, w środkowym piętrze wieży Świetlicznej.

Mirowicz naglił Poliksenę do wyjazdu, a sam z gniewnym niepokojem spoglądał na okna wieży i wciąż oczekiwał, czy nie wyrzuci księżę Joan przez lufcik, lub nie prześle mu jakimkolwiek sposobem listu do cara? Przypominało mu się jak niegdyś uratował tonącego, słabego pieska. „Uratuję i jego” — powtarzał sobie.

Minęło jeszcze kilka dni. Lufcik w kazamacie aresztanta był na głucho zamknięty i nikt listu od niego Mirowiczowi nie przynosił. Spróbował Wasilij Jakowlewicz spytać Polikseny, czy była przy przeprowadzeniu księcia od Czurmantiejewa i w jakim nastroju przy tem więzien, co mówił i na kogo i na co rachował? Poliksena skarżyła się, że dowiedziała się o tem dopiero następnego dnia.

Wyjazd Pczółkinej do Petersburga został umówiony na koniec wielkiego tygodnia. W końcu

piątego, zaprosiła Mirowicza na naradę do duchownego. Pozostali sam na sam.

— Zawiniłam wobec pana, Wasilij Jakowlewicz, — rzekła, w zmieszaniu opuszczając głowę: zmuszałam pana do tylu niepokojów, czekania; wyjawiała, wybaczy pan, — w tym czasie, — niemożliwe dziecińne warunki. Teraz widzę wszystko wyraźnie. Oceniałam pana i wierzę panu...

Mirowicza porwały te słowa, uniosły do siódmego nieba. Ogarniało go to zimno, to gorączka. Słuchał chciwie.

— Lecz zapomniałam, — ciągnęła, jeszcze niżej pochyliwszy głowę Poliksena: powiem panu szczerze zapomniałam zupełnie o najgłówniejszem, istotnie, o swoich własnych względem pana obowiązkach. Gdyby się zdarzyło... no, przypuśćmy, gdyby wszystko było skończone... niech pan powie, co przyniosę panu sama? Wszak jestem sierotą, — przypuszczam, wie pan, bez rodziny, bez pochodzenia... Jestem biedna... przytem moje przyzwyczajenia, mój niepowstrzymany, hardy charakter...

— Niech pani nie myśli o tem, powiedz słowo, bądź moją. i nic więcej nam nie potrzeba...

— Nie, nie! nie mów pan tak... Ja od pana wtedy żartem żądałam; teraz, nie żartując, żądam tego od siebie... Życie — przecież to droga cierniowa; dowiedziałam się... Niech pan słucha.

Odwróciła się, przysiadła się bliżej do Mirowicza.

— Wyrosłam przy dworze, — ciągnęła; ile lat służyłam zmarłej carycy. I ze mnie byli zadowoleni. Nie opuszczają mnie i teraz, przecież, bez niczego. Tak więc co wymyśliłam, — oto moje postanowienie.. Powierzam panu moją tajemnicę. Zatrzymała się, pomyślała.

— Niech pan jedzie do Petersburga natych-

miast, jutro nawet dziś i wrzuci do skrzynki, która znajduje się przy pałacu, ten oto mój list.

Poliksena wyjęła z pod stanika zapieczętowany i zawinięty w papier pakiet.

— Na imię cara? — zdziwił się, spojrzawszy na adres, Mirowicz.

— Tak... car sam otwiera tą skrzynkę, i przeczyta ten list. Spełni on moją prośbę, jestem pańska... bez tego, daruje pan, nie mogę... proszę o zapomoge...

Mirowicz zaczął odmawiać, dowodzić, że nie potrzeba. Poliksena uparła się przy swoim.

— A jeżeli odpowiedzi nie będzie? — spytał: ileż czasu znów czekać?

— Nie odpowiedzą na Wielkanoc, — no, w takim razie, daję słowo, wyjedziemy stąd w Forminę...

Mirowicz pojechał do Petersburga i wrzucił wręczony mu list do skrzynki przy pałacu.

VII

Dwaj imperatorzy.

Był siedemnasty marzec. W powietrzu wyraźnie dawało się uczuć ciepło. Z dachów zgodnie kapło. Śnieg tam, gdzie słońce przygrzało, tajał i znikał. Lód wokoło fortecy posiniał, rozmiękł i, chrzęszcząc pod nogami, rokował blizki przybór Newy. Z Szlisselburga rano szli robotnicy przez lód do fortecy, spodziewając się, że do wieczora, na brzeg, być może, będą musieli wracać łodziami. Mgła daleko stała się po jeziorze. Lecz zadął mocny, porywczy wichur i zaczął ją rozpędzać. Przed nocą wybuchła silna burza z zamiecią... Zrywała dachy, kręciła tumany padającego śnie-

gu, ryczała w strzelnicach i wieżach, stukała żelaznemi okiennicami i drzwiami.

Rano 18-go, komendant Berednikow i starszy i młodszy komisarz więzienni weszli na mur forteczny, spojrzeć na rzekę. Wiatr ucichł. Na rozlanej, wokoło wyspy, Newie płynęły wielkie białe kry lodu. Łódki przewoziły już z brzegu do forticy i z powrotem ludność roboczą i służbę. Na brzegu — jak wyraźnie zobaczył przez lunetę Berednikow — stały dwa, poszostne kryte powozy. Gromadka przewoźników z zafrasowaniem tłoczyła się wokoło nich.

— Kto by to był — spytał w zamyśleniu Biedernikow.

— Z Pitra, widać, — machają...

„Czwyżby rewizja? — przemknęło w starej głowie Berednikowa: może dowiedzieli się w stolicy o pożarze w tajnem więzieniu? No, lecz wszystko teraz pomyślnie się skończyło“...

— Wierebjowl trzeba posłać kuter, a przypuszczam i zbędną szalupę! — rzekł do kaprała, poprawiając na sobie pendant i niespokojnie z ukosa patrząc na zniszczone, starej formy mundury — tak swój jak i pozostałych panów oficerów.

„Widocznie, nowiutkiego jakiegoś znów przywieźli!“ — z westchnieniem rzekł do siebie, w tym czasie, ksiązę Czurmantiejew.

Oficerowie zeszli z murów. Szesnastowiosłowy kuter, a za nim ośmiowiosłowa szalupa, rozpychając kry bosakami, wyruszyły z forticy ku Szliselburgowi.

Na brzegu miejskim, zakrywając niedźwiedziami szubami gwiazdy, w trójrożnych kapeluszach i sobolowych czapkach, stali przy spienionych szóst-

kach nieoczekiwani — niespodziewani goście: ryży, piegowaty, lat około trzydziestu, ulubiony generał adjutant cara, baron Karol Karłowicz Ungern-Szternberg, petersburski generał policmajster, szczupły, z okrągłą twarzą, „dobroduszny starzec, Nikołaj Andrejewicz Korf, elegancki i nadęty ober-sztal-majster, Lew Aleksandrowicz Naryszkin, generał Melgunow i, lat trzydziestu czterech, średniego wzrostu i wyraźnie garbaty, tajny carski sekretarz, rzeczywisty radca stanu, Dmitrij Wasiljewicz Wołkow. Stangreci i przewoźnicy, patrząc na Naryszkina, będącego okazalszym i wyższego od innych wzrostu, brali go za cara. Ludność, napływając z miasta, tłoczyła się na boku i, bez czapek gapiała się na przybyłych. Ungern zabiegał o przeprawę

W kole wspaniale wystrojonych, dostojnych wielmożów, — w niewielkim, na wzór pruski, trójrożnym kapeluszu, z trzcina, z olbrzymim pałaszem, w wysokich botfortach i w prostej bez futra zarzutce, — stał średniego wzrostu, pochyły, niepozorny, z zapadłą piersią i z bardzo porytą przez ospę twarzą, sztabs— oficer gwardji. Okrągłe, szare oczki jego były zaspane, prosty, dobry nosek zaczerwienił się od wiatru, nieogolony tego rana, pełny, biały podbródek, jak i proste, wesołe usta coraz drgały przy wybuchach głośnego, prawie dziecięcego śmiechu. Żartował z wielmożami. A ci, niezważając na swoją dostojność i na jego skromny ubiór i wygląd, z szacunkiem i uwagą słuchali jego żartów, jak i wogóle jego ostrego, porywczego, — daleko rozlegającego się, z wyraźnym akcentem, i różniącego się od innych głosu.

— A czy wiesz, Dmitryj Wasiljicz, — ciągnął dalej oficer, zwracając się do tajnego sekretarza carskiego, Wołkova: mówią, że ty, ojczulku, z tym..

dass Ihr Beide mit diesen renommirten Chica-
neur,— tym nadętym zaczepnikiem Łomonosowym
projekcik sporządziliście, — wszystkich niemców
z Rosji wypędzić? Czy prawda to? ha-ha! Odpo-
wiadaj mi..

— To wasza carska mości, bezczelna plotka,
zaczerwieniwszy i nisko kłaniając się, odpowiedział
Wołkow: i ja tego negocjatora wolnomyslicieli nie
jestem pochlebca!

— To—to, Wasiljicz, strzeż się, — i śmiejąc
się, prędko mówiąc ciągnął dalej Piotr Fiedoro-
wicz: i ja ciebie, kanalie, za to w tych dniach
omal nie zakłułem. Und noch ein punkt... i oto
jeszcze jeden punkt, Wasiljicz... Saperment! Voyons...
Winienes ty za to, ojczulku, w areszcie posiedzieć...
Łaskawie proszę.. Nałgałeś ty w artykule gazo-
towym, o śmierci zmarłej carycy, moją żonę im-
peratrycą nazwałeś!.. Lecz ja pamiętam twe daw-
ne usługi.. Ten grand-d'espasque, panowie, mnie,
jako wielkiemu księciu, kopję z sekretnych proto-
ków tajnej konferencji wydawał.. Zmarłą cary-
cę zdradzał, mnie za to wiernie służył.. Ha-ha!..
Co, bracie, zdradziłem twe wybiegi? Zginie pta-
szek od swego języczka..

— Nigdy tego nie było, wasza carska mości!—
stawszy się z czerwonego bladym, i jeszcze niżej
się kłaniając, odpowiedział Wołkow.

— Lecz, może, ty Wasiljicz, — nie przestawał
drwić Piotr Fiedorowicz: być może, ty mojej żo-
nie teraz wszystko tak samo przynosisz, jak wy-
kradałeś dla mnie? Pak! s'ist mir Alles Eins!..
Mnie, panowie, wszystko jedno! Łaskawie pro-
szę.. Madam „La Ressource“, — i bez gorliwych
zdrajców, przypuszczam, wszystko wie... Bez serca
i chytre są kobiety—te same czarownice... A oto

i kuter.. Karł Karłycz, Lew Aleksandrycz, herr baron! siadajcie.. Nun vorwärts!. jedziemy..

Ungern, Korf i Mielgunow wsiedli z carem do kutra, Naryszkin i Wołkow pojechali, w ślad za nimi, szalupą.

— I takie wielkie drwiny ciągle! jak pan widził — ulokowawszy się w szalupie, półgłosem i cokolwiek z przyzwyczajenia jaskając się i mówiąc przez nos, wykrzyknął Wołkow: hańbi i poniewiera przy wszystkich: nie wiesz, gdzie patrzeć...

— A sama ta podróż? — nachyliwszy się do Wołkowa, gniewnie wyrzekł zwykle wesoły i beztroski Naryszkin: wybrał się, wyobraź jak na pożar. Nawet wuj księżę George o tem nie wiedział, i mnie zabrał wypadkowo, już wsiadając do powozów... Co mu! był by koszyczek z knastrem, i z kolekcją żołnierskich fajek. Wymyślił coś, krzyknie: vorwärts drauf los! i wszystko niedługo..

— Lecz cóż, co to on wymyślił teraz? — dopytywał się Wołkow: w czem te nowe konjunktury? I że o tem nie uprzedzili Aleksandra Iwanycza?

Wołkowowi wyraźnie przypomniało się, w tej chwili, gniewne prawe oko Aleksandra Iwanycza Szuwałowa, rozstrojone nierzadko wstrząsającymi scenami badań i tortur w niedawno zamkniętej tajnej kancelarii. — „Jak zamigąło by to oko, — myślał Wołkow: jak wykrzywiło by i całą prawą stronę twarzy, gdyby mu powiedzieli, że car, na złamanie karku, udał się na takie nieodpowiednie dla niego spotkanie“!

— Cała ta propozycja, jasno już widać, na jaki fason, — patrząc zukosa na wioślarzy, pogardliwie zauważył Naryszkin: car, widocznie, otrzymał stąd, z Szluszyna jakiś podrzucony list: no,

i pojechał... Iwanuszka, widzisz, bardzo mu się stał potrzebny...

— Lecz na co, na co?—w dalszym ciągu dopytywał się Wołkow.

— Sprawa jasna... fażeby dokuczyć żonie... Powtarza jedno: nie widziałem, jak jest księciu... trzeba, widzisz, mu pomódz...

— Cóż ty na to powiesz?..

— Eh, głupstwo, — odpowiedział Naryszkin: głuptasek przecież z księcia Iwana, zupełnie mu rozumek wysechł! Aleksander Iwanycz jeszcze niedawno o nim wspominał.. A już on szczegółowo wie chyba o tem? Wszystkie raporty szły przez jego ręce. Nie pamięta, powiada, jakże się zaczął i ma głowę w nieporządku... I z taką to głupotą kramarzyć się zamyślił.. Jeden zamęt i mienienie wody... Ot i wieczór u Woroncowych stracony, — a obecnie tam biribi w dwóch salonach i hrabia Saint-Germain o martwych obiecał opowiedzieć! — z przykrością dodał Naryszkin.

— Będziemy mieć i z żywymi niemało kramul—wyrzekł Wołkow: podrzucony list! czyja ręka tu kręci? i jak zapobiedz?

„Czyżby z Berlina, nowe znów posunięcia Fryderyka? —dodał do siebie Wołkow: lub tu, bliżej, szukać nowych pomysłów“?

Kuter i szalupa przybiły do wyspy. Na kuterze prowadzono inną rozmowę.

— Obawiam się, obawiam tego widzenia! nie wytrzymam! — z szczerym niepokojem i strachem szeptał, tymczasem, po rusku Piotr Fiedorowicz do Korfa: jak chcesz, bracie, a on przecież człowiek, przytem z jakiej rodziny.

— I ja w niemałym jestem ambarasie, — odpowiedział Korf: wiozłem kiedyś go dzieciątkiem

do Chołmogorów... Lecz, courage, Majestät, śmiało.. reprezentujcie dostojnie swe stanowisko...

— Lecz przecież, — schlicht und recht! — na prawdę, nie mnie by należało być na tronie, a jemu, — nieuspakajał się Piotr Fiedorowicz: jak ja na niego spojrzę i co mu powiem?

— W takim razie, Majestät, — z przesadą i powagą wtrącił Ungern: napróżno było, uf, w to miejsce jechać...

— Napróżno, napróżno!.. dwadzieścia lat biedny w zamknięciu siedzi... Jacy wy jesteście! Lecz wy jeszcze o mnie usłyszycie...

Zszedłszy na płaski brzeg przy fortecy, car i jego świta poszli na lewo do bramy. Tu spotkał ich komendant Berednikow, który ze strachu stał się słabszym od małego dziecięcia. Chociaż car pragnął zachować najściślejsze incognito, Berednikow od razu go poznał. Piotr Fiedorowicz wziął od Ungerna, z własnoręcznym swoim, z dn. 17 marca, podpisem, imienny na imię Berednikowa rozkaz i, przyło żywszyrękę do kapelusza, z szacunkiem wręczył go komendantowi.

W rozkazie było napisane: „Macie natychmiast dopuścić naszego generał-adjutanta Ungerna i pozostałych z nim, kiedy on rozkaże, wysokich okazicieli tego monarszego rozkazu, do obejrzenia państwowego szlisselburskiego więzienia, a jeżeli oni tego zechcą, to i do widzenia nawet bez świadków, ze znaną, tam zamkniętą personą. I jeżeli Ungern rozkaże Czurmantiejewowi, z aresztantem i jego komendą, z fortecy w inne jakie miejsce za naszym zezwoleniem wyjechać, to tego nie zabraniać“.

— Co to? — spytał, dotykając się trzcina dębowej bramy, car. Na lewej połowie bramy car-

skiej baszty widniał napis szwedzki: „1649 roku—18 maja“.

— Wybaczcie, wasza... ukażcie, jak jest, zapomniałem zeskrobać... zetrzeć!.. — przemówił, sapiąc, cały czerwony Berednikow.

— Lecz czyż takie napisy, panie komendancie, ściera się? — obejrzawszy go drwiąco, wyrzekł car: te litery, panowie, z szwedzkich czasów... Przecież uczyłem się, pisząc... po tych zaś płytach przed sześćdziesiu laty sam Piotr Wielki raczył się przechadzać..

— Płyty nie zmienione, tak jest! — wycierając twarz i żałośliwie spojrzawszy na świtę, rzekł Berednikow.

— Jeszcze by pan ganeczek niemi wyłożył! — uśmiechnął się car: gdzie aresztant Bezimienny? niech pan prowadzi nas do niego!

Na podwórzu przy cerkwi, dostojnym gościom Berednikow przedstawił księcia Czurmantiejewa.

— Kuleje pan? — ranny w czasie wojny z Prusami? — zachmurzywszy się, spytał car.

— Upadłem tu w tych dniach z drabiny, — odpowiedział starszy komisarz.

— Zięć Olderoga, — szepnął carowi Ungern: z Rygi in der Garde przeniesiony..

— A, bardzoś rad! prowadź że nas, mości panie, — zwrócił się car do Czurmantiejewa: tylko i nam, ojczulku, nogi lub ręki przy pewnej okazji nie połam...

Goście obeszlą cerkiew. Na lewo, w podwórzu, wzdłuż fortecznej fosy, ciągnęły się dwupiętrowe, z otwartą galerją, ciężkie murowane koszary straży wewnętrznej. Oddzielny dom komendanta stał na prawo, przy cerkwi. W głębi podwórza, za wewnętrznym kanałem, ukazał się gościom drugi, ponury, obrosły mchem mur, Przez kanał prowadził

most zwodzony. Naprzeciw mostu była brama i obok niej stał wartownik. Za murem, jak objaśnił komendant, znajdowało się drugie wewnętrzne podwórze i tam, naprawo, dom starszego komisarza Czurmantiejewa, na lewo — oddzielna, z dwoma zakratowanymi oknami, dwupiętrowa Świetliczna baszta, z kazałmatą wiadomej persony.

— Ist aber fest zugestoppt alle Webber! — rzekł, wchodząc na to podwórze. Piotr Fiedorowicz: światła niewiele, okno wąskie i przytem, saperment, zasłonięte od dołu drzewem...

Car odwołał Czurmantiejewa na bok.

— Jaki temperament ma książę? — spytał, wpatrując się w twarz komisarza.

— Jak mam powiedzieć? — zmieszał się Czurmantiejew: niedawno, carze, jestem przy nim i dlatego...

— Prawdę, prawdę mi mów, — przerwał Piotr Fiedorowicz: szczerze, otwarcie als ein Soldat...

— Czasami nieśmiały jest, uległy, — zaczął komisarz: greczny i nawet wstydlivy i charakteru spokojnego, bywa zaś, panie, i bardzo pojętny... Gdy spokojny — mówi o wszystkim zupełnie porządnie, z sensem; opowiada z ewangelji, Minei, prologu i księgi Margarity; tłumaczy, gdzie i co w nich napisane...

— Lecz jakżeż, Tausend Teuffel!... jakżeż twój komendant donosił, — gniewnie tupnął nogą car: wszystko by przypodobać się Szuwałowym... Slavisches Pack!... zapewniał, że książę jest słabego umysłu i wogóle wygląda jak zwierz leśny.

— Jakżeż nie być zwierzęciem, kiedy wyprowadzą z cierpliwości, — spojrzawszy z ukosa na pomocników rzekł Czurmantiejew: — rozdrażnia go jakim uciskiem — nazywa wszystkich heretykami, szeptunami, sam płacze, mówi niedosłyszalnie,

niezrozumiale, i tak z oburzenia jaka się, że i przywykli z trudem go rozumieją. A i nie wszystkim ujawnia on swe zdolności...

— Skryty? o! zgadłem!.. zgadłem!.. Den Nagel auf dem Kopf getroffen!.. gwoździem w centrum trafiałem. No, a kiedy spokojny?

— W spokoju wesoło i tak łagodnie się śmieje, — ciągnął dalej Czurmantiejew: i, — ośmieli się zameldować, — naprzykład nawet staje się zabawnym... wesoły, liczy na wszystkich i skacze, jak małe dziecko.. a to wykrzywia się...

— Kto go tu drażni? mów, — spojrzawszy wokoło, wyrzekł car.

Wydobył z kamizelki cukierek imbirowy i, w celu przerwania zgagi po upłynionej bezsennej nocy, włożył go do ust.

— Nie dopilnujesz wszystkich, najwięcej żołnierze z galerji, — rzekł Czurmantiejew: a zdarza się, że i ktoś wyższy... No, i nie wytrzyma... Dumny przytem i lubi, żeby we wszystkim był porządek... Nieuk niektóry wartownik, przy drzwiach jego, w nocy zacznie się kręcić, nogę o nogę drapać lub głośno zakaszle, karabinem niegrzecznie stuknie, — książę natychmiast rozgniewa się, skarży mi się rano: jak śmie, grubjanin, ten żołnierz, tak go obrażać? ja oto, mówi, jak go uspokoję... I w tym czasie stara się znów dowieść, jaka on jest dla wszystkich wysoka, dostojna persona...

— I cóż ty mu na to? — spytał Piotr Fiedorowicz.

— Mówię, dosyć, mości panie: wszystko to kłamstwo i wam takich głupstw o sobie nie myśleć i na przyszłość nie kłamać... Gdzie! cały aż zczernieje z gniewu, przysięga, drży... Zwierzęta z was, mówi, czarodzieje i heretycy! męczycie mnie

i Bóg was, za niewinnego męczennika, gromem razi i proch wasz powietrze rozwieje..

„Tak, tak!.. obmówił Szuwałow! — pomyślał car: w liście prawda powiedziana.

Podszedł do baszty. Z poza domu komisarza wybiegła z saneczkami dziewczynka, za nią druga. Zobaczywszy nieoczekiwanych gości, w przerażeniu zatrzymały się i pobiegly do ganku, przy którym ni żywa, ni martwa stała Poliksena.

— Ba-ba-bal to co? — zawołał car: młode miłe stworzenia i z niemi komendantka, fea, precudne stworzeniel.. w tak straszmem miejscu!

— Moje dzieci i ich bona, — objaśnił ksiązę Czurmantiejew.

Piotr Fiedorowicz spojrzał uważniej. Poznał Pczółkinę i uprzejmie, z roztargnieniem uklonił się jej.

„Boże, czyż to wszystko przeze mnie?“ — zamierała tymczasem, obawiając się podnieść oczy, Poliksena.

Po wydeptanych, z białego kamienia stopniach wewnętrznych schodów goście weszli na lewo, do ciasnej sieni państwowego więzienia. Czurmantiejew wyjął z kieszeni wielki czarny klucz, otworzył nim niziutkie, czarne, okute żelazem drzwi, wprowadził gości do drugiej sieni, otworzył z niej nowe drzwi, wprost, i cofnął się. Ungern pierwszy wszedł do kazamaty Iwana Antonowicza, za nim, zrzucawszy zwierzchnie okrycia, car, Wołkow, Korf i pozostali.

Kazamata księcia Joana była długości dziesięciu arszynów i szerokości pięciu. Ponura, odnowione jej ściany posiadały strop. Wąskie, z grubemi kratami okno, na prawo, niewysoko od podłogi, wychodziło na galerję. Na lewo od wejścia stał wielki, z zielonych kafli piec, z drzwiczkami

z sieni. W poprzek całego pokoju ciągnął się parawan z desek. Za parawanem umieszczone było łóżko. Obok okna — stół; przy stole ławka. Drzewo zabierało światło i bez tego słabo przedostające się do pokoju.

— I tyle?.. Oh, über das Elendl.. jakież strasznel grób, a nie mieszkaniel — rzekł półgłosem Piotr Fiedorowicz do Ungerna: duszno i ciemno... A Szuwałow tak rozpisywał się!.. Nichts als tug und Trug!.. Nienawidzę podłych intryg, oszukaństwa... Lecz gdzież jest on w tym kamiennym worku.

— Za parawanem, — odpowiedział Czurmantiejew; według statutu... myśli, że przyszli sprzątać jego pokój... zabroniono go widzieć nawet służbie...

— Zawołajcie go. — rzekł niegłośnie, nie ruszając się ze swego miejsca, car.

Czurmantiejew zawołał na aresztanta. Iwan Antonowicz wyszedł z po za parawanu. Widok świetnej świty carskiej oślepił go. Zachwiał się, omal nie upadł, i, oglądając się, jak złapane litości godne zwierzątko, śmiesznym i niezręcznym ruchem cofnął się znów za przegódkę.

— Nie obawiajcie się, panie, — z udaną śmiałością, drżącym głosem rzekł Piotr Fiedorowicz: jestem posłem do pana od samego cara. Podejdź pan bliżej; śmielej... ot tak... Nol.. powiedz pan, czy czegokolwiek panu w tem miejscu nie brakuje?.. Powiedz pan!.. Słowa pańskie przyjmę nie inaczej, jak z należną uwagą.

Iwanuszką rzucił badawcze spojrzenie na wąskiego w ramionach, z zapadłą piersią, niepozornego i dziobatego oficera, — w białym z turkusowemi obszlegami mundurze, z dobrym uśmiechem i ordynarnie — kaprałskimi ruchami, — stojącego

na przedzie przed innymi. Coś dziwnego, coś porywającego i unoszącego gdzieś w dal — odzwało się, przemówiło w duszy więźnia. „Gdzieś to widziałem, widziałem... lecz gdzie...”, — zalewając się krwią, szeptało mu biedne, nieśmiało bijące serce. Postąpił krok naprzód, wyciągnął ręce.

— O, o, — zaczął, nie spuszczając oczu z Piotra: — ja... ja...

Upadł przed nim na kolana.

— Wstańcie, książę, — z rycerską uprzejmością, dotknąwszy ramienia jego łosiową rękawiczką, rzekł Piotr Fiedorowicz: bądźcie mężni, courage, ja ulżę... poproszę cara... ulży i polepszy pańską dolę... Blizki jestem ku niemu; mnie on słucha. Proście, co panu potrzeba?

Twarcz więźnia zbladła straszliwie; usta wykrzywiły się z wysiłku wyrzeczenia słowa. Mowa odmawiała mu posłuszeństwa. Język drętwiał. Krew jak młotem stuknęła mu w głowie. Oglądając się na wszystkich, nie wstawał.

— Proście, proście o łaskę! — szeptano mu wokoło.

— Jam nie ten, za kogo... Dusznol — wyrzekł więzień: tu zupełnie duszno — powietrza niema... — ciągnął spiesźnie, podtrzymując ręką drżący, jak w febrze, podbródek: zobaczyć by niebo... zielen również... pochodzić by po ziemi, po kwiatach! ot wszystkiego za to, wszystko oddam... Ja ich proszę, a oni... podli...

Nie mógł mówić dalej, stał się nieśmiały i dziko patrzył na wszystkich.

— Ktoś pan? — spytał, podnosząc go, car.

Książę zwlekał z odpowiedzią.

— Ktoś pan i jak się tu dostałeś? — łagodnie powtórzył, uśmiechając się, Piotr Fiedorowicz.

Aresztant drgnął, wyprostował się, zaczął szeptać.

— Jam.. imperator, — zupełnie jakby wybuchając, wyrzekł głośno: z Bożej łaski.. no, Joan Trzeci, imperator... car!..

— Kto ci powiedział, żeś ty imperator? — nachmurzywszy się i brzęknawszy pałaszem, spytał Piotr Fiedorowicz.

— Jam nie ten, za kogo! — odpowiedział, bojaźliwie cofając się, więzień: tak, tak! Joan dawno umarł, wzięty do nieba. Widziałem go — on tu, we mnie...

— Kto cię zapewniał, żeś ty car? — spokojnie powtórzył Piotr Fiedorowicz.

— Kto powiedział? — stójcie — przypominałem!.. nauczyciel powiedział... potem wartownik...

— Imperator nie siedziałby w takim miejscu, przytem z brodą... — wyrzekł Piotr Fiedorowicz.

— Mnie zamknęli. Lecz... jam lepszy od nich... duch czysty, — a oni — złościcy, heretycy.

— Co pan pamięta z dzieciństwa, z dawnych lat? — spytał car.

— Gdzie tam pamiętać! głowa ciemna, nudno.

— Jednakże, powiedzcie, co przypomnieć możecie.

— Wciąż męczyli... Byłem oto jakim dzieckiem, malutką—dzieciną. Rozłączyli z ojcem, matką... Czy żyją, nie wiem...

— No, no...

— Zaczęli nazywać mnie Gryską, — tyś nie car, a aresztant! — oddali w ręce żmij, czarowników. Tak, tak... czarownicy... U nich dym z ust... I zaczęli wozić z fortecy do fortecy... I oto teraz pałac Iwanuszeki...

Więzień zamilkł. Otaczający w milczeniu patrzeli na niego.

— Czy wszyscy przystawieni do pana ludzie byli źli? nie było między nimi i dobrych? — spytał car.

— Było dwoje... Jeden — starzec z żoną w Chołmogorach nauczył modlitwy, pisania... Drugi — młodszy... — tak, zupełnie młody...

— No i cóż ten drugi? nie bójcie się, mówcie...

— On mnie, dziecko, małeństwo, wywoził od matki, i przez całą drogę, całą, jak tu jechaliśmy, och jak pieścił. Żałował i płakał.

— A potem?

— Jakieśmy przyjechali nad morze, pozwalał ten młody biegać po brzegu, po ogrodzie; ogród wielgachny, pachniało tak — kwiaty... i od mnichów przynosił zabawki...

— Gdzież on teraz? — spytał Piotr Fiedorowicz.

— Widocznie umarł, śni się wciąż... W księgach napisane... zubożejesz... rozsypie się sława w proch...

„Naczotczyk, wszystko po słowiańsku“! — pomyślał car.

— Czy pamiętacie nazwiska tych ludzi? — spytał Piotr Fiedorowicz.

Twarz areштanta znów wykrzywiła się, wyrażając przerażenie i niepokój. — „On, on!“ — dźwięczało mu gdzieś na dnie duszy: „on... nie we śnie przecież go widziałem“?

Iwanuszka chciał mówić, a nie mógł.

— Courage, prince, courage! — słucham pana! — zwrócił się do niego car.

— Pierwszego nazywali... poczekajcie... och, zapomniałem...

— A drugiego?

— Drugiego... przypomniałem... Korf, tak, Korf.

Car obejrzał się. Nikołaj Andreicz Korf, usiłując coś wydobyć z tylnej kieszeni, krzywił się i chmurzył, wszelkimi sposobami powstrzymując się, ażeby nie zapłakać. Łzy, tymczasem, toczyły się po jego drgających, pomarszczonych policzkach.

— Merkwürdig, Majestät, ol fabulos, — głośno wycierając nos, wyrzekł w chustkę.

Car był szczerze, głęboko wzruszony. Zwykle beztroski, Naryszkin stał gniewny i przełknięty. Mielgunow i Wołkow ponuro patrzeli w ziemię. — „Nie tępego umysłu, nie głuptak, niech djabli wezmą!“ — myśleli. Ungern nie spuszczał roztargnionych oczu z cara.

— Biedny, żal mi ciebie, — wyrwało się ledwie dosłyszalnie z ust Piotra Fiedorowicza: widzicie, baronie, czy to dobre sprawy?...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz i jego okrągłe, wypukłe oczki zamglły się. Dziwnie, po dziecinnemu, załkał, odwrócił się i, grzmiąc szablą i ostrogami, niezgrabnie wyszedł z pokoju.

— Carl o, car! — zakrzyczał naraz, rzuciwszy się za nim przez tłum otaczających, Iwan Antonowicz.

— Skąd ty wiesz, żem ja car? — spytał, odwracając się do niego, Piotr Fiedorowicz: zdrada! uprzedzili? — ciągnął, z gniewem spojrzawszy na otaczających.

— Z portretu! — objaśnił Iwan Antonowicz: moneta!... ot, otl.. to ty... Myśmy jednej krwi... tyś wuj mój i tyś brat na tronie... Bracie! pomóż... Uwolnij... w głąsę, na Sybir... tylko wolność...

Piotr Fiedorowicz osłupiał.

Była chwila — imperator panujący gotów był rzucić się w objęcia imperatora — więźnia.

— Ja pomyślę... gotów!... o, ja świat zadziwię! — szczerze zawołał Piotr Fiedorowicz: dręczyciele, bandyci ludzkościli... Prawdy nie ukryjesz, przez szczeliny więzienia, przez wieko trumny: wszędzie ona przebiję się...

— Nikołaj Andreicz, Dmitryj Wasiljicz, — zwrócił się: i wy, panowie warto garnizonowa, na parę słów. Pocieszam się nadzieją — przyjąć decydujące kroki...

Z ulgą na sercu szybko wyszedł z celi na podwórze. W ślad za nim wyszli Korf, Naryszkin, Wołkow i władze więzienne. Z księciem pozostał sam Ungern.

— Przeklęty Fryderyk, zmija, szatan! — zakrzyczał, waląc się w piersi, Iwan Antonowicz: to on, przez niego...

— Co ty, ojczulku, sz-sz! — zasyczał na niego Ungern: toż Piotr Fiedorowicz uwielbia go... Herr Gott! A ty lepiej rączkę jego carskiej mości pocałuj, do nóżek się pokłoń, i proś go, proś...

Iwan Antonowicz rzucił się na kolana przed ciemnym, starego pędzla, obrazem Zbawiciela. Długie, jasno-blond włosy jego spadały na zimną podłogę, przy każdym jego pokłonie. Żegnał się wielkim krzyżem i śpiesznie szeptał gorące modlitwy bez związku.

IX.

Pomarańczowy kołnierz.

Piotr Fiedorowicz, wolnymi krokami, chodził wzburzony przed basztą. Obok, kulejąc i starając się iść równym z nim krokiem, chodził starszy komisarz więzienny, książę Czurmantiejew. Naryszkin i Wołkow, rozmawiając szeptem, stali tuż

na podwórzu, za drzwami; Ungern i Korf — w głębi placu, przy bramie.

Na komendanta car rozgniewał się przy wyjściu z kazamaty i wypędził go za bramę. Tam, przy wejściu na most, nieśmiało tłoczyli się młodszy komisarze więzienni, Własjew i Czekin, i pozostali oficerowie garnizonu. Dalej, przy cerkwi, stali — nadbiegła policja osady, duchowny fortecy i niektórzy z rodzin oficerów i znakomitszych mieszczan.

Miedzy ostatnimi był i Mirowicz. Poznał cara jeszcze na brzegu i, przedostawszy się w ślad za mieszkańcami osady, stał bardzo zaniepokojony. „Co by to znaczyło? — rozmyślał z lekkim drżeniem: jak nieoczekiwanie przyjechał car! Co, jeżeli księżę zdradzi mu o widzeniu i rozmowie ze mną?... Mogą znaleźć u niego mój papier. Trzeba być gotowym na wszystko. Mogą zażądać, dopytywać! Nie wyprę się niczego... Niech ginie głowa, wszystko opowiem. Czyż ma się męczyć dłużej?”.

Car zatrzymał się.

— No, a posłuchajno teraz, mości panie, — zwrócił się do Czurmantiejewa: powiedz no mi, lecz mów szczerą prawdę, czy mówił co księżę i o mnie?

Czurmantiejew zmieszał się.

— „Jak mu powiedzieć? — pomyślał i co z tego wyjdzie? I czy rzeczywiście pragnie on ulżyć doli księcia?

— Zwolnij, carze, odrzekł: nie ośmielę się, niewolnik...”

— Powiadaj, sam przecież ciebie słucham! — z dziecinną niecierpliwością, uderzając łosiową rękawiczką o rękawiczkę, nalegał Piotr Fiedorowicz.

Wyjął z kamizelki drugi cukierek imbirowy i włożył go do wyschłych z podniecenia ust.

— Od nowego roku, jakim tu przybył, —

zaczął Czurmantiejew:—książę ani razu nie wspominał o panu; i czy wiedział o wstąpieniu na tron waszej carskiej mości, o tem nie wiem... A niedawno..

— Cóż było niedawno?

— Zupełnie jak we śnie mu się przywidziało, lub spadło na niego jakieś jasnowiedzenie... nawet lękiem przejął... naraz zaczął mówić...

— W jaki sposób on przemówił?..

— Obecnie rządzący car — to przecież Piotrowicz, wnuk Piotra, — rzekł w tych dniach książę: a i jam, jak i on, tutejszej imperji książę i wasz car, tylko Iwanycz... od Iwana — cara... I czas, by mówi, Piotrowiczom z Iwanyczami pokój nazawsze zawrzeć... Chwała to na wysokości Bogu i na ziemi pokój, w ludziach życzliwość... Tak i powiedział... Jasnowiedzenie jakby na niego naszło; aż lęk ogarnął... Byłoby to miłe Panu i cichość święta spłynęła by na wasze carstwo, i sława by o tem Piotra i moja nie umarła by odtąd i na wieki...

— Tak i powiedział?..

— Tak dokładnie...

— Lecz on jest filozofem, saperment! Wahr, sehr wahr!.. Prawda! Trzeba w tej chwili, bez zwłoki i na żadne sprawy nie zważając, kres temu wszystkiemu położyć... Obłudnicy, duszogubcy! Sclavisches Pack, banda hjen grobowych...

Piotr Fiedorowicz odwrócił się plecami do Czurmantiejewa i znów skierował się ku wejściu do celi. Tu go spotkał Wołkow.

— Jedno słowo, wasza carska mości, — rzekł, kłaniając się, tajny sekretarz carski.

— Co chcesz? prędzaj...

— Błagam o jedno: żeby pan nie decydował, nie zamieniał w czyn teraz zaraz...

Piotr Fiedorowicz w milczeniu nachmurzył się,

— List, wasza carska mości... tajemne pismo o księciu...

— Więc cóż?...

— Czy nie intrygi to, wybaczcie panie, złych doradców carycy, waszej małżonki?...

— Głupstwo, Wasiljicz, zupełnie głupie, bez sensu słowa.

Wołkow ożywił się, oczy jego błysnęły stanowczością.

— Uwolniwszy księcia, — ciągnął: stworzy pan sobie, carze, przysięgam panu niebezpiecznego, zgubnego współzawodnika. I jedni tylko zdrajcy ojczyzny, pochlebcy mogą dawać takie antypolityczne rady... A jeszcze ośmielę się dodać...

— Mów, — och, już mędrkowie... Cóż tam jeszcze wymyśliłeś i na bobach wyhodowałeś? nie zakosztowałeś, widocznie, sam więzienia, dlatego i taki mężny...

— Obrażać raczysz, carze... Nie w moim charakterze spoczywa dawać rady o zamknięciach więziennych i o kajdanach... Raczysz wiedzieć, kto posiadał szczęście przesławny manifest o przywilejach szlachty złożyć do podpisu waszej carskiej mości?... Krok jeden ztąd, sami to przyznać raczyliście — do uwolnienia i pozostałych rabów rosyjskich... Lecz nie należy z uwagi głosu nieśmiertelnością obdarzonych genjuszów..

Wołkow milczał przez chwilę i jeszcze większej nabrał otuchy.

— Jego królewska mość król Fryderyk, — rzekł, kłaniając się znów: niejednokrotnie radziłem wam wystrzegać i pod mocnem trzymać zamknięciem księcia Iwana, ażeby czyjaś gorąca głowa, z marzycielskiej zuchwałości i występnych myśli, nie zechciała wprowadzić go na tron...

— Głupstwo! puste słowa! — ostro przerwał

i odwrócił się od Wołkowa Piotr Fiedorowicz: o tronie mowy niemal.. Kto ci nakłamał!.. Ja jeden, słyszysz, jeden o tem mówić mogę...

Imię Fryderyka, jednakże, widocznie stropiło cara. — „A przecież, przypuśćmy, i prawdę powiedział ten bez serca i zręczny wszystkowiedz—mówca? — pomyślał, gniewnie spojrzawszy na podłużną, suchą, z wielkiem białem czołem i pięknym nosem, twarz Wołkowa, szare mądre oczy którego z szacunkiem i bacznością patrzyły na niego: u takich wymownych doradców zawsze znajdują się dowody w porę... Niebezpieczne — bezpieczne, a sprawę doprawdy należałoby sprytniej i zręczniejsz obrobić... Już pisałem do króla, że trzymam Iwana w pewnych rękach, w zamknięciu...

Piotr Fiedorowicz jeszcze raz rzucił spojrzenie na Wołkowa, gniewnie obciągnął na sobie pendant i nie tak już śmiało ujął za zasuwę drzwi więziennych.

— Panowie! — zwrócił się do świty: komendant, tu, i wy podążcie za mną... Co można i na co polityczne i cywilne powody pozwolą, wszystko zrobię, na nic nie zważając. Nie troszczę się o jego domniemane prawa, — wybije głupie warjacje z jego głowy—zrobię z niego człowieka, wypadek tronu... wyjdzie z niego dzielny żołnierz...

Znów wszedł do celi Iwana Autonowicza. Świta, komisarze i komendant stanęli za nim przy progu.

— Książę! — zwrócił się car do księcia: wkrótce dzień Zwiastowania... Wśród ludu przyjęte jest w ten dzień na wolność wypuszczać... Pan... pan...

Tu ostry, dziwnie trzęsący się głos Piotra Fiedorowicza łagodnie drgnął i urwał się. Dobrze, szczerze łzy ukazały się w jego oczach.

— Obiecałem... dałem słowo świat zadziwił ciągnął z dziecinnie łagodnym uśmiechem: nie od swojej osoby mówię! i pan omylił się, jeżeli mnie wziął... pomyślał... Jam prosty oficer, lecz mnie car kocha i daje mi audiencje... Panie komendancie, niech pan słucha... Sytuacja aresztanta, prawdę należy powiedzieć, straszna. Popatrzcie na te arkady, te ściany! okno z kratą... Du lieber Gott!.. Tu i w słońce, bez świecy, trudno przebywać... Powietrze duszne... Car z jednego szczerzego listu dowiedział się o wszystkim... Dał mi komisję o tych sprawach się przekonać, i przekonałem się... Trzymany jest księżę gorzej, niż ostatni przestępca, złoczyńca... Wstydźcie się, panowie, — pfuj, wstydźcie się...

Car zatrzymał się. Wzrok wszystkich skierowany był na Iwana Antonowicza. Stał z opuszczoną głową, i, ciężko dysząc, długimi białymi palcami kurczowo wyglądał swą jedwabistą, kasztanową bródkę.

— Nie w jedzeniu rzecz, panie komendancie, — w obchodzeniu się! — surowo krzyknął car do Berednikowa: księcia w ciemnocie pozostawiają, w dzikości, bez nauki. Pan o tem milczeć raczył; od obcych osób o wszystkim się dowiedziałem. To musi być zmienione... A dlatego, pan główny naczelnik tu, i pan również, starszy komisarzu., Im Namen, — w imieniu cara imperatora, i na mocy danej mi najwyższej rezolucji, nakazuję wam odtąd — mieć nadzór nad lepszym położeniem księcia... Koło fortuny — heksenmeister'ski kaprys! — dziś na dole, jutro na górze. Racście, czy słyszycie? — wyprowadzać księcia, od czasu do czasu, na spacer wewnątrz twierdzy, a tam i za murami. Niech spaceruje, wzmacnia się dobrem powietrzem. Uczcie go, Czytać on umie; lecz tego mało... Ten

punkt trzeba wzmocnić... Światło nauki niech oświeci jego umysł... Sind aber hier?... czy są w tych miejscach dobrzy nauczyciele?... Cieszę się nadzieją, znajdziecie...

Więzień rzucił się do nóg Piotra Fiedorowicza. Pierś jego podnosiła się od tłumionych łkań.

— O! — piskliwie wykrzyknął, chwytając cara za poły munduru: Piotr, Piotr!.. brat mój!.. Wszystko bierz sobie, wszystko oddaję...

Car położył mu rękę na ramieniu.

— Zbudować mu, panie komendancie, oddzielny, obszerny, piękny dom, — ciągnął Piotr, łaskawie skinąwszy na księcia: ażeby okienka nie były wązkie i na słońce. A kiedy budynek będzie gotów, sam tu przyjadę, ażeby osobiście go tam przeprowadzić. Do moich... carskich imienin!.. ażeby to wszystko było gotowe!.. A potem my was, książę, na służbę wojskową — będziecie dzielnym wojakiem, do oficera, do generała się dosłużycie... Czy jesteście zadowoleni, książę?...

— Zlituj się, nie odchodź, nie odkładaj! — krzyknął, wyrwując się do cara, więzień: bracie!.. Piotrzel!.. nie ukrywaj się, tyś przecież car.. Poco zwłoka?... zmiłuj się.

Ungern i Korf podbiegli do księcia. Car ich zatrzymał.

— Wypuść mnie zaraz, wypuść... Wzywałem imienia twego w grobie, — jękał się i dziko oglądając, krzyczał więzień: daj życie z nią... widzieć ją, słyszeć!.. (Niepokój coraz większy i większy ogarniał go, plątał słowa)... Do lasów, na Sybir... tylko nie tu... Pójdiesz, ani ciebie i jej nie zobaczę... bracie... bracie!.. zmiłuj się!..

Obecni byli zdumieni, wstrząśnięci.

— O kim to?... z jaką osobą on myśli żyć? —

spytał car Ungerna. Ten spojrział na Bierednikowa ostatni na Czurmantiejewa.

—Bredzi, widać; z Margarity cośkolwiek— wy-
czytał i — wybaczcie kłamie, — odpowiedział do
ostateczności zaniepokojony Czurmantiejew: co
dzień, nowe, jak widzicie, głupstwa, nowe kłamstwa...

Iwan Antonowicz płakał, wstawał i znów pa-
dał na kolana przed carem, chwytając go za ręce,
włócząc się za nim i całując nogi i odzież jego.
Bezładnej, dzikiej, błagalnej mowy jego niemożna
już było zrozumieć. Otaczający nie mogli go od-
ciągnąć, powstrzymać.

— Herr Gott... Armes Kind, mocy niema
patrzeć, puście go, — rzekł car, zatrzymując się
na progu i dobroduszenie, oczyma pełnemi łez,
patrząc na księcia: niech wyjdzie... niech świeżem
powietrzem odetchnie... na ganek go, na ganek...

— Lecz on niema nic ciepłego, — wtrącił się
Wołkow: jeszcze przeziębci się.

— Eh, ojczulku! kiedy ja chcę, to tyl.. koł-
pak! — gniewnie krzyknął i tupnął car: oto mój
płaszcz, niech włoży tymczasem! Auf Wiederchen!..
do widzenia, książę, — śpiesznie i z konfuzją od-
wracając się od Joana Antonowicza, skinął mu
głową Piotr Fiedorowicz: Karl Karlych! sagen Sie
dass man... każ mu z karety mój szlafrok przynieść
w prezencie.. niech sobie, niech...

Świta, ze swej strony, pośpieszyła wręczyć
więźniowi podarunki — pierścionki na pamiątkę,
tabakerki, zegarki. Niewprawnymi, zziębniętymi
rękoma niezręcznie brał te rzeczy, wtykając je
w kieszenie kurtki i szarawarów.

Osoby, stojące na podwórku i w liczbie ich
Pczołkina, widziały, jak przy Świetlicznej baszcie

znów się ukazała carska świta i jak, obok cara między Ungernem i Czurmantiejewym, wyszedł na ganek wysoki, z jasno-blond, mniszemi włosami i w błękitnej opończy gwardzisty, blady młodzieniec. Car, wymachując rękawiczką, coś z oburzeniem wymawiał komendantowi. Ten z ręką przy kapeluszu, wyprostowany na baczność, w milczeniu stał przed nim.

„Co postanowiono, jaki koniec, — myślała tymczasem, chciwie pożerając oczyma cara, Poliksena: czy uwolni on biednego, zgnębitego przez los krewniaka? Co mówił z nim? co zdecydowano? Takim uczyła księcia, objaśniałam i wszystko, wszystko mu opowiadałam... Jak on pragnął wolności jak dopytywał się o świat, o ludzi, przysięgał“...

„Czyżby, — rozmyślał w tym czasie przy cerkwi, w tłumie ludzi Mirowicz: czyżby w końcu, i mnie okazała swą łaskę macocha-fortuna?... Lecz jeśli zajdzie cud, jeżeli zdecydują powrócić na dwór księcia? Kto lepiej od niego potrafi wtedy być obrońcą wszystkich nieszczęśliwych, wszystkich nędznych, skrzywdzonych przez los?... Wtedy i ja podam prośbę o zwrot dziadowskich majątków... Ech, djabeł, jakie myśli! Tak więc o tobie, psie, pomyślał! O holsztyńczyku jakimkolwiek, o lokaju pomyślał, a nie o tobie. Boże, Paniel! Lecz dlaczego by teraz car i bez księcia nie zwrócił na mnie uwagi? Co nie mów, — przekłete stosunki a przecież byłem na wojnie, pracowałem.. Niel — zakończył Mirowicz kryjąc się za plecy innych: lepiej niech on, dobry, bezsilny, niezdecydowany, lepiej niech i nie zauważy mnie, jeszcze, przypuśćmy, dowie się, że przeze mnie dostarczone zostały propozycje Panina co do dalszego prowa-

dzenia wojny... Przeprowadź go obok, nieszczęśliwy losie“...

— Panie oficerze! hej! pomarańczowy kołnierz! dobiegł do niego z poza mostu głośny, porywczy głos.

Mirowicz obejrzał się. Wzrok wszystkich dla czegoś był w niego utkwiony. Ktoś gorliwie pchał go w bok. Posunął się naprzód. Tłum rozstąpił się przed nim. O kilka kroków od niego, rozstawiwszy w bok tęponose stopy ciężkich botfortów i trzymając zawadjacko olbrzymi pałasz, stał car.

— Kreuz — schock — bomben — donner — wetter — element! Form nie zachowujecie, — gorączkując się bardzo krzyczał na kogoś Piotr Fiedorowicz: a oto wzorowy oficer, — dodał komendantowi, wskazując na kusy i wązki, nowy, według pruskiego wzoru mundur Mirowicza: lecz to, mości panie, marnie, — nie z waszych! Hańba, hańba, mówię.. szalbierstwo, trzpiotostwo! U tego kapełusz jak siodło na krowie, u tego sukno nieprzepisowej grubości, pendant bez blachy. Nie zniósę tego, — czy słyszycie? — Saperment nie zniósę.. U was samych, panie komendancie, opończa nie według przepisu.. kociem futrem podbita.. Babom szubki takie nosić, a nie wojskowym! Służba tu ani pełźnie, widać, ani jedzie..

„Wielki Boże! — myślał tymczasem, stojąc oko w oko przed carem, Mirowicz: o, ludzie! czy widzicie mnie? dziw dziwów! Wojna, katorga pochodów nie wyciągnęła, wyciągnął nowy mundur.. Inni przez całe zabite, zgubione, zaplute życie dobijają się, dążą, a mnie tak łatwo trafił się los.. Czyż zaraz podejdzie, zacznie, wyróżniając wobec innych rozmawiać ze mną, dopytywać się?“

— A to, to co? — zrobiwszy krok w bok od Mirowicza, wpadł naraz Piotr Fiedorowicz na po-

mocnika komisarza, wytrzeszczającego oczy żołnierza Własjewa: mało ci, mości panie, że w starym, zniesionym już mundurze, a i tu jeszcze niedbale raczysz się zachowywać!.. Czego patrzysz?.. Trzeci guziczek od halsztuka do góry nogami przyszyty... Czyż to porządek? dyscyplina? Tak po oberżach tylko się włóczyć, a nie na służbiel!.. Ażeby to wszystko było zapisane i mnie złożony raport! — zakończył Piotr Fiedorowicz, kierując się ku wyjściu z fortecy: przyjadę w maju, ażeby wszystko było akuralnie, i nie inaczej, jak ze starannością... Miejcie się na baczności, panie komendancie... zapoznajcie się z ustawą garnizonową... Pana pierwszego zmuszę przemieść cały artykuł!..

Car podszedł do bramy. Ungern narzucił na niego zdjęty z Iwana Antonowicza szynel. Piotr Fiedorowicz spojrzał na basztę, gdzie pozostawił księcia. Na opustoszałej platformie, jak dawniej, chodził wartownik. — „Biedny! znów cię zamknęli!“ — z westchnieniem pomyślał car. Odwrócił się, spojrzał na dom Czurmantiejewa, gdzie stała Poliksena, lecz i jej już tam nie było.

„I tylko, to — rzekł do siebie, pozostawiony przez cofający się tłum, Mirowicz: i na to były oczekiwania księcia, marzenia, urojenia? Jak zdecydował on los nieszczęśliwego? Czyżby niczem? Czyż pójdzie, i nigdy więcej choć by i mnie, drobnemu pionkowi, nicości, pyłowi z jego nóg, nigdy więcej nie zdarzy się stać tak blisko obok niego, słuchać go? A ja szykowałem się całą prawdę powiedzieć o księciu, prosić za sobą... Przeklęty los, przeklęty!.. Była jedna okazja, i tą przepuściłem...“

— Hej! kołnierz pomarańczowy! — dobiegł do niego ten sam ostry, daleko słyszeć się dający

głos: uprzejmie proszę... Ciekaw jestem zobaczyć bliżej...

— Pana wołają, panal — zaczęły mówić wo-koło Mirowicza blade, przypodchlebiające się twa-rze.

„Idź, mów, proś!.. wszystko teraz wypełnił” — palącą falą przebiegło w głowie Mirowicza. Zadrzał, jak żoraw odbijając tempo na pruski system poszedł do bramy i, z ręką przy trójrożnym kape-luszu, stojąc na baczność, zamarł przed carem.

— Z Essena, byłego narwskiego pułku? — spytał Piotr Fiedorowicz.

— Tak jest, wasza carska mości...

— Nazwisko?

Mirowicz wymienił je.

— W delegacji czy na urlopie?

— W delegacji byłem ze sztabu, teraz w spra-wach rodzinnych na urlopie.

Czurmantiejew objaśnił carowi, że Mirowicz jest narzeczonym, zaręczył się z jego boną.

Oczy cara błysnęły wesoło.

— Al! bardzom zadowolony! — dobroduszenie uśmiechnął się: gust niezły, szelmowska pareczka będzie, choć gdzie... Aber voyons!.. Narzeczoną, zdaje się, już spotykałem; przy zmarłej ciotce słu-żyła... razem zabawialiśmy się tańcami... A ty przy kim w sztabie attachowany byłeś?

— Generał-adjutantem przy Paninie, — odpo-wiedział Mirowicz.

Car nachmurzył się.

— Zawieszenie broni, panowie, podpisane! — rzekł, ostro zwracając się do władz garnizonowych i brzęknawszy ostrogami: gratulire, winszujel... wkrótce i zupełny kres wojnie...

Wszyscy w milczeniu złożyli pokłon.

— Wybierając się tu, — ciągnął dalej Piotr

Fiedorowicz: do druku oddawałem otrzymane kondycje zawieszenia broni; wkrótce ukazą się w wiadomościach... Dość dla głupstw krew przelewać. A ciebie, podporuczniku Mirowicz, — za przyzwoity wygląd i zuchowate wymusztrowanie nawet poza frontem,—nagradzam, nie za przykładem innych, personalnych poleceń... przenoszę od Panina do garnizonu stołecznego...

Krew rzuciła się do głowy Mirowiczowi.

„Oto kiedy, oto! — błysnęło mu w głowie: Bogowie! fortunal.. posłuszny jestem twoim rozkazom!“—rzekł do siebie, z bijącym sercem, padając przed carem na jedno kolano.

— Staw się jutro na wachtparadę! — ciągnął dalej Piotr Fiedorowicz: lub nie, jeszcze dzień daję ci w prezencie... pobądź z narzeczoną, — pojutrze... Zamelduj się na placu oberkriegs komisarzowi... Zrozumiałeś?... On już dalej o tobie zamelduje... Od kolegi jako kurjer pojedziesz, z dalszemi negocjacjami o pokój, do Buturlina... A jak wrócisz z powrotem,—oczy cara znów dobroduszenie i wesoło błysnęły: proś, ojczulku, na ucztę, na weselsko... Très content, très content!.. Dla pamięci ciotki, pozwól, sam ja przybranym ojcem być jestem gotów... nie prosisz?...

Mirowicz był oszołomiony, wzruszony. Wołało niego rozlegały się powinszowania. Ściskali mu ręce, coś mu mówili. Nic nie rozumiał. Nieświadomie odpowiedziawszy na zapytanie tajnego sekretarza carskiego, idąc zapisującego ogłoszony co do niego rozkaz, zobaczył, że wszyscy pobiegli z fortecy na brzeg za carem, i sam poszedł tam, w ślad za innymi.

— Herr Du mein Holland ist das ein Volk!—wsiadając do kutra rzekł do Ungerna Piotr Fiedorowicz: krokodyłe plemię!—biedny książę!.. Z gło-

wy wyjść nie może... A gdzież my, voyons, panowie, ważne sprawy załatwiwszy, naszą żołnierską fajkę palić będziemy?

— Alles ist im Posthause bereit, Majestät! — podsadzając cara, odpowiedział baron Ungern.

Na brzegu miejskim Piotra Fiedorowicza spotkała deputacja włościan i mieszczan. Na przedzie kilku, bez czapek, starych i młodych, w kożuchach i siermięgach, brodaczy, wystąpił do niego, z chlebem i solą, wysoki, chudy, z mętными ołowianemi oczyma żółty na twarzy i, jak młodziwiec, bezbrody petersbuski mieszczanin, niedawno zapisany do tutejszych kupców. Komisarz osady, zobaczywszy go z łódki, stał się białym jak śnieg. Kupczyzna był właścicielem tamtejszej topielni sadła, z sekty biegunów, znany w okolicy i stolicy skopiec Kondratij Seliwanow. Utrzymywał on w Szlisselburgu zajazd, gdzie stał i Mirowicz.

— Carze — ojczulku drugi nasz zbawco! — rzekł, padając na kolana Seliwanow: biją nas, męczą judejczycy, źli faryzeusze osady! tyś jeden nadzieja nasza! Z nieba spadłeś... Zaszczyc, ojczulku, swoim przybyciem wiernych, choć i małych ludzi twoich... Fabryka moja tu niedaleczko, w lesie, i tobie panie po drodze...

— Zaszczyc, rodzony, zaszczyć, ojczulku! — pokłonili się pozostali z tłumu.

— Sekciarz! — półgłosem rzekł Ungern: komisarz attestuje, — rozkolnik...

— Równoprawnienie wiary... der Glaube muss frei sein, — odpowiedział car.

Piotr Fiedorowicz zajechał do Seliwanowa. Tam car jadł śniadanie, było przytem palenie przez całą kompanję fajek i obfite ugoszczenie całej świty. Wydostawali i przynosili z piwnic wód-

ki mrożone, aksamitne piwo, wina i słodki miodek.—Wyjeżdżając, car zaprosił Seliwanowa w gościnę na swoje imieniny, do Oranienbaumu.—„Do popa w fortecy nie zaszedł, nie zajrzał i do cerkwi, — szeptali po kurnych, ciemnych chatynach, na rynku i po zajazdach w mieście: —a do tłustego suma skopca zajechał... Widać, blizkim jest czas ostatni“.

W drodze powrotnej z Piotrem Fiedorowiczem w powozie jechali Korf i Wołkow. Wołkow drzemał. Korf gorliwie rozmawiał z carem. Przyjęcie w fabryce Seliwanowa rozwiązało gadatliwy język starego barona. To śmiał się, to sypał zabawne anegdoty miejskie. Przedrzeżniając tych, o kim mówił, zakomunikował, między innymi, świeże plotki o niezadowoleniu zwolnionego na odpoczynek od wszystkich spraw, hrabiego Aleksego Razumowskiego i o nowych miłosnych intrygach starego i bezzębnego podagryka, księcia Nikity Trubeckiego. Przytem wszczęto rozmowę i o Orłowych... Korf milczał przez chwilę, coś pomyślał i spytał cara, czy słyszał o tem, że Szwanwicz, który pokaleczył młodszego z Orłowych, znów się pokazał w Petersburgu.

— Fanfaron i tchórz, ten twój Szwanwicz! i czego on rejterował! — rzekł, nachmurzywszy się, Piotr Fiedorowicz: nie źle by mu i drugiego, starszego z Orłowych, do dyscypliny doprowadzić... Rywal nasz — Grigorij, już za wielkie ma fanaberje... lecz nie według nosa tabaka... A z żoneczką my się jeszcze porachujemy...

— Obserwuję, wasza carska mości, obser-

wuj! — rzekł Korf: wszystkie akcje, wszystkie oszustwa ich u mnie są ponumerowane... Chwila, zapewniam, panie, chwila, i wszystkich nakrywać będziemy...

Car uśmiechnął się, wesoło pogwizdywał.

— I u mnie, baronie, dokładny i znakomity projekt jest przygotowany, — rzekł: świat się zdumieje! Poczekajcie tylko cokolwiek...

Późno po północy obydwaj powozy wjechały do Petersburga. Wołkow, wtuliwszy się w kąt karety, chrapał. Korf również zaczynał drzeć.

— Eh, brawo, tajny mój konferenz-sekretarz spi, — zwrócił się Piotr Fiedorowicz do Korfa: dajesz słowo milczeć?.. ein Wort — ein Mann?..

— Ich schwöre! przysięgam, wasza carska mość!

— Więc trzymaj w sekrecie, — oto co mi radzą.. I ty, jako uczciwy żołnierz, pomagaj mi we wszystkim... W maju, lub — cóż — w czerwcu, wezmę Iwanuszkę z fortecy do Petersburga, ożenię go z córką mojego wuja, księcia Holsztyńskiego, i ogłoszę, — jako swego następcę...

Korf zmatniał.

— Herr Gott!.. a caryca, a wasz syn? — spytał przy skrzypieniu ciężkiego powozu, który wpadł w olbrzymią wyrwę na ulicy.

Drzemka momentalnie uciekła od głowy barona.

— Meine liebe Frau, — uśmiechnął się car: zamknę w klasztorze, jak zrobił mój dziad, Wielki Piotr, z pierwszą żoną, — niech się modli i pokutuje! i wsadzą z synem do Szlisselburga, do tego samego domu, który dla księcia Iwana kazałem zbudować... No? was willst du sagen? I dom ten będzie dla nich katafalkiem pogrzebowym, castrum doloris...

— Lieber Gott! ist das möglich, Majestät? Żeby z tego nie wyszła zguba dla państwa, a to i dla was samych...

— Głupstwa! vogue la galler!.. pomyślane, zrobione! — rzekł Piotr Fiedorowicz: taką jest moja dewiza rycerska... Nie cofać się, niech diabli wezmą, nie cofać się! Co? cokolwiek forsownie? Tchórzysz? Wir wollen, gołąbku, ein bisschen Rebellion machen...

— Co się mojej roli dotyczy, wasza carska mość, może fundamentalnie być spokojnym, — odpowiedział generał-policmajster: meine Engebeirheit.. moja wierność dla was, Majestät, z marmuru, z granitu... i tajemnicy tej, mej duszy do śmierci nie wydrą...

Następnego dnia, późno wieczorem, Korf podjechał, od Mojki, do apartamentów carycy, był potajemnie, schodami kuchennymi, do niej wprowadzony i zakomunikował jej wszystko, co posłyszał od cara. Lecz go uprzedzono...

Wołkow jeszcze wcześniej, a mianowicie rano tegoż dnia, przedostał się do kammer-frau carycy, Katarzyny Iwanowny Szargorodskiej, i przez tą zaufaną osobę, — z którą oddawna już na wszelki wypadek prowadził pertraktacje, — zakomunikował Katarzynie Aleksiejewnie nie tylko to, co mówił car Piotr Fiedorowicz, lecz i to, co odpowiedział przytem Korf. „Piotrowcy” wyraźnie zaczęli przechodzić do obozu „Katerynowców”. Zbliżały się wypadki, tak charakterystycznie nazwane w jednych z ukraińskich pamiętników owych czasów „przebiegiem wiadomych petersburskich wypadków”.

Dalsze losy bohaterów tej powieści zawarte są w romansie: „Zamach carycy”.

Do Biblijoteki Nowości w Warszawie.

DEKLARACJA

Ja niżej podpisany

Zawód

Zamieszkały

Poczta

Zamawiam i zobowiązuję się uiścić prenumeratę

KSIĄŻEK WYTWORNYCH

BIBLIJOTEKI NOWOŚCI W WARSZAWIE

na jeden kwartał za 27 — zł. (tomów 6), płatnych odrazu, lub
w trzech ratach miesięcznych a 9. — zł., lub prenumeratę

KSIĄŻEK ESTETYCZNYCH

BIBLIJOTEKI NOWOŚCI W WARSZAWIE

na pół roku za 21.—zł. (26 tomów) płatnych odrazu, lub w trzech
ratach miesięcznych a 7.—zł. Pieniądze wpłacam jednocześnie z wysła-
niem deklaracji na Nr. P. K. O. 13355, przesyłam przekazem pocztowym,
lub listem poleconym wraz z deklaracją. Deklaracja powyższa nie może
być ani cofniętą ani zmienioną.

UWAGA: Niepotrzebne skreślić.

Podpis.

Niniejszym zamawiam za pobraniem pocztowem następujące książki w oprawie a 1.50 zł. tom. Związki spokojne 2 t. M. Decobra, Będzie jak było G Olechowski, Kat miasta Bernu F. Cooper, Symfonia wichrowa 2 tomy J. Rzepecka, Pieśń ulicy, Ludzie w maskach Smolarski, A gdy komunizm zapanuje 2 tomy Jezierski, Romans Znajdy J. Relidzyński, Manowce sławy M. Hr. Łubieński, Przygody Tadzia na obczyźnie C. Marion, Za ocean bez pieniędzy Krzewiński, Jutro o świcie, Chrystus zmartwychwstał, Ostatni Dzień, Urwancew, Maryśka J. Maciejowski. Czerwone Jaskółki M. Jarosławski 3 tomy.

Podpis.

UWAGA: Niepotrzebne skreślić.

D R O K

5 groszy

**DO
BIBLIOTEKI NOWOŚCI**

w WARSZAWIE

ul. Krakowskie-Przedmieście 93.

30. / 2584

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000257027



I 409408

BIBLIOTEKA

W WARSZAWIE, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 93.

Telefon Nr. 275-03. P. K. O. Nr. 13.355.

WYDAJE Książki Estetyczne i Książki Wytworne:
Książki Estetyczne wychodzą w każdą sobotę.
Prenumerata półroczna wraz z przesyłką pocztową
wynosi 21 zł. za 26 tomów i płatna jest odrazu, lub
w trzech ratach miesięcznych à 7 zł.

Tom w sprzedaży pojedynczej około 1.50 zł.
w prenumeracie 80 gr.

Książki Wytworne wychodzą 15 i 30 każdego
miesiąca.

Prenumerata kwartalna wynosi wraz z przesyłką
pocztową 27 zł. za 6 tomów i płatna jest odrazu,
lub w trzech ratach miesięcznych à 9 zł.

Tom w sprzedaży pojedynczej około 6,50 zł.
w prenumeracie 4,50 zł.

Naszymi autorami polskimi są:

Kornel Makuszyński, Włodzimierz Perzyński, Edward
Ligocki, A. Nowaczyński, G. Olechowski, J. Relidzyń-
ski, J. Maciejowski, J. Rzepecka i t. d.

Naszymi autorami zagranicznymi są:

Blasco Ibanez, Maurice Dekobra, Clément Vautel,
J. H. Rosny, J. Halicz, M. Bulhakow, Stefenson,
J. Słozkin, M. Jokay i t. p.

NA ŻĄDANIE WYSYŁAMY PROSPEKTY BEZPŁATNIE

Redaktor i wydawca **Stanisław Cukrowski.**
BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE